

ADAM BAHDAJ

PIRACI Z WYSP ŚPIEWAJĄCYCH

DATA WYDANIA: 1970

WYDANIE II

ADAM BAHDAJ

PIRACI Z WYSP ŚPIEWAJĄCYCH

DATA WYDANIA: 1970

WYDANIE II

Spis treści

KRAJ SZUMIĄCYCH POTOKÓW 3

NAD SŁONECZNYM JADRANEM 56

PIRACI Z WYSP ŚPIEWAJĄCYCH 105

KRAJ SZUMIĄCYCH POTOKÓW

- Zdaje mi się, Marcinku, że zgubiłem wszystkie pieniądze – powiedział wuj Leon tak spokojnie, jakby chodziło o skarpetki, które właśnie praliśmy w górskim potoku.

Praliśmy te skarpetki tysiąc dwieście metrów nad poziomem morza, w dzikich, niedostępnych górach Sinjajevina. Nie wiem, dlaczego wuj Leon wybrał właśnie to miejsce? Oryginał, daję słowo!

Zdaje mi się, po to tylko przyjechał do Jugosławii, żeby zgubić sto dwadzieścia dolarów, czyli dziewięćdziesiąt tysięcy dinarów. Kupa forsy! Mieliśmy za nią przewędrować całą Jugosławię, a tymczasem stanęliśmy na jednym z zakrętów czarnogórskiej szosy, i zdechł pies.

Bo proszę sobie wyobrazić, nieszczęścia chodzą parami. Zanim jeszcze zaczęliśmy prać skarpetki, odmówił posłuszeństwa nasz mamut. Mamut na czterech kółkach, daję słowo, bo inaczej nie można nazwać tego przedpotopowego wehikułu, którym, o dziwo, dojechaliśmy aż na wysokość tysiąca dwustu metrów, gdzieś w niedostępnych górach Sinjajevina.

Był to mercedes model 1920, dziw techniki, egzemplarz niemal wykopaliskowy, jednym słowem nadawał się do muzeum, a nie na taką wielką i trudną trasę. Ale wujaszek lubił antyki, więc twierdził, że jego mercedes może nawet wygrać rajd do Monte Carlo. No i proszę, wygrał.

I myśmy też wygrali! Koń by się uśmieł. Uśmiełby się, gdyby nas widział piorących w tej sytuacji skarpetki.

- Zdaje się wujkowi czy wujek zgubił? - zapytałem mimochodem.

- Prawdopodobnie zgubiłem.

- Gdzie?

- Na poprzednim biwaku.

- Ładna historia! I co teraz będzie?!

Wujaszek dalej prał skarpetki w krystalicznie czystej wodzie. Mydlił je spokojnie mydłem „powszechnym”, którego nie zapomniał zabrać z Warszawy.

- Mój drogi - powiedział nie przerywając mydlenia - już ci mówiłem, że nie warto podejmować się takimi drobiazgami.

Oto cały wujaszek Leon! Zgubił dziewięćdziesiąt tysięcy dinarów i nazywa to „drobiazgiem”!

- I co teraz będzie? - powtórzyłem.

- Upierzemy skarpetki.

- A potem?

- Potem to się zobaczy. W życiu nie ma sytuacji bez wyjścia. Złapałem się za głowę, bo nic już innego mi nie pozostało.

- Wóz nam wysiadł, nie mamy ani grosza, a wujaszek sobie bimba! Jak można zgubić tyle forsy!

- Właśnie - uśmiechnął się. - Sam się nad tym zastanawiam. Pieniądze miałem w nylonowym woreczku w plecaku. Wczoraj o zmroku wyjmowałem mapę. Może wyjąłem też pieniądze...

- Przecież pamiętamy, gdzieśmy biwakowali.

- To nie ma znaczenia. Jeżeli woreczek wypadł z kieszeni gdzieś po drodze, to i tak nie znajdziemy.

- A może się uda.

- Jedna szansa na sto. A do tego, czym tam dojedziemy? Na co czekasz? Pierz, to cię uspokoi.

- W każdym razie trzeba zawiadomić milicję - powiedziałem, trąc ze złością skarpetki.

- Oczywiście - uśmiechnął się wujaszek - tylko gdzie masz tę milicję?

Milicji na Sinjajevinie nie było, to fakt. Były natomiast wspaniałe jodły, rozłożyste buki, świerki, zapach żywicy, szum falujących traw i paproci i niezapomniany widok. Pod nimi leżała głęboka dolina, dalej garbate grzbiety porośnięte lasem, a jeszcze dalej na samym horyzoncie w błękitnej mgiele łańcuch nagich szczytów. Początkowo zdawało mi się, że to obłoki przetkane blaskiem słońca, lecz gdy oczy przywykły do przestrzeni, widziałem dokładnie nagie, skaliste szczyty i białe żyłki śniegów.

- To Prokletije - powiedział w zadumie wujaszek. - A ten najwyższy szczyt, cały w śniegu, Jezerca. Dwa tysiące siedemset metrów. Sprawdziłem na mapie. Patrz, jaki wspaniały widok. Aż dech człowiekowi zapiera. I powiedz, czy warto się przejmować?

- Samymi widokami żyć nie będziemy - odparłem z przekory raczej niż z rozsądku.

- Dla tego jednego widoku warto było przejechać dwa tysiące kilometrów.

- I zgubić forszę...

Ech.. - westchnął wujaszek - widzę, że jeszcze nie rozumiesz wszystkiego. Powędrujesz ze mną miesiąc, to może inaczej będziesz mówił. - Naraz uśmiechnął się po swojemu, serdecznie i bez troski. - Do roboty! Na wszystkie troski i zmartwienia najlepsza jest praca. Rozbijamy namiot! Będziemy żyli jak pierwotni ludzie. Zbieraj się chłopie, nie ma się nad czym zastanawiać!

Wujaszek uniósł ręce, przechylił głowę do tyłu i wydał okrzyk zachwyty. Gdyby nie miał na sobie drelichowych spodni, przysiągłbym, że to jaskiniowiec, wybierający się na tura lub innego grubego zwierza.

Bo wujaszek Leon to był wujaszek i drugiego takiego nie znajdziecie w Polsce, ba, może nawet na świecie! Wysoki, tęgi, barczysty jak atleta, a przy tym pogodny jak dziecko. Miał twarz Robinsona Kruzoa po kilkumiesięcznym pobycie na bezludnej wyspie: ogorzałą, czerstwą, zarośniętą ryżą szczecina aż po same oczy. Oczy niewielkie, lecz bystre, za to nos potężny i trochę pomidorowaty. I króciutko najeża przyszczyżone włosy, jak szczotka od froterki. Jednym słowem wuj Leon, rodzony brat mojej mamy i najmiłszy człowiek na świecie.

Wstyd, że tak mu wypominałem zgubione pieniądze. Zabrał mnie w tę wspaniałą podróż z Warszawy, bulił za mnie grubą forszę, a ja się wymądrzałem.

- Nie ma się nad czym zastanawiać - powtórzyłem za wujem. - Niech to drzwi ścisną, i koniec! - splunąłem na te dziewięćdziesiąt tysięcy z takim obrzydzeniem, jakby to były kradzione pieniądze.

- Ulżyło ci - śmiał się wujaszek.

- Jeszcze nie, ale za chwilę mi ulży.

- Nareszcie jakieś ludzkie słowo! Skocz do mamuta i przynieś namiot i paliki, to o wszystkim zapomnisz. Tylko gazem, bo nie ma czasu! Noc się zbliża.

Skoczyłem po namiot. Tymczasem wuj Leon wyszukał miejsce na biwak. Lepszego nikt by nie znalazł. Była to niewielka polana ocieniona zwisami gałęzi, pełna paproci i kwiatów. Z boku leżały wielkie, omszałe głazy, a dalej wśród zarośli płynął potok. Za głazami potok spadał kaskadą i

dzwonił w niezmaconej ciszy. Niżej ciągnęła się wielka dolina - dzika, tajemnicza, po czuby drzew zalana mrokiem, na jej dnie cienka jak włos rzeka i szare rumowisko skał. A gdy spojrzałem przed siebie, widziałem grzbiety wzgórz porośnięte lasami, a nad nimi płonące o zachodzie szczyty Prokletije.

Ustawiliśmy namiot, przynieśliśmy resztą rzeczy, a gdy mrok zgęstniał i zalał zupełnie dolinę, i pochłonął naszą polanę, rozpaliliśmy ognisko. Czuliśmy się zupełnie jak pierwotni ludzie - nie mieliśmy przecież pieniędzy, a nasz mamut na czterech kółkach, jedyny przedstawiciel cywilizacji, został daleko na skraju szosy.

I Wujaszek wyciągnął z plecaka kawał kiełbasy myśliwskiej, przeciął na pół i każdą porcję nadział na patyk.

- Będzie pyszna kolacja - podał mi jeden patyk. Siedzieliśmy w milczeniu. Wędziliśmy kiełbasę nad ogniem. Pachniało przypalonym tłuszczem i dymem. I daję słowo, nigdy jeszcze nie jadłem tak znakomitej kiełbasy. Polska kiełbasa pod czarnogórskim niebem. Rozkosz w gębie do trzeciej potęgi!

A potem na trójnogu gotowaliśmy herbatę, tak zwykle, po trapersku. Do wrzącej wody wujaszek nasypał kilka szczypt yunana. Czekaliśmy, aż naciągnie. Woda syczała, spadając kroplami na rozżarzone żagwie, a nad kociołkiem unosiła się czapa pary. Było coś tajemniczego w tym zwykłym gotowaniu herbaty. I znowu milczeliśmy długo, wpatrzeni w płomyki tańczące na dogasającym ognisku. Wujaszek zadarł nagle głowę.

- Będzie pogodna noc. Co byś na to powiedział, żebyśmy tak przespali się pod gołym niebem? Wyciągniemy materac z namiotu, wbijemy się w śpiwory, będzie zupełnie ciepło.

- Dobra jest - odparłem. - Marzę o tym, żeby się przespać pod gołym niebem.

Pod gołym niebem było wprost bajecznie.

- Luksus - powiedziałem do wujka. - Jak w najdroższym hotelu z widokiem na góry, z wentylacją, muzyką. I nie trzeba płacić ciężkiej forsy.

Leżałem z rękami podłożonymi pod głowę, nade mną wiatr szumiał w gałęziach, gdzieś w głązach dzwonił potok, a mimo to było tak cicho, że słyszałem własny oddech i posapywanie wujaszka. Niebo było granatowe, prawie czarne, a gwiazdy bardzo jasne i wielkie. Inne niebo niż u nas i inne gwiazdy. I Mleczna Droga, jak srebrzysta pręga, przecinała widnokrąg ponad zakrzepłymi grzbietami gór.

- O czym myślisz? - zapytał nagle wujaszek.

- Patrę na Mleczną Drogę. Jest inna niż w Warszawie.

- Wyraźniej ją widać. Jesteśmy bardzo wysoko i na południu.

- I zdaje mi się, że płynie.

- To sierpniowe noce stwarzają takie wrażenie.

- I że jestem strasznie mały... Tak mały, jak pyłek.

- Może jeszcze mniejszy - roześmiał się wujaszek.

- Mniejszy od pyłka i zupełnie nieważny.

- To się zgadza.

- I... tak się czuję, jakbym nie rozumiał samego siebie... Jak gdybym nie wiedział, kim jestem.

- To jedynie dowód, że myślisz.

- I śmieszne... - zająknął się - ale w tej chwili wydaje mi się, że te zgubione pieniądze wobec tej niezmierzonej przestrzeni to naprawdę drobiazg.

- Filozof z ciebie, mój mały! A teraz, dobranoc. Trzeba spać, bo jutro... - Uniósł się na łokciu i spojrzał na mnie uważniej. - Ech, nie myślmy o jutrze! Jutro na pewno będzie dobry dzień.

Rozkosznie jest budzić się po takiej nocy.

Chwilowo jeszcze nie wiedziałem, gdzie jestem, co się ze mną dzieje. Może matka budzi mnie do szkoły, może jestem w tajemniczej puszczy kanadyjskiej nad Niedźwiedzim Jeziorem, gdzie poprzedniego dnia z wiernym Indianinem polowałem na łosie...

Otworzyłem oczy. Czekałem, kiedy z jodłowej puszczy wyłoni się wieniec rogów wspaniałego byka. Lecz nie chciał się wyłonić. Zamiast rogów ujrzałem dymiącą fajkę wujka Leona i już wiedziałem, gdzie jestem.

Prócz fajki ukazał się cały wujaszek: zamyślony, zarośnięty, z oczami utkwionymi w sienie dali. Na tle górskiego krajobrazu przypominał pustelnika rozmyślającego nad tajemnicą natury. I trzeba przyznać, że z tą zadumą było mu bardzo do twarzy.

Ziewnąłem głośno. Wujaszek ocknął się. Przywitał mnie serdecznym uśmiechem:

- Cudowny dzień. Tak się czuję, jakby mi ubyło dwadzieścia lat!

Chciałem powiedzieć, że i mnie ubyło dwadzieścia, ale połapałem się, że gdyby mi tyle latek ubyło, to musiałbym jeszcze sześć lat czekać do urodzenia, a szkoda, bo dzień był naprawdę piękny. Zawołałem więc, że czuję się jak cielę wypuszczone na świeżą trawę, chociaż nie miałem pojęcia, jak może czuć się cielę w takim wypadku.

Wujaszek miał pojęcie, bo roześmiał się głośno i powiedział, że ma dla mnie niespodziankę. Niespodzianka była pachnąca i soczysta. Jednym słowem, jeżyny na śniadanie! I to wprost ze słomianego kapelusza wujaszka!

- Skąd te pyszne jeżyny? - zapytałem.

- Ba! - zaśmiał się wujaszek. - Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje...jeżyny.

- Jeszcze nigdy nie jadłem tak soczystych i słodkich.

- Nieco wyżej, ponad lasem jest ich pełno. Wspaniałe, mówię ci, Marcinku! Widzisz, że nie umrzemy z głodu. Ale to jeszcze nie wszystko. Zrobiłem nowe odkrycie. Będziemy mieli najwykwintniejszy obiad...

Byłem pewny, że wujaszek spotkał stado jeleni lub dzików. Zastanawiałem się jedynie, czym będzie na nie polował. Nie mieliśmy przecież strzelby. Chyba, że na sam widok wujaszka jakiś wspaniały jelen zbaranieje i da się złapać na linkę namiotową! Kto to mógł wiedzieć. Po wujaszku wszystkiego można się spodziewać.

A jednak nie chodziło o jelenie ani o inną zwierzyń, bo po śniadaniu spostrzegłem, że wujaszek wyjmuję z namiotu wędkę.

- Ryby! - zawołałem.

Wujaszek uniósł palec do ust gestem nakazującym milczenie.

- Tsss! Nie mów głośno, bo zapeszysz.

Przygotował dwie wędkę i karton sztucznych muszek. Muszki były sztuczne, ale wyglądały jak żywe.

- Jak ci się podobają? Robi je pewna spółdzielnia w Nowym Sączu. Mówię ci, pierwsza klasa! Najlepsze chyba na świecie. Nawet Kanadyjczycy kupują od nas te muszki.

Poszliśmy w górę potoku przez dziewiczy las. Brnęliśmy po pas w paprociach. Ranek był chłodny i ciężka rosa wisiała na trawach. Po kilku krokach byłem cały mokry. A potem wspinaliśmy się przez rumowisko skalne. Wielkie głazy leżały tutaj zwalone jeden na drugim, tworząc potężne tarasy. A wśród skał rosły krzewy ostrężyn, obsypane czarnymi jagodami, srebrnolistne małkinie i karłowate jodły.

Szliśmy może pół godziny. Nagle znaleźliśmy się na obszernej płaszczyźnie. Przed nami potok rozlewał się w niewielkie jezioro, dalej wznosiła się prostopadła skała z białym, spienionym wodospadem. Woda kipiała pod skałą, w pieniających się wirach o barwie zielonego szkła; jej pył opalizował w słońcu, a dalej wiry przechodziły w gładką głębię.

Zatrzymaliśmy się w cieniu, na płaskiej skale wiszącej tuż nad głębią. Spojrzałem w dół. Toń dalej była prawie niebieska i tak przejrzysta, że na gładkich kamieniach dna widziałem drobne witki mchu wodnego.

I nagle drgnąłem. Tuż przy dnie zobaczyłem trzy wielkie pstrągi. Stały nieruchomo, pod prąd, tylko ich ogony, jak przecinki, drgały w zastygłej wodzie.

Chciałem krzyknąć z zachwytu, lecz wujaszek złapał mnie za ramię i odciągnął od brzegu.

- Tsss! - syknął. Usiadł na skale. Wyjął z brezentowych futerałów wędkę, a potem karton z haczykami. Chwilę wybierał starannie muszki. Wyciągnął niewielką, z wąskimi skrzydełkami. Założył na żyłkę.

Ruchy miał wolne, pełne namaszczenia i spokoju, lecz pewne. Słomkowy kapelusz, fajka w zębach; daje słowo, bardzo mi się podobał.

Gdy wędka była już przygotowana, stanął na krawędzi głazu, popuścił nieco linki z kołowrotka, zamachnął się i zarzucił żyłkę nad wodą. Muszka szybowała chwilę w powietrzu, potem musnęła gładką toń.

- Nie czekaliśmy długo. Przeźroczy wody przecięła srebrzysta błyskawica i nagle wielki pstrąg wyskoczył do muszki. Zakotłowało się wokół spławika, żyłka naprężyła się jak struna, wujaszek zwolnił nieco kołowrotek, a potem, pełnym doskonałości ruchem, nagle poderwał, Jest! - zawołałem.

- Wielki jak smok! - zaśmiał się wujaszek. Oczy błyszcząły mu jak dziecku. - Wielki jak smok! - powtórzył. - Biorą, Marcinku! Widocznie nie widziały jeszcze wędkę.

Pstrąg nie byłby pstrągiem, gdyby nie próbował uwolnić się z haczyka. Gdy upadł na skałę, wił się jak srebrzysta sprężyna.

- Smok - powiedział wujaszek. - Większego poderwałem tylko raz w życiu w Łososinie. A szedł na haczyk jak cielę!

Ryba była piękna. Miała jasny brzuch, zielonkawy jak woda grzbiet, a po bokach czerwone cętki. Była piękna i pechowa, bo natrafiła na takiego wędkarza jak mój wujaszek.

- Teraz ty spróbuj. Musisz się czegoś przy mnie nauczyć.

Serce zabiło mi mocno, ręka mi drżała, gdy brałem wędkę, czułem, że dzieje się coś niezwykle ważnego. Wujaszek sztorcował mnie gorliwie: „To nie bat! - wołał. - Trzymaj miękko! Zwalniaj! Popuszczaj!” Przy sposobności wyzywał mnie od gamoniów, tępaków, zakichańców i patałachów. Dostało mi się porządnie, ale nie żałowałem, bo w tym dniu wyciągnąłem pierwszego w moim życiu pstrąga, a to przecież coś znaczy, zwłaszcza dla takiego jak ja mieszczucha.

Gdy go wyciągałem, nie wierzyłem własnym oczom, ale musiałem uwierzyć, bo przecież ciskał się na końcu żyłki, skakał na kamieniach i o mały figiel prysnąłby znowu do wody. Całe szczęście, że wujaszek złapał go niemal nad brzegiem. W każdym razie był żywy, jeszcze połyskliwy i mój, a gdy dotknąłem jego śliskiego grzbietu, wiedziałem, że już naprawdę zostałem wędkarzem.

Wujaszek klepnął mnie z całej siły w plecy.

- Zuch z ciebie. Piękną sztukę wyciągnąłeś. Myślałem, że z radości chlupnę do wody, ale nie chlupnąłem, tylko z pstrągiem w dłoni odtańczyłem taniec zwycięstwa, a potem już nie chciałem wracać na obiad, bo żal mi było zjeść te piękne ryby.

Łowiliśmy do południa. W południe przyszedł skwar. Niebo pobiadło i żar lał się na ziemię. Staliśmy pod wodospadem, a rozpylona woda chłodziła nam twarze.

Wracaliśmy z sześcioma wielkimi jak smoki pstrągami.

Po drodze wujaszek tłumaczył:

- Pstrąga można przyrządzić na kilka sposobów. Znakomity jest z wody, polany świeżym masłem. Lecz cóż, kłapa, nie mamy masła, więc ten sposób odpada. Można go zamarynować. Mówię ci, pycha, ale na to nie ma czasu. Świetny jest w galarecie, lecz do tego trzeba masę przypraw, których również nie mamy...

- Odpada - dokończyłem.

- Tak - wujaszek przymrużył tajemniczo oko. - Ale najlepszy jest pstrąg po rybacku. Do tego nie trzeba ani masła, ani przypraw, ani marynaty. Wystarczy tylko dobry apetyt, a tego nam nie brak.

- Chyba nie będziemy jedli na surowo! A jak je przyrządzimy bez masła, bez przypraw...

- Zobaczysz - przerwał wujaszek. - Bądź cierpliwy.

Trudno jest być cierpliwym, skoro od rana upłynęło sporo czasu, a tu człowiekowi kiszki grają rozmaite ponure melodie. Samymi widokami nie nasycisz się, choćby to były nawet egzotyczne krajobrazy Czarnogóry.

- Jestem głodny - powiedziałem, gdy przyszedliśmy do obozu.

- To bardzo dobrze - odparł wujaszek. - W domu mama skarżyła się, że nie masz apetytu.

- Teraz zjadłbym konia z kopytami!

- To jeszcze lepiej. Ba, to dowód, że jesteś zdrowy i służy ci górskie powietrze. Niestety, pstrągi jeszcze nie gotowe. Przejdź się trochę, zapomnisz o głodzie.

Cóż miałem robić? Poszedłem sprawdzić, co porabia nasz poczciwy mamut. Mamut tymczasem stał na skraju szosy i swoją obecnością urągał pięknu natury. Zastanawiałem się chwilę, jak takim gruchotem dojechaliśmy z Warszawy do Czarnogóry? Wydawało mi się to cudem, czarnoksięską magią, a cudotwórczym magikiem był naturalnie wujaszek Leon. On to, sobie tylko znanymi sposobami, potrafił tchnąć weń ducha i wykrzesać te sześćdziesiąt kilometrów na godzinę. I kto by przypuszczał, że to archeologiczne wykopalisko znajdzie się ni stąd, ni zowąd na wysokości tysiąca dwustu metrów i tu skończy - bo przecież ani przez chwilę nie wierzyłem, że ruszy stąd kiedykolwiek.

Żal mnie ogarnął, bo i cóż mogło ogarnąć wobec tego nieszczęsnego wraka?

Nagle w lesie nad szosą rozległ się przeraźliwy ryk. Początkowo myślałem, że to może ranny lew ryczy wśród pustkowia, lecz wnet zrozumiałem swoją pomyłkę. Byliśmy przecie w Czarnogórze, a nie w Libii ani w Sudanie, ani w Kenii. Tym dziwniejszy wydał mi się ten przeraźliwy ryk. Postanowiłem zbadać, co to tak ryczy.

Z duszą na ramieniu zacząłem wspinać się w skos stromej zbocza zasypanego skalnym rumowiskiem i porośłego z rzadka karłowatymi bukami.

Ryk stawał się coraz potężniejszy, coraz przeraźliwszy, jak gdyby sto lwów ryczało na nubijskiej pustyni. Nie wierzyłem własnym uszom! Lecz gdy usłyszałem ów ryk tuż nad sobą, byłem już pewny, że za chwilę stanę oko w oko ze straszliwą bestią.

Na szczęście po chwili okazało się, że nie była to straszliwa bestia, tylko przemiły czarnogórski osioł. Stał wśród głazów i unosząc łeb do góry - ryczał.

„Dziki osioł” - pomyślałem. Czytałem w jakiejś książce, że na ziemi żyją jeszcze osły w dzikim stanie i są podobno bardzo groźne. Otóż byłem teraz pewny, że stoję przed przedstawicielem tego

dzikiego gatunku.

Tymczasem ów przedstawiciel na mój widok zupełnie zbaraniał. On zbaraniał, ja zbaraniałem i staliśmy tak naprzeciw siebie zupełnie zbaranieli.

Gdybym miał przy sobie lasso, bez zmrużenia powieki zarzuciłbym mu na szyję i odesłałbym ten ciekawy egzemplarz do warszawskiego ZOO. Na pewno napisaliby o mnie w „Expressie”: „Marcin Cedro, uczeń siódmej klasy, ofiarował wspaniałomyślnie piękny okaz dzikiego osła dla naszego ZOO”. Ba, ale nie miałem lassa. Cóż mogłem robić? Pozostała mi tylko przyjemność gapienia się.

Gapiliśmy się na siebie, lecz jak długo można się gapić? Osioł pierwszy stracił cierpliwość. Wyszczерzył żółte zęby i jak nie ryknie, aż mnie ciarki przeszły!

Wpadłem na znakomity pomysł. Pobiegnę do obozu i wezwę na pomoc wujaszka Leona. On już znajdzie sposób na tego ryczącego potwora. Ujarzmi go, a potem zrobi zeń potulne ciele. Wziąłem więc nogi za pas i w te pędy machnąłem się po pomoc.

- Ratunku! Dziki osioł! - zawołałem, kiedy znalazłem się przy namiocie. Wujaszek siedział przy ognisku i odprawiał jakieś tajemne gusła.

- Nie przeszkadzaj - mruknął. - Nie widzisz, że jestem zajęty?

- Jak babcię kocham, dziki osioł! - krzyknąłem.

- Marcinku, czy ty dostałeś udaru słonecznego! Przecież w Europie nie ma dzikich osłów.

- Nie słyszał wujaszek, jak ryczał?

- Słyszałem. To pewno normalny osioł.

- Widziałem na własne oczy! Zupełnie dziki.

- Wybij sobie, chłopcze, z głowy. Tutaj pełno jest osłów. Służą po prostu jako siła pociągowa. A że ryczy? Przecież każdy osioł ryczy, zwłaszcza gdy głodny albo spragniony.

Nie mogłem sobie wybić z głowy, bo byłem przekonany, że spotkałem w górach dzikiego osła. I nie wybiłem sobie aż do południa, kiedy poszliśmy na osłą wyprawę. Tymczasem zainteresowały mnie gusła wujaszka. Jak już wspomniałem, wujaszek siedział w kucki i odprawiał jakieś czary. Na ognisku żarzyły się wielkie główne, nad nimi zwisał mocny drut, a na drucie nasze pstrągi. Wujaszek wolno obracał drut...

- Oto pstrągi z różną - powiedział.

Poczułem smakowity zapach ryby i napłynęła mi do ust ślina. Zdawało mi się, że od wyjazdu z Warszawy nic nie miałem w ustach.

- Mogę spróbować - rzekłem wspaniałomyślnie.

Wujaszek zniżał z drutu jednego pstrąga, położył go na pokrywce menażki.

- Musi przestygnąć - powiedział - a potem spróbuj. Jeżeli nie będzie ci smakował, to niech mi włosy wyrosną między zębami!

Muszę przyznać, wujaszкови nigdy nie wyrosły włosy między zębami, bo pstrąg z różną był super przysmakiem. Kiedy odarłem nieco przypaloną skórkę, ujrzałem cudownie delikatne, różowe mięso. Pachniało lekko dymem i rybim tłuszczem. Oderwałem kawałek. Mówię wam, pycha! Niech się schowają największe frykasy! Niebo w gębie!

- No i jak? - zapytał wujaszek.

- Niezłe - powiedziałem. Da się zjeść.

- Jeżeli ci nie smakuje, mogę otworzyć gulasz cielecy.

- Nie! - zawołałem. - Przecież to ósmy cud świata! Ósmy i dziewiąty jednocześnie, a wujaszek powinien otrzymać za to odznakę wzorowego kucharza!

Po obiedzie ogarnął nas nastrój błęgiego lenistwa. Położyliśmy się na materacach nad potokiem, w cieniu jodeł. W brzuchach mieliśmy cud sztuki kulinarnej, w uszach szum kaskad, a w głowie rozmaite wesołe myśli, a przede wszystkim niebieskie migdałki, bo wiadomo, że po takiej uczcie o niczym nie chce się myśleć, tylko o czymś pogodnym.

Myślelibyśmy tak do wieczora, gdyby nie przeraźliwy ryk osła.

- Do licha - zerwał się wujaszek - czy ten dardanelski kłapouch nie mógł sobie wybrać innego miejsca!

- A mówiłem, że to dziki osioł.

- Dziki nie dziki, a ryczy jak trąby jerychońskie. Pewno szuka wody. Musimy na niego zapolować.

Bardzo mi się spodobała ta myśl, bo nigdy jeszcze nie polowałem na dzikie osły. Wujaszek prawdopodobnie polował, gdyż zabrał się do roboty, jak gdyby był starym łowcą. Zeszedł nad brzeg potoku i w miejscu gdzie woda zraszała trawę, narwał jej cały snopek. Trawa była bujna, pachnąca, soczysta, w sam raz dla ryczącego osła. Związał snopek sznurkiem i roześmiał się.

- Jeżeli ten osioł nie da się złapać, to ja będę mułem!

W istocie wujaszek Leon nigdy nie został mułem, ale gdyby nawet został, to byłby najmilszym mułem na świecie.

Wzięliśmy snopek soczystej, świeżej trawy, poszliśmy w kierunku, skąd dochodziło piekielne ryczenie. Wnet wśród rumowiska skalnego zobaczyliśmy okazałe uszy, a potem całego osła. Ryczał, jakby go ze skóry obdzierali. Na nasz widok, a raczej zapewne na widok wujaszka, przestał ryczeć. Szczerzył tylko zęby i przez to stał się podobny do biednego kolegi, który nazywa się Franek Krupiński.

- Eho! - zawołał nagle wujaszek jak zawodowy poganiacz mułów w Nowym Meksyku. Głos miał tak gromki, że osioł, gdyby mógł, zzieleniałby ze zdziwienia. - Eho! - powtórzył, a potem do snopka przywiązał długi sznurek i rzucił snopek przed osła.

Osioł poczuł smakowitą wyzerkę. Nie spodziewając się podstępny, zbliżył się wolno do snopka. Złapał zębami kiść trawy. Wujaszek dał mu pokosztować, lecz gdy osioł chciał jeszcze raz skubnąć, pociągnął lekko za sznurek.

Zaczęła się pyszna zabawa; ilekroć osioł zbliżał się do snopka, wujaszek w porę pociągał za sznurek. Tak doszliśmy do obozu, a potem nad brzeg potoku. I okazało się to, co się miało okazać: osioł był okropnie spragniony. Na widok wody zapomniał o snopku, pognął nad potok i zaczął pić. Pił, pił, pił - myślałem, że pęknie. Ale na szczęście prychnął tylko kilka razy i zabrał się do skubania trawy.

- Teraz go złapiemy... - szepnąłem. Wujaszek przymrużył figlarnie oko.

- Przecież mówiłeś, że to dziki osioł.

- Mówiłem i zdaje mi się, że najdzikszy.

- W takim razie trzeba go będzie oswoić. Umiesz oswajać dzikie osły?

- Nie.

- Ja też nie, więc zostawmy go lepiej w spokoju. Jeżeli jest mądry, to sam się oswoi i zostanie przy nas.

Osioł został na wolności, nam zdawało się, że mamy osła, i wszyscy byli zachwyceni, a najbardziej nasz przedstawiciel fauny czarnogórskiej. Ni stąd, ni zowąd wierzgnął radośnie, przesadził wielki głaz, pogalopował na naszą polanę, a tam położył się na grzbiecie i rżąc dziko

tarzał się w trawie.

I, o dziwo, został na polanie i był już prawie naszym osłem.

Osiół był tak sympatyczny i tak szybko stał się członkiem naszego obozu, że dalibyśmy się dla niego posiekać.

Wieczorem siedzieliśmy przy ognisku, gotowaliśmy w kociołku herbatę i jedli resztki z obiadu: dwa pstrągi z różną na zimno.

Osiólek, oczywiście, nie siedział ani nie jadł pstrągów, tylko stał pod okapem z gałęzi i przeżuwał. Miał minę starego filozofa.

- Jak go nazwiemy? - zapytał wujaszka przy herbacie. Wujaszek zatarł radośnie dłonie.

- Oto myśl! Możemy rozpisać błyskawiczny konkurs na imię dla naszego nowego członka rodziny. Każdy napisze na karteczce swoją propozycję, a potem...

- Właśnie - przerwałem wujaszce - kto potem rozstrzygnie, które imię lepsze?

- To proste: osiołek! - zaśmiał się wujaszek.

- Dobrze, ale skąd dowiemy się, które imię przypadnie mu do gustu?

- Staniemy z przeciwnych stron polany i będziemy go wołali. Zobaczymy, do kogo wpierw podejdzie. - Wyciągnął z kieszeni notes, wyrwał dwie karteczki, podał mi jedną. - Pisz - powiedział.

- Tylko dobrze się zastanów, bo ten, kto przegra, przez cały dzień będzie mył naczynia.

- Dobra jest - odparłem. - Postaram się wygrać. Zacząłem się zastanawiać, jak nazwać naszego osiołka, a im dłużej myślałem, tym puściej miałem w głowie. Ani rusz, nic mi się nie nasuwało! W ogóle, jak można nazwać osła? Psa, to co innego, kota też, ale z osłami nie miałem nigdy do czynienia.

- Masz już coś? - zapytał wujaszek i podał mi swoją kartkę.

Niestety, nie miałem i nigdy bym nie miał, gdyby mi nagle nie strzeliło coś do głowy. Coś niezwykle oryginalnego. Napisałem więc na swojej karteczce dużymi literami: ALIBABA. Niech wujaszce oko zbieleje! Niech wie, że i mnie stać na pomysły. Bo cóż ten jego zwykły KUBA wobec mojego egzotycznego - ALIBABY.

- Bravo! - zawołał wujaszek. - Mnie się bardzo podoba. Zobaczymy, co na to powie nasz miły osiołek.

Staliśmy więc po przeciwnych stronach polany, ja pod stuletnim bukiem, wujaszek pod strzelistą jodłą, a w środku, z miną filozofa, nasz kłapouch. Na dany przez wuja znak zaczęliśmy wołać: ja - Alibaba, a wujaszek - Kuba. A z tego powstał zupełny galimatias i słychać było zlewający się okrzyk: - Ali-ku-ba-ba-ba-ba-ku-ali-ba-ba...

My wydzieraliśmy się dziko, a osioł ani drgnął. Stał w tym samym miejscu i z pogardą machał ogonem.

Wtem w lesie odezwał się śpiewny, wysoki głos:

- Hej-ooo! Buszin... Hej... ooo!

Osiólek nastawił uszu. Chwilę stał nieruchomo. Nagle drgnął i niemal galopem ruszył w kierunku, skąd dochodziło wołanie.

Zamurowało nas. Wujaszek spojrzał na mnie, ja na wujaszka, a potem razem patrzyliśmy za odchodzącym osłem. I mieliśmy strasznie głupie miny, bo na nic innego nie było nas stać. Cały konkurs - jedna wielka kłapa, a do tego, kto jutro będzie mył naczynia? Naraz zaczęliśmy się zdrowo śmiać. Zdawało się, że pękniemy ze śmiechu, ale zanim zdążyliśmy pęknąć, zobaczyliśmy na skraju lasu starego Czarnogórca. Wyszedł z ciemnego lasu jak zjawą. Stał przed nami, trzymając za

grzywę osła.

- Dobry wieczór - powiedział tym swoim wysokim, śpiewnym głosem.

- Dobry wieczór - odpowiedzieliśmy i na tym skończyła się chwilowo nasza rozmowa, bo stary mówił po serbsku, a my po polsku i dłuższy czas nie mogliśmy się zrozumieć.

Stary był chudy, kościsty, żyłasty. Twarz miał suchą, ale piękną. Śniada skóra w tysiącach zmarszczek, oczy czarne, nos orli i siwe włosy wymykające się spod starego kapelusza. W blasku ogniska wyglądał trochę jak duch, a trochę jak posąg i gdyby nie osioł, którego wciąż trzymał za grzywę, mógłbym przypuścić, że zjawił się wróżbita z baśni.

Nie miałem pojęcia, jak należy zachować się w tak nieoczekiwanych chwilach. Na szczęście był przecież wujaszek Leon. Zachował się tak, jakby ten stary czarnogórski pasterz chodził z nim razem do szkoły, jakby siedzieli w jednej ławce i podpowiadali sobie na lekcjach.

Rozłożył więc szeroko ręce, przywitał go ze staropolską gościnnością. Mówił doń jakimś niezrozumiałym językiem - trochę po polsku, trochę po rosyjsku, może nawet po turecku. Licho wie. Niezrozumiałe, ale grunt, że stary rozumiał i wnet poczuł się, jakby przyszedł do znajomych na pogawędkę. Uśmiechnął się przyjaźnie, a wujaszek dalej swoje: że osiołek jest najmilszym stworzeniem pod słońcem, a my opiekowaliśmy się nim jak własnym dzieckiem. Brakowało mu tylko ptasiego mleka. Że stary zjawił się w samą porę, bo Buszin usychał za nim z tęsknoty i w ogóle... Miał wujaszek zdolności, miał! Za chwilę odegrał scenkę przyprowadzenia osła do wodopoju, a potem niemal się rozplakał, gdy opowiadał, z jakim apetytem osiołek pił wodę.

Stary stał oczarowany. Powtarzał w kółko:

- Dwa dni go szukałem... Dwa dni go szukałem... a psiajucha urwał mi się...

Tak powtarzał, dając słowo, bo wreszcie pojąłem kilka słów. Wujaszek tymczasem zaprowadził górala do ogniska, posadził na honorowym miejscu i dał koncert polskiej gościnności. Taki już był mój wujaszek. Nie zważał, że jesteśmy bankrutami, bez pieniędzy i bez nadziei na dalszą podróż. Wyciągnął z plecaka resztki naszego prowiantu. Otworzył puszkę z cielęcym gulaszem, zagrzał ją nad ogniem, a potem z dna plecaka wygrzebał butelkę żubrówki, nalał do aluminiowych kubków i - czym chata bogata.

Wypili najpierw za zdrowie Buszina, potem za przyjaźń polsko-jugosłowiańską, za polskich partyzantów i za jugosłowiańskich partyzantów i byliby wypili na pewno za zdrowie wszystkich partyzantów na świecie, gdyby starczyło żubrówki.

Staremu poweselały oczy, wujaszekowi poczerwieniał nos, a mnie już przy toaście za polskich partyzantów zachciało się spać, bo byłem ogromnie zmordowany upalnym dniem.

Słyszałem jeszcze, jak śpiewają polskie i czarnogórskie pieśni ludowe: wujaszek - „Hej, przeleciał ptaszek”, a stary - „Tamoj dajleko!”, a potem już tylko szum potoku dźwięczał mi w uszach i gwiazdy wirowały nade mną, a może tylko iskry z ogniska.

Zasnąłem.

- Wstawaj, leniwy borsuku! Wstawaj, zaspany suśle! Idziemy na wysokogórską wyprawę!

Nie wiedziałem, co się ze mną stało. Zasnąłem przy ognisku, a teraz leżałem wygodnie na materacu, w śpiworze i gapiłem się na czyste niebo przezierające przez gałęzie. Po chwili zobaczyłem mojego niedoszłego Alibabę, a przy nim starego Czarnogórca.

- Mamy zaproszenie od Dziadka! - wołał nade mną wujaszek. - Wstawaj, bo wnet wyruszamy w góry, na hale. Później będzie za gorąco.

Nowa niespodzianka! My bez grosza, nasz wehikuł w stanie kompletnego rozkładu, a wujaszek

organizuje wyprawę wysokogórską! Bardzo mi się spodobał ten pomysł. Marzyłem o tym, żeby kiedyś zwiedzić wysokie góry. Miałem jednak pewne obawy. Z czego będziemy żyli? Chyba że na halach Sinjajeviny rośnie manna, którą w ubiegłym roku zasiał nasz krzepki właściciel osła.

Nie było jednak czasu na rozważania. Jeżeli wujkowi strzeliło coś do głowy, to i tak nie ma na to rady. Wyskoczyłem ze śpiwora i zawołałem:

- Hurr! Idziemy w góry! A echo mi odpowiedziało: „... ury... ury...ury...”

I znowu było cudownie. I znowu czekały nas nowe przygody.

Tymczasem szykowaliśmy się do wyprawy. Stary góral sporządził juki z materaca. Na juki wsadziliśmy namiot i plecaki, a nasz Buszin miał to wszystko dźwigać. Myślałem, że ugnie się pod tym ciężarem, ale kłapouch ruszył dzielnie, jakby niósł na grzbiecie niemowlę.

Pierwszy szedł Dziadek, prowadził Buszina, za Buszinem wujek Leon, a na końcu - ja. Doszliśmy do szosy, gdzie w cieniu strzelistych jodeł, wśród niezmaconej ciszy drzemał nasz poczciwy mamut.

- Wujaszku - zapytałem - czy on tu już na zawsze zostanie?

- O, nie! - zaprotestował. - Zobaczysz, zrobimy na nim jeszcze kilka dobrych kilometrów.

- Wujaszek chyba wierzy w cuda!

- Nie, mój drogi, tylko wierzę w mamuta. - A potem dodał poważnie: - Nasz mamut wygląda, jakby chciał się już, już rozlecieć, a tymczasem jeszcze ho! ho!

Nie wiedziałem, co miało oznaczać to gromkie „ho! ho!”, ale wujaszek zapewne wiedział. Zapytałem tylko:

- Czy zostawimy naszego mamuta tutaj?

- A co mu się stanie?

- Nie martw się, nikt się na nim nie pozna.

- Powiedzmy, że spodoba się komuś.

- Mamy jeszcze kilka kanistrów benzyny. Wujaszek cmoknął zniecierpliwiony.

- Przecież nikt jej nie wypije. Miej trochę zaufania do ludzi. Dziadek Czarnogórzec na widok naszego mamuta przystanął.

- To wasz? - zapytał.

- Nasz - odparł z dumą wujaszek. Dziadek pokiwał z uznaniem głową.

- Piękny wóz! Pamiętam, podczas pierwszej wojny byłem na froncie i raz jeden generał przyjechał takim... Teraz już takich nie ma. Tandetę robią! - splunął przez zęby i zawołał na Buszina:

- Ej... ooo!... Buszin, ej... ooo!

- Widzisz! - zwrócił się do mnie wujaszek. - On jeden poznał się na naszym mamucie.

Z szosy skręciliśmy na górską ścieżkę. Pięła się zakosami przez zbocze zasłane rumowiskiem skalnym, porośnięte z rzadka krzakami. A kiedy przechodziliśmy nad urwiskiem, po ławach skalnych tak wąskich, że jedno poślizgnięcie groziło stoczeniem się w przepaść, podziwiałem Buszina. Kroczył spokojnie za Dziadkiem, kiwając miarowo głową. Nawet się nie potknął.

- Czy on nie dostanie zawrotu głowy? - zapytałem wujaszka.

- Człowieku, przecież to najlepszy alpinista wśród juczych zwierząt! Tam gdzie nie dotrze ani koń, ani muł, osioł idzie z zamkniętymi oczami. Bez osła życie byłoby trudne w tych górach. Jest on dla ludzi samochodem, ciągnikiem, helikopterem. Jednym słowem, niezastąpionym środkiem transportu. Dzielne stworzenie i mądre. A to, że nieraz kogoś nazywają osłem, powinno być dla człowieka zaszczytem, a dla osła, niestety, krzywdą.

Chciałem zawołać na wujaszka: „Ty osle dardanelski!” - ciekaw jestem, czy bardzo byłby

zaszczycony. Jednak nie zawołałem, bo właśnie zbliżaliśmy się do spienionego potoku, nad którym wisiała wąska kładka sklecona z dwóch świerkowych pni. Z jednej strony była skalna ściana, pod ścianą wąska półka i - przepaść. Potok spadał z hukiem. Woda rozbijała się o skały w tęczowe bryzgi, a w powietrzu wisiała mgła. I pnie kładki były od niej wilgotne i oślizłe.

Przejście przez ten wiszący most wydało mi się szaleństwem.

Góral przystanął. Myślałem: „Może zawrócimy...” Ale skądże! Stary uchwycił Buszina krócej, tuż przy pysku. Wszedł pierwszy na wiszącą ławę.

- Ej... ooo! Ej... ooo! - zawołał.

Osiół parsknął, a potem spokojnie ruszył za góralem. Zamknąłem oczy. Zdawało mi się, że za chwilę runą do spienionego potoku. Słyszałem tylko ogłuszający huk wody i wysoki, śpiewny głos górala: - Ej... ooo! Buszin! Ej... ooo! A gdy otworzyłem oczy... byli już na drugim brzegu.

- Oni powinni występować w cyrku - powiedziałem. Wujaszek westchnął radośnie.

- To był piękny widok. A teraz my walimy!

Łatwo było mu powiedzieć - walimy! Niech wali pierwszy, niech pokaże, co umie, bo ja bynajmniej nie miałem ochoty. Czulem, że nogi mam z waty, a w głowie zamęt.

- Boisz się? - zapytał wujaszek.

- Nie, tylko trochę.

- Jeżeli tylko trochę, to świetnie, bo ja też tylko trochę - roześmiał się i pierwszy wstąpił na wiszącą kładkę. Pnie ugięły się pod jego ciężarem, ale wujaszek nie zawrócił.

Cóż miałem robić? Nie wypadało odgrywać zastraszonego mieszczucha. Raz kozie śmierć! Ruszyłem. Nie spojrzałem ani w lewo, ani w prawo, patrzyłem tylko prosto przed siebie i krok za kroczkiem sunąłem po oślizłych pniach. Nawet nie wiem, kiedy znalazłem się na drugiej stronie. Odsapnąłem z ulgą. Radość mnie ogarnęła, bo to bardzo przyjemnie przemóc własny strach i przełamać słabość.

Przełamałem. Byłem ogromnie szczęśliwy.

Wujaszek Leon nie śmierdzi groszem, a zachowuje się jakby był Rockefellerem albo innym Fordem.

Mieliśmy piękny odbiornik tranzystorowy, oryginalny japoński, firmy Mizuno, i już go nie mamy. A było tak: Dziadek urządził wielkie przyjęcie. Zebrał synów, synowe, zięciów. Wszyscy oczywiście Czarnogórcy i wszyscy niezwykle serdeczni. Przyjęli nas, jakbyśmy od pradziejów należeli do ich pasterskiego klanu.

- Patrzcie - powiada Dziadek, pokazując na wujaszka. - Oto przedstawiciel szlachetnego narodu polskiego, gospodin Leon. - A potem wymienił wszystkie zalety mojego wujaszka i powiedział, że należy go ugościć.

Więc ugościli.

Kiedy tylko mrok zapadł i pogasły ostatnie poblaski na wysokich górach, młodzi górale rozpalili ognisko i zaczęli piec jagnię na rożnie. Piekli to jagnię, grali na rozmaitych instrumentach: skrzypcach, fletach, basach - i śpiewali piękne czarnogórskie pieśni. Jagnię piekło się na rożnie, kobiety obracały je to na jedną, to na drugą stronę, a *MEŹCZYŹNI* wciąż grali, śpiewali i podawali sobie szklanice ze śliwowicą i z winem, a szklanica krążyła z rąk do rąk. I było zupełnie jak w starych baśniach.

Najbardziej baśniowy okazał się nasz wujaszek. Nie znał serbskiego, a śpiewał jak rodowity góral z Sinjajeviny i wyglądał zupełnie jak król czarnogórski Miki-ta, o którym do tej pory krążą

wśród ludu legendy. Jestem pewny, że o wujaszku Leonie też będą krążyć, bo gdy przyszedł czas na taniec, mój rodzony wuj w takt muzyki czarnogórskiej zatańczył naszego kujawiaka, a potem oberka i wszystkich wprowadził w zdumienie. Na koniec opowiedział o polskich partyzantach, jak to w Puszczy Kampinoskiej napadli na kolumnę hitlerowców i wybili ich do nogi.

Ludzie rozdziawiali gęby i wszystkim włos zjeżył się na głowach, a najbardziej mnie, bo wujaszek tak wspaniale odegrał tę scenę, że włos musiał się zjeżyć. Stał przed ogniskiem i zaczął odgrywać.

On był partyzantem, a jagnię na rożnie kolumną hitlerowską i do tego zmotoryzowaną. Więc wujaszek złapał spory patyk i krzyczy: - My pa... pa... pa... a oni trach... trach... trach. My granatami bam! bam! bam!, a oni z moździerza - bech! bech! bech! A potem nasi ludzie - „hurrra!” - a oni w krzaki!...

Tymczasem jagnię, oczywiście, nie umknęło w krzaki, bo było już zupełnie upieczone i aż się prosiło, żeby je zjeść. Położyli więc je na desce, a Dziadek wyjął wielki nóż, naostrzył na osetce i zaczął dzielić. Każdy dostał kawał wspaniałej pieczeni, kawał chleba i szklanicę czerwonego wina.

O tym, jaka pyszna to była pieczeń, należałoby napisać osobny poemat.

Ale muszę dokończyć opowiadanie o tranzystorze.

Mieliśmy znakomity odbiornik tranzystorowy firmy Mizuno. Łapał wszystkie stacje europejskie na falach średnich i długich, lecz, szczerze mówiąc, od wyjazdu z Warszawy nigdyśmy go nie włączali, bo wujaszek wolał słuchać szumu potoków i śpiewu ptaków. Leżał więc na dnie plecaka, obok aparatu fotograficznego i czekał, kiedy go uruchomimy.

Wujaszek przypomniał sobie o nim dopiero na wysokości tysiąca sześciuset metrów, miał bowiem zamiar nastawić zegarek według czasu radiowego. Nie wiem, skąd ten pomysł. Podczas włączki orientował się zwykle po słońcu, jak pierwotny człowiek. Teraz nagle zapragnął być człowiekiem cywilizowanym. Włączył więc odbiornik i zaraz złapał Sarajewo. Ale zamiast sygnału czasu, usłyszeliśmy koncert bośniackiej muzyki ludowej. Najpierw grali, a potem śpiewali, a najpiękniej śpiewała jakaś kobieta o aksamitnym głosie. Można było słuchać i słuchać, i zasłuchać się do nieprzytomności. Nic więc dziwnego, że zasłuchaliśmy się, a Dziadek westchnął radośnie:

- Ej, nie ma to jak dawne pieśni!

- Nie ma to - powtórzył wujaszek.

- Serce się kraje... Bośniacy pięknie śpiewają. Znałem jednego, byliśmy razem na froncie, a jak zaśpiewał, to się po górach niosło. Ej, niosło się... - dokończył w zadumie.

Wujaszek wzruszył się ogromnie, że tak się niosło po górach, więc zapytał:

- Chcielibyście od czasu do czasu posłuchać, jak Bośniacy śpiewają?

- Ano, co bym nie chciał.

- To przyjmijcie ode mnie ten skromny podarek. - Skłonił się uroczyście i wręczył Dziadkowi tranzystorowy odbiornik.

Tak więc nie mamy już japońskiego odbiornika, a wujaszek nie będzie musiał regulować zegarka według radiowego czasu. Na drugi dzień rano zapytałem go:

- Czy nie moglibyśmy posłuchać Warszawy? Ciekaw jestem, jaka u nas pogoda?

- Na pewno taka sama jak tutaj - odparł nieco naburmuszony.

- I warto by było wiedzieć, jaki mamy stan wody na Wiśle.

- Normalny - bąknął.

- I w ogóle, dawno już nie słyszałem polskiego języka.

- A ja jak do ciebie mówię, po turecku?! - huknął wujaszek.

- Właśnie - rzuciłem uszczypliwie - wydaje mi się, że wujaszek z tymi góralami mówi po turecku.

- Mówię, jak potrafię. Grunt, że się świetnie rozumiemy. - Wielki czarodziej zapalał fajeczkę.

Ciągnął, cmokał, sapał, jak gdyby w ten sposób chciał mi dać do zrozumienia, że przejrzał moje zamiary. Naraz uśmiechnął się: - Mój drogi, jeżeli ludzie są dla siebie serdeczni i przyjaźni, to zawsze porozumieją się ze sobą. A z tym tranzystorem nie zawracaj mi głowy. Dałem, bo miałem ochotę. I nie żałuję. Lubię dawać, a ty mnie nie ucz!

- Przecież nic nie powiedziałem...

- Znamy się na takich!

- Wujaszku - westchnąłem - moglibyśmy sprzedać ten aparat. Jeżeli się nie mylę, jesteśmy bez pieniędzy... A tak chciałbym zobaczyć morze i palmy...

- Bądź spokojny. Wkrótce zobaczysz i to... ho! ho!

Tymczasem zobaczyłem coś, czego nawet nad Adriatykiem zobaczyć nie mogłem.

Było to po śniadaniu. Od Prokletije szedł wiatr, a na hali między głazami falowały trawy. Zdawało się, że cały stok olbrzymiego masywu płynie ku szczytom poprzez wielkie skały i głazy. A niebo było fiołkowe, usiane białymi obłokami jak morze pianą.

Młodzi juhasi pognali rano owce i kozy na pastwisko. Wysoko, pod samymi turniami, widać było jeden kierdel. Jak chmurka przesuwiał się po zielonym upłazie.

Siedzieliśmy pod szałasem. Wujaszek z fajką w zębach, w słomkowym kapeluszu wyglądał jak prawdziwy baca. A ja oddałem się rozmyśleniom. Marzyłem o rekinach i palmach. Oto siedzę sobie pod jedną palmą, patrzę, jak rekiny prują spienione fale, jak delfiny igrają w zatoce, a tu nagle spada mi na głowę wielki orzech kokosowy. Na chwilę mnie zaćmiło, ale tylko na chwilę, bo wnet usłyszałem głos wujaszka:

- Słuchaj, Marcin, czy myśmy przypadkiem nie zapomnieli zanieść kanarków do ciebie?

Bęc! Przysty marzenia i znowu znalazłem się na hali, a raczej w Warszawie, bo kanarki były przecież u wuja, na ulicy Wiktorskiej. Oczywiście, zapomnieliśmy, bo przed wyjazdem u wujaszka panował taki kosmiczny bałagan, że trudno było nie zapomnieć!

Tu muszę wyjaśnić, że wujaszek Leon nie miał żony, ale miał za to trzy pary kanarków. Jeden z nich, Filon, otrzymał nawet na konkursie śpiewu w Pałacu Kultury pierwszą nagrodę i medal! Jednym słowem artysta i do tego laureat. A teraz wielkiemu artyście wraz z współtowarzyszami niedoli groziła śmierć głodowa, bo zapomnieliśmy przenieść kanarki z mieszkania wujaszka do naszego domu!

Zaczęliśmy się martwić i o niczym innym nie myśleliśmy, tylko o tych nieszczęsnych ptakach. Martwilibyśmy się tak chyba do wieczora, lecz naraz wujaszek roześmiał się wesoło.

- Kanarki są uratowane! Mama na pewno zabrała je już do domu! Przecież zostawiłem jej klucze...

Od razu odzyskaliśmy humor i świat wydał nam się piękniejszy. Czegóż nam mogło brakować? Byliśmy po dobrym śniadaniu, oddychaliśmy powietrzem naładowanym ozonem i promieniami ultrafioletowymi, patrzyliśmy na wspaniałe górskie widoki! Żyć nie umierać! Zwłaszcza że za chwilę mieliśmy zobaczyć coś, czego nie można było nawet przewidzieć.

Oto na ścieżce wyłaniającej się spośród drzew ukazała się egzotyczna karawana: kilka juczych osłów, kilku młodych, do połowy obnażonych ludzi pohukiwających i pokrzykujących. Przodem szedł wysoki brodac. Z daleka wyglądał jak oryginalny Beduin, gdyż głowę miał otoczoną białym

ręcznikiem, a wzrok utkwiony w sinej dali.

- Kto to może być? - zapytałem zdumiony.

Wujaszek nic nie odpowiedział, tylko wstał i pełnym godności krokiem ruszył na spotkanie karawany. Ruszyłem i ja, bo byłem ciekaw, co to za jedni.

Wujaszek, jak to wujaszek, gdyby mógł, przywitałby ich chlebem i solą. Niestety, chleba ani soli nie było pod ręką, więc nasz mag i czarodziej witał ich dobrym słowem. Najpierw po polsku, potem tym swoim serbo-tureckim językiem, a gdy go nie zrozumieli, zaczął po angielsku. Beduin jakby na to tylko czekał. Gęba mu się rozjaśniła i dalejże z wujaszkiem po angielsku, jakby miał w brzuchu taśmę magnetofonową!

Nic z tego nie rozumiałem, więc stałem jak na tureckim kazaniu. Wujaszek tymczasem rozdawał swoje bezcenne uśmiechy.

Czekałem, co z tego wszystkiego wyniknie.

Wynikła wielka sensacja, bo okazało się, że to nie żadna karawana, tylko naukowa ekspedycja angielska z Królewskiego Instytutu Farmakologii, a czarny brodacz nie jest wcale Beduinem, tylko docentem uniwersytetu. Ale to jeszcze nic! Najważniejsze miało okazać się dopiero za chwilę; wujaszek podszedł do mnie i powiedział:

- Zdaje mi się, że chwilowo jesteśmy uratowani.

- Uratowani? - zdziwiłem się.

- Tak, mój drogi... będziemy łowili żmije. W tym miejscu zupełnie zbaraniałem.

- Żmije?! - krzyknąłem. - Dlaczego żmije?

- Zapytaj uczestników ekspedycji - uśmiechnął się wujaszek. - Potrzebne im są żmije do jakichś eksperymentów naukowych. Dowiedzieli się, że na Sinjajevinie jest zatrząsienie tego plugastwa, więc wybrali się tutaj i podobno dobrze płacą za schwytane żmije.

Tak to powiedział, jakby chodziło o robaczki świętojańskie albo biedronki. Na samą myśl, że mam łowić żmije, włos mi się zjeżył i pobladłem.

- Czy wujaszek łowił kiedyś żmije? - zapytałem drżąc z przejęcia.

- Nie, ale wszystkiego można się nauczyć.

- Przecież to bardzo niebezpieczne.

- Jeżeli oni łowią, to dlaczego my nie możemy spróbować? Praca jest pożyteczna, dla celów naukowych, w dobrych warunkach klimatycznych. Szczerze mówiąc, pasjonująca. Nigdy jeszcze nie byłem łowcą żmij. Wszystkiego trzeba spróbować.

Masz babo placek! Mój wujaszek, o którym pisali w „Życiu Warszawy”, że jest wynalazcą maszyny elektronicznej, potrafiącej w ciągu sekundy rozwiązać ileś tam zadań matematycznych, jednym słowem - chluba rodziny i naukowiec całą gębą, nagle chce zostać łowcą żmij!

Kom-pro-mi-ta-cja!

- Już lepiej wracajmy do domu - zaproponowałem skromnie.

- Ba! Ale czym? - huknął wesoło wujaszek. A gdy zobaczył, że zmarnotniałem, potarł mi lekko za ucho. - Do góry głowa! Daję ci słowo, że nic nam się nie stanie. Spróbujmy, a jak nam się nie spodoba, to im po prostu dziękujemy. Nie ma, mój drogi, sytuacji bez wyjścia. Trzeba tylko pogodnie patrzeć na świat i umieć żyć z ludźmi. Głowa do góry, Marcinku, zobaczysz, że to pasjonujące zajęcie!

- Ile oni płacą za jedną żmiję? - zapytałem wujka Leona, gdy wróciliśmy pod nasz namiot.

- Dolara.

- Nieźle! - powiedziałem. - To tak, jakby siedemset pięćdziesiąt dinarów. Zaraz zaczęliśmy kalkulować: gdybyśmy złapali dziesięć żmij, zarobiliśmy siedem i pół tysiąca, za sto dostalibyśmy siedemdziesiąt pięć tysięcy, a za siedemdziesiąt pięć tysięcy dinarów można puścić się w daleką podróż. Siedzieliśmy przed namiotem, piliśmy kozie mleko i byliśmy już w wyobraźni posiadaczami fortuny. A żmije czekały na nas i same się prosiły, żeby je tylko łapać. Za kilka dni będziemy mieli ciężką forszę, gwizdniemy na mamuta, kupimy sobie w Budvie żaglówkę i wypłyniemy pod czarną banderą.

Życie znowu wydało nam się piękne i pełne uroku.

Tymczasem Anglicy zakładali obóz. Na środku postawili wielki, czerwony namiot, przeznaczony na magazyn i kuchnię, a wokół małe, żółte namiociki biwakowe.

Do południa obóz był gotowy. Docent przestał być Beduinem, bo zdjął z głowy ręcznik. Został normalnym Anglikiem. Palił fajkę, mówił przez nos i uśmiechał się bez powodu.

Przyszedł do wujaszka i zaprosił nas na obiad, bo chciał z wujaszkiem porozmawiać o żmijach.

Trzeba przyznać, że obóz mieli pierwszorzędnie zorganizowany - cybernetycznie, daję słowo! Kuchnia nowoczesna: dwie butle z gazem, płyta na cztery fajerki i zbiornik na gorącą wodę. A magazyn - jak apteka: każda skrzynka ponumerowana, na każdej tabliczka z napisem, jaki prowiant i ile znajduje się w skrzynce. Wszystko w puszkach i wszystko w proszku lub w pigułkach i witaminizowane, żeby Anglikom nie powylatywały zęby.

Jedliśmy ten obiad w proszku i rozmawialiśmy o żmijach i innych sprawach, zresztą nie wiem o czym, bo mówili przecież po angielsku, a ja ani me, ani be. Pozostało mi tylko robić mądrą minę wtedy, kiedy wszyscy się śmiali. Haniebne zajęcie!

Podobno na obiad była zupa grzybowa, wołowina duszona i pudding z kremem. Gdyby nawet podali potrawy w odwrotnej kolejności, też nic by się nie stało, bo pudding śmiało mógł być zupą grzybową, a wołowina puddingiem. Okropnie mi te potrawy w proszku nie smakowały, ale nie wypadało grymasić. Jadłem z zamkniętymi oczami, wszystko rosło mi w ustach, lecz robiłem minę, jakby to były same frykasy, kuchnia kategorii specjalnej.

Gdy skończyłem jeść tę kleistą maź, którą oni nazywali puddingiem, odetchnąłem z prawdziwą ulgą, bo już nie musiałem udawać, że mi smakuje. Powiedziałem jeszcze na dokładkę „thank you”, żeby nie myśleli, że jestem źle wychowany - i zacząłem się okropnie nudzić.

Wujaszek oczywiście nie nudził się, bo cały czas rozmawiał o żmijach. Z jego miny i gestów wynikało, że jest najlepszym specjalistą od gadów, a od urodzenia nic nie robił, tylko łowił żmije, ba, może same grzechotniki i kobry!

Gdy wreszcie wstał, swoim zwyczajem zatarł dłonie i powiedział:

- Szykuje się świetna robota. Zdaje mi się, w ciągu kilku dni zarobimy tyle forsy, że będziemy mogli sobie hulać po całej Jugosławii. Zaraz ruszamy na rekonesans.

Docent podzielił nas na grupy, rozdał mapy i każdej grupie wyznaczył rejon poszukiwań. Mnie przydzielił do Toma, młodego studenta farmakologii. Mieliśmy przetrząsnąć wielką dolinę na wschodnich stokach Sinjajeviny; dolina nazywała się bardzo romantycznie - Dolina Srebrzystych Głazów. Mój towarzysz wyglądał na morowego chłopca, zwłaszcza że przypominał mi sławnego piłkarza angielskiego Charlesa Wrighta, którego zdjęcie kilka razy widziałem w „Przeglądzie Sportowym”.

Wyglądał bardzo morowo i sympatycznie, lecz miał jedną wadę - nie umiał ani słowa po polsku. Ja zaś prócz „thank you” i „shut up” nie znałem ani słowa po angielsku.

Okazało się jednak, że nie zawsze trzeba znać język swego rozmówcy, żeby się z nim porozumieć. Wystarczą czasem tylko ręce i nogi i inteligentne posługiwanie się nimi.

Gdyśmy tylko wyszli z obozu, zaraz pokazałem palcem na niego, powiedziałem: „Charles Wright” i zacząłem niby to kopać piłką.

W mig zrozumiał, o co chodzi. Roześmiał się, pokazał na siebie i zaczął również udawać, że kopie piłkę. W ten sposób rozegraliśmy mecz piłkarski Polska-Anglia i uśmialiśmy się za wszystkie czasy. On wiedział, że gram w drużynie szkolnej na prawym skrzydle, ja wiedziałem, że on gra w drużynie uniwersyteckiej na środku ataku, i od razu było all right.

Tom nie chciał być dłużny; w imponującym stylu wykonał trójskok i powiedział: „Josef Szmidt”.

- Złoty medal na Olimpiadzie w Tokio! - zawołałem z dumą.

- Oh, yes - potwierdził Tom. - The gold medail in Tokyo!

I wszystko było jasne, a najjaśniejsze, że naszego znakomitego trójskoczka znają na całym świecie i wiedzą nawet, że miał wodę w kolanie. Oko wszystkim zbieleło, kiedy skoczył szesnaście metrów i osiemdziesiąt pięć centymetrów, I proszę, czy tak trudno porozumieć się z Anglikiem?

Kiedy doszliśmy do Doliny Srebrzystych Głazów, byliśmy już w dobrej komitywie. Opowiedzieliśmy sobie mnóstwo ciekawych rzeczy. Wprawdzie od tego mówienia bolały mnie ręce, ale czego nie robi się dla cudzoziemca, zwłaszcza dla takiego morowego jak Tom.

Stanęliśmy na wysokiej grani. Grzbiet górski wyginał się łukiem ku szczytowi. Pod samym szczytem leżał wielki kocioł skalny, zasłany głazami. Nic tylko głazy i głazy!

Niżej, wśród urwisk, ciągnęła się przepiękna dolina. Na przeciwnym stoku widniały płaskie, strome głazy. Spływała po nich woda i błyszczały w słońcu jak srebrne tafle. To od nich pochodziła nazwa doliny. Staliśmy w milczeniu, oniemieli z zachwytu nad pięknem tego groźnego i dzikiego pustkowia. Cisza dźwięczała nam w uszach. Wiatr ustał. Wszystko zakrzepło w żarze południowego słońca i tylko cienie obłoków sunęły wolno po wysrebrzonych głazach i zielonych zboczach jak ścigające się potwory.

Oniemieliśmy z zachwytu, lecz nie wypadało oniemić na zbyt długo. Trzeba było szukać żmij. Pustkowie zupełne: ani ścieżki, ani nawet ścieżynki wydeptanej przez dzikie zwierzęta, tylko głazy i głazy, a wśród głazów dziwnie powykręcane krzewy, kępy spalonej trawy, karłowate drzewa...

Jednym słowem - idealne miejsce dla żmij. Wyobrażałem sobie, że na każdym głazie leży zwinięta w kłębek żmija. Wygrzewa się w słońcu i tylko czeka, kiedy nadejdą Anglicy z Królewskiego Instytutu Farmakologii i zamarynują ją w słoiku, żeby później przeprowadzać naukowe badania i pisać o tym w gazetach.

Przyznaję, miałem lekkiego pietra, bo ze żmijami nie ma przecież żartów. Ale zrobiłem bojową minę i gromkim głosem powiedziałem:

- Idziemy!

Niech Tom nie myśli, że Polacy boją się jadowitych węzów.

Zaczęliśmy schodzić. Droga była trudna. Szliśmy więc wolno, skacząc z głazu na głaz i rozglądając się za żmijami. A żmij jak na złość, nie było! Było natomiast mnóstwo ślicznych, zielonych i złotych jaszczurek. Przyczepione nieruchomo do skał, wyglądały jak klejnoty. Na odgłos naszych kroków zwinnymi, błyskawicznymi ruchami ginęły w załomach głazów.

Tom zaczął się denerwować. Sądził zapewne, że nigdzie na świecie nie ma tyle żmij, co w tej dolinie, tymczasem chodziliśmy może pół godziny i nie napotkaliśmy ani jednej. Zrobiło mi się trochę głupio. Bo to przecież śmieszne: przyjechał specjalnie z Londynu, chce robić doświadczenia

naukowe, a tymczasem żmije, jak na złość, nie pokazywały się. Co powie Docent, kiedy wrócimy do obozu z wiadomością, że na żmije przyszła zaraza? Nie uwierzy. Gotów jeszcze posądzić nas o sabotaż.

Było gorąco. Powietrze zastygło nad doliną, z nieba lał się żar. Znaleźliśmy więc cieniste miejsce pod okapem wielkiego głazu, ułożyliśmy się wygodnie i zaczęliśmy marzyć o kłębowisku żmij. Tom palił papierosa, ja gryzłem żdźbło trawy, a żmije, jeśli nawet były w pobliżu, bimbały sobie z nas i drwiły.

Zeszliśmy na dno doliny.

Żmij jak nie było, tak nie było. Był natomiast fantastyczny kanion wyżłobiony przez potok w litej skale. Woda przebijała się z szumem przez gardziel górską, spadała coraz niżej i niżej. Z jednej strony wznosiła się potężna skała, jak ściana z gładkiego marmuru, z drugiej - rozesłały się głazy. Dno było białe, wapienne, a woda odbijała niebo, obłoki i skały.

Tom stanął na brzegu, przykucnął, nabrał w dłonie wody i pił łapczywie. Położyłem się obok niego na brzuchu. Zanurzyłem twarz w potoku. Woda była cudownie chłodna, a gdy zanurzony w niej otworzyłem oczy, widziałem białe kamienie i pręgi słońca falujące w głębinie.

Rozebraliśmy się. Skoczyłem pierwszy. Czuję jak pstrąg, który zerwał się z wędki. Nabrałem powietrza i jeszcze raz poszedłem pod wodę. Nurkowałem z otwartymi oczami. Na dnie widziałem małe jak palec rybki, które uciekały przede mną w popłochu.

Zaczęliśmy się obryzgiwać, śmiać, pluskać.

Wreszcie wyszliśmy na brzeg, położyliśmy się na płaskim głazie i grzaliśmy się w słońcu. Było cudownie. I byłoby jeszcze lepiej, gdyby nie te przekłete żmije, o których nie mogliśmy zapomnieć.

Po kąpieli czuliśmy się wspaniale. Z nadzieją, że wreszcie coś znajdziemy, zaczęliśmy się wspinać na zbocze. W pewnej chwili Tom zatrzymał się nagle przy wielkiej niszy skalnej; wśród głazów widniała niewielka szczelina. Tom dał mi znak ręką, żebym się zatrzymał. Podeszedł do szczeliny i za chwilę znikł w niej cały, jak gdyby zapadł się pod ziemię.

Byłem przekonany, że nareszcie znalazł legowisko żmij. Skóra ścierpła mi na grzbiecie.

Po chwili jednak Tom wyłonił się ze szczeliny i przywołał mnie do siebie, a potem znowu dał mi znak, żebym poszedł za nim.

Znaleźliśmy się w obszernej pieczarze. Było ciemno, tylko wąska smuga światła, sączącego się przez szczelinę, rozpraszała mrok. Tom wyjął elektryczną latarkę. Błysnęło światło, a mnie pociemniało w oczach. Na ścianie skalnej ujrzałem nagle setki, a może tysiące dziwnych stworzeń - ni to myszy, ni to koszmarnie ptaki ze zwiniętymi skrzydłami. Nie chciałem wierzyć własnym oczom, ale jak tu nie wierzyć, kiedy nagle kilka tych maszkar zerwało się z piskiem i zakołowało bezszelestnie nad naszymi głowami.

Teraz dopiero pojąłem, że to nietoperze.

Tom roześmiał się głośno. Powiedział coś, czego oczywiście nie rozumiałem. Lecz sam ludzki głos dodał mi otuchy: jeśli jestem już na dnie piekła, to przynajmniej z Tomem.

Rozejrzałem się po pieczarze: w blasku latarki widziałem skalną ścianę, a na ścianie zwisające głową na dół te dziwne stworzenia. Jedno przy drugim, gęsto, jak muchy na lepie. Chciałem się cofnąć, lecz Tom złapał mnie za ramię. Pokazał ciemny otwór w ścianie.

Poszliśmy dalej. Otwór był tak niski, że musieliśmy sunąć na czworakach. Dalej rozszerzał się jednak, mogliśmy już iść pochyleni. Było chłodno, wilgotno, a z czarnej czeluści szedł powiew i dziwny szum, jak gdyby gdzieś pod nami płynął potok.

Nie wiem dlaczego, ale nagle przypomniał mi się dom rodzinny. Co by też moja mama powiedziała, gdyby mnie ujrzała w tej przepastnej grocie? I co by powiedział ojciec? Oto ich najmłodszy syn, Marcin, zabawia się w grotolaza. Ładna historia. Jeszcze nabawi się kataru albo nabije sobie guza! Ten wujaszek Leon ma zawsze pomysły! Nie wie, szalawiła, dokąd go lichy poniesie. Kto to widział, żeby puszczał chłopca na takie samotne eskapady!

Szliśmy już może z dziesięć minut, może i dłużej, a tu wciąż ten sam korytarz, jak chodnik górniczy wykuty w szczerzej skale. Zresztą, kto to mógł wiedzieć, ile upłynęło czasu? Pod ziemią czas nie odgrywa roli. Zdaje się, że wszystko zastygło, zakrzepło i godziny stanęły w miejscu.

Nareszcie korytarz urwał się gwałtownie. Światło latarki ześliznęło się ze skalnego progu i rozproszyło w zupełnej ciemności, a pod nami szumiała, huczała woda. Tom skierował snop światła w dół.

Niżej, jakby spod naszych stóp, wytryskiwał ze skały wodospad. W nikłym świetle srebrzyła się rozbita w bryzgi spieniona woda. Było groźnie, lecz pięknie. Zdawało się, że woda leci w niekończącą się czeluść, gdzieś na dno Ziemi i huczy jękliwie, jak gdyby szukała łożyska. Jeszcze niżej, w pełnym mroku, ujraliśmy zarysy skał. Spieniony potok ginał gdzieś wśród głazów.

Byłem zupełnie oszołomiony niecodziennym widokiem tego podziemnego światła. Tom też stał oszołomiony.

Myślałem, że teraz zawrócimy od tego progu, lecz Tom należał do ludzi upartych. Postanowił znaleźć zejście do wodospadu.

Podał mi latarkę i dał znak, żebym oświetlał mu drogę. Potem położył się na brzuchu i długo medytował. Wreszcie opuścił się w dół, a gdy znalazł wąski występ skalny, znikł nagle za progiem.

Poszedłem za nim. Ześlizgując się ze skały na skałę, dobrnęliśmy wreszcie do wodospadu. Chwilę podziwialiśmy potęgę bijącej wody i wsłuchiwalismy się w jej ogłuszający huk.

Czułem, że ani Tom, ani ja nie mamy już ochoty iść dalej, lecz jakaś przekorna siła pędziła nas w dół, ku wielkiej przygodzie. Teraz grotę przechodziła w wąską gardziel. Woda gineła gdzieś w niewidzialnym korycie. Słyszać było tylko jej głuchy szum. A my pchaliśmy się przed siebie, przeciskali przez wąskie przesmyki skalne, czołgali pod niskimi przełazami.

Było coraz chłodniej. Dłonie i stopy drętwiały, a całe ciało przenikał dojmujący ziąb. Słyszałem przed sobą ciężki oddech Toma, widziałem jego skuloną postać w obrzeżu światła latarki. Chciałem z nim rozmawiać, żeby przynajmniej słyszeć jego głos, bo do tej pory szliśmy jak dwa cienie albo dwa potępione duchy.

Myślałem, że ta droga nie skończy się już nigdy, a my jesteśmy skazani na wieczną podziemną tułaczkę. Miałem takie uczucie, jakbym się dusił. Otwartymi ustami wdychałem powietrze, a jednak nie odczuwałem ulgi.

Nagle Tona zatrzymał się i wydał radosny okrzyk.

Przed nami otwierała się wielka, wspaniała grotę.

Myślałem, że śnię albo wskutek zmęczenia majaczę. Przetarłem oczy. Nie, moi drodzy, nie śniłem ani nie majaczyłem. Nikt mnie nie z czarował. Byłem sobą, a obok mnie stał Tom. I wszystko dobrze widziałem.

Grotę otwierała się jak kościelna nawa. Z jej sklepienia, niby fantastyczne świeczniki, zwisały barwne stalaktyty. W świetle latarki mieniły się, jakby je ktoś obsypał drogocennymi klejnotami. Jedne białe jak sopte śniegu, inne błękitne, różowawe, szmaragdowe, seledynowe, rubinowe. Zwisały w fantastycznych kształtach: wąskie jak świece, szerokie jak falbany gigantycznej sukni,

językowate, to znowu jak maczugi - w górze cieńsze, dołem pękate, albo - niby potężne miecze.

Z podłoża nawy wyrastały ku nim stalagmity. Gdy patrzyłem, zdawało mi się, że to kamienny las, wyśniony przez fantastę. I znowu migotliwa gra fantastycznych barw.

Staliśmy obok siebie, ramię przy ramieniu. Nikt nie powiedział ani słowa. W tej krainie należało milczeć. Milczeliśmy więc uparcie, bojąc się nawet głębiej odetchnąć, lecz jak długo można wytrzymać w milczeniu!

Pierwszy nie wytrzymał Tom. Zwinął dłonie, uniósł je do ust i zawołał, jak pasterz na hali:

- Eeee... hoooj! Eee... hoooj!

Odpowiedziały mu stokratne echa. Głos niósł się lekko i dźwięcznie po wielkiej grocie. Czekaliśmy długo, zanim zamilknie.

Nie mogłem pozwolić, by w tej baśniowej krainie skalnego lasu rozbrzmiewał tylko okrzyk angielski. Zawołałem więc po polsku: hop! hop! I zaraz zrobiło mi się rażniej. Ale nie na długo, bo gdy snop światła ześliznął się ze ściany groty, w odległości najwyżej piętnastu metrów, pod potężnym stalagmitem zobaczyliśmy biały jak kreda szkielet ludzki.

Powinienem wydać okrzyk przerażenia, lecz byłem tak zaskoczony, że nie wydałem. Poczułem tylko, że robi mi się słabo i cały się pocę. Chciałem się odwrócić, uciekać w popłochu, lecz stałem jak wrośnięty w skałę. Nie mogłem oderwać wzroku od kościotrupa! Zdawało mi się, że patrzy na nas i uśmiecha się szyderczo. Nie wiem, co się zdawało Tomowi, zdążyłem jedynie zauważyć, że ręka mu drży, a światło latarki faluje na białych kościach szkieletu...

Jednym słowem, makabra!

Ni stąd, ni zowąd przypomniałem sobie fragment pewnej książki, którą pożyczył mi kolega, Janek Pasiński. Była to książka sławnego francuskiego grotolaza. Grotolaz odkrył w Pirenejach fantastyczną grootę. Miała kilkanaście kilometrów podziemnych korytarzy i schodziła tysiąc siedemset metrów pod poziom wylotu!

Takie książki przypominają się zawsze w nieodpowiednim momencie. Jak na złość był tam opis, jak sławny grotolaz w jednym ze ślepych odgałęzień groty znalazł szkielet hiszpańskiego pasterza, który bez żywności i światła zapędził się w krainę nocy.

Piękne wspominki! Ładna historia! My z Tomem w letnich koszulach, z jedną nędzną latarką na baterijkę i w towarzystwie kościotrupa. A jeśli coś się stanie?...

O tym nie chciałem nawet myśleć, lecz, jak to zwykle bywa, im bardziej o czymś nie chce się myśleć, tym natrętniej odpychana myśl napastuje człowieka. I mnie też napastowała. Nie wiem, czy Tom znał książkę i ten wstrząsający fragment. Nie mogłem nawet o to zapytać. Gdybym mógł, podzieliłbym się z nim wrażeniami, bo zawsze rażniej bać się we dwóch. Pół strachu przechodzi na towarzysza.

Jestem jednak pewny, że Tom nie czytał, bo gdy ochłonął z pierwszego wrażenia, zbliżył się do szkieletu. Cóż miałem robić! Poszedłem za nim, choć nogi uginały się pode mną i cały byłem jak z waty.

Zatrzymał się przed szkieletem i nie wiem, co mu strzeliło do głowy - sięgnął po czaszkę. Przy pierwszym dotknięciu rozsypała się w proch. Tom jęknął, zaczął uciekać w popłochu. Naraz potknął się. Runął na twarz. I wtedy zapanowała zupełna ciemność.

Zrozumiałem, że rozbił latarkę.

Zrozumiałem, lecz nie chciałem uwierzyć. Może tylko przesunął się wyłącznik? Może rozluźniła się baterijka? Były to złudne nadzieje. Słyszałem, jak Tom jęknął i zaklął po angielsku soczyście.

Gdyby nawet zaklął w narzeczu Buszmenów, też psu na buty! Od przeklinania nie zapali się latarka.

Piękna sytuacja! Dziesięć metrów od nas szkielet nieszczęsnego poszukiwacza przygód, nad nami wspaniałe stalaktyty, na które całe wieki musiały pracować, Tom leży jak długi, a mnie ogarniają czarne myśli i wciąż mam przed oczyma wstrząsający fragment książki francuskiego grotolaza.

A najgorsze, że ciemno. Tak ciemno, że ciemniej być już nie może. Staliśmy obok siebie, a nie widzieliśmy nawet białek oczu. Na szczęście Tom miał jeszcze pudełko zapalek. Ile było tych zapalek w pudełku, licho wie. W każdym razie zapalił jedną. W żółtym świetle wyglądał jak potępieńczy duch, snujący się po podziemiach. Ja też musiałem pięknie wyglądać! Całe szczęście, że nie widziałem siebie, bo bym się z pewnością przestraszył.

Tom klął siarczyście i, jeśli się nie mylę, cały świat posyłał do diabła. Ale to wcale nie zmieniło naszego położenia. Trzeba było działać, a przede wszystkim - wracać z tego czarnego piekła na ziemię.

Po chwili Tom zaświecił następną zapalkę, zapalił papierosa i skinął głową, co miało oznaczać, że ruszamy. Anglik szedł pierwszy. Nikły ogieniek dawał trochę mdłego światła, można było przynajmniej ujrzeć zarysy skał. Rozpoznaliśmy wąski korytarz, którym dotarliśmy do stalaktytowej groty. Nie dałbym jednak głowy za to, czy to ten sam. W każdym razie pchaliśmy się z powrotem.

Bez porządnego światła droga była bardzo uciążliwa. Posuwaliśmy się krok za krokiem, obmacując ściany i głazy. Szliśmy uparcie. Zdawało się, że ta wędrówka nigdy się nie skończy. Byliśmy już porządnie zmęczeni.

Gdy człowiek jest wypompowany, ogarnia go zwątpienie. Nic dziwnego, że i mnie ogarnęło. Gotów byłem położyć się i - czekać. Wydało mi się, że nasz trud jest zupełnie zbyteczny. Zapchaliśmy się w labirynt, z którego nie znajdziemy już wyjścia. Na jak długo starczy jeszcze zapalek i papierosów? Na godzinę, na dwie? A potem? Potem i tak zmęczenie zwali nas z nóg, a zimno i głód dokończą dzieła... Byłem bliski płaczu, lecz przy Tomie nie wypadało beczeć. Zaciskałem więc zęby i z trudem ciągnąłem nogi.

Tom też był porządnie wypompowany. Często przystawał, dyszał, dłonią ocierał spoconą twarz. Potem zapalał nowego papierosa i ruszał z wielkim wysiłkiem.

Wreszcie dobrnęliśmy do ogromnej pieczary z wodospadem. Tom wydał cichy okrzyk radości. Nie przypuszczał że właśnie tutaj zacznie się najgorsze.

Nikły ogień papierosa zaledwie tlił się w ciemności, woda huczała nad nami posepnie i groźnie, jak gdyby za chwilę miała nas zagarnąć i zniszczyć.

Zbliżał się najtrudniejszy odcinek drogi.

Pieczara była olbrzymia, a wylot korytarza, którym weszliśmy do niej, mały jak igielne ucho. „Gdzie go szukać?” - zapytywałem w duchu. Tom też zapewne zapytywał o to siebie.

Pamiętaliśmy, że wejście powinno znajdować się nad wodospadem, nieco z lewej strony. Ale, czy nie było tam więcej takich wylotów?

Poszliśmy dalej w milczeniu. Wspinaliśmy się po oślizłych skałach wzdłuż potoku. Wkrótce minęliśmy wodospad. Przed nami piętrzyła się stroma ściana, czarna, niedostępna.

Tom wciąż szedł pierwszy. Wspinał się jak czarny pajak po czarnym murze. Ostrożnie wyszukiwał stopnie i chwytaki w skałach, wolno podciągał się w górę. Czasem ginął za jakimś załomem. Wtedy zostawałem sam. Zdawało mi się, że wiszę w zupełnej pustce i już nigdy go nie zobaczę. Wnet jednak wyłaniał się z jarzącym się papierosem w ustach. W mdłym świetle tego ognika widziałem tylko jego bladą, stężalą od wysiłku twarz.

Byliśmy już wysoko nad wodospadem. Nad nami wisiał strop pieczary.

Stanęliśmy obok siebie. Odpoczywaliśmy chwilę. Nieustanny szum wody był nie do zniesienia. Tom spojrział w górę. Wspiął się na palce, napiął się jak struna, wyciągnął ręce, lecz nie natrafił na występ.

Zaklął przez zaciśnięte zęby. Nic mu to oczywiście nie pomogło. Mnie też nie. Zrozumiałem jedynie, że źle jest z nami. Nie trafiliśmy na wylot! Tom wyjął z kieszeni papierosy. Grzebał chwilę w paczce, potem odrzucił ją ze złością.

- No cigarettes - powiedział głośno.

Zrozumiałem, że skończyły się i papierosy. Zostały tylko zapalki. Jeszcze chwilę ćmił niedopalek, wnet jednak wypluł go. Ogarek błysnął w ciemności po raz ostatni i spadł między skały. Zapanował zupełny mrok.

I wtedy pomyślałem, że już nigdy nie wyjdziemy z tej groty.

Miałem takie uczucie, że jesteśmy, a właściwie nas nie ma. Woda huczała pod nami coraz groźniej, posepniej. Na twarzy czułem delikatny pył rozpryskujących się kropelek. Trząsałem się z zimna, a przepocona koszula jak chłodny kompres oklejała mi ciało. Byłem głodny i senny. Mdlilo mnie ze zmęczenia...

Wtedy Tom zbliżył się do mnie, objął mnie mocno ramieniem. Chciał dodać mi otuchy, a mnie ogarnął jeszcze większy strach. I wielki żal ścisnął mi serce. Pomyślałem, że wszystko kończy się bezpowrotnie. Nie zobaczę już mamy, kiedy wieczorem pochyla się nade mną i życzy mi dobrej nocy, ani ojca zadumanego nad stołem kreślarskim, ani małej Ani, mojej młodszej siostry... Nie pójdę już do szkoły, nie będę mógł opowiedzieć o pstrągach wielkich jak smoki ani o polowaniu na dzikiego osła...

Najbardziej żał mi było wujaszka Leona. Wszystko zwali się na jego biedną głowę.

- Idziemy dalej! - Powiedziałem nagle bardzo głośno i bardzo dobitnie. Niech Tom wie, że nawet w najgorszych chwilach nie można się załamywać. Trzeba szukać tego piekielnego wylotu. Musi tu gdzieś być. Nie znaleźliśmy się przecież tutaj cudownym sposobem, nie przeszliśmy jak duchy przez litą skałę.

Tom podał mi pudełko zapalek i potrząsając nim tłumaczył coś wolno, rozważnie. Wziąłem więc pudełko, a gdy je otworzyłem, z przerażeniem stwierdziłem, że namacałem w nim jedno jedyne drewnienko. Ładna sprawa! Od tego maleńkiego drewnienka zależało teraz wszystko. Pojąłem: Tom chce ponowić próbę odnalezienia wylotu. Ja miałem mu przyświecać tą miniaturową pochodnią.

Odwrócił się ku ścianie. Nie widziałem go, lecz czułem, że obszukuje dłońmi, miejsce przy miejscu, skały.

Wyjąłem zapalkę z pudełka. Ręka mi drżała i cały byłem roztrzęsiony jak galareta. Bałem się potrzeć zapalkę o pudełko. Ale musiałem przecież zapalić. Ująłem więc ostrożnie drewnienko, główkę przytknąłem do draski i pociągnąłem.

Zapalka błysnęła jasnym światłem, lecz drewnienko złamało się, a płonąca główka upadła mi pod nogi...

Nie muszę opisywać, co mnie wtedy ogarnęło i jak się poczułem. Czułem się po prostu tak, jakbym już jedną nogą był na tamtym świecie.

Sytuacja, pożał się Boże! Wujaszek lubił mówić, że nie ma sytuacji bez wyjścia. Widocznie nie znalazł się nigdy w nieznannej grocie bez żywności, bez ciepłej odzieży, bez światła... odcięty od świata. Gdzie tu wyjście? Do groty prowadziła wąska tylko szczelina ukryta w załomach głazów.

Szukaj wiatru w polu!

Myślałem, że Tom rozszarpie mnie na drobne kawałki. Dobrze by zrobił. Przynajmniej nie musiałbym czekać na śmierć głodową. Ale Tom nie powiedział ani słowa. Taki już z niego opanowany Anglik. Nie pisnął nawet i to było najgorsze. Chciałem pluć sobie w brodę, lecz w takiej ciemności Tom i tak by nie zobaczył.

Przypomniałem sobie nagle pewne opowiadanie z życia Indian na Dalekiej Północy. Dwaj dzielni myśliwi zabłądzili wśród śnieżnej pustyni i nie mogli znaleźć swojego szałas. Szli nocą i dniem, dniem i nocą. Po drodze zjedli wszystkie psy, aż wreszcie, gdy już nie mieli nic do jedzenia, jeden z nich rozciął własną dłoń i ssał z żyły własną krew...

- Jak długo można żywić się własną krwią? Chciałem o to zapytać Toma, lecz w porę przypomniałem sobie, że i tak nie rozumie po polsku.

Oto pech! Nie można nawet gęby otworzyć! Gdyby Tom był Polakiem, moglibyśmy przynajmniej kłócić się, wymyślać sobie, łać się. Może to by nam pomogło. A tak, nic nam nie pozostawało, tylko grobowe milczenie.

Nie wiem, jak długo ono trwałoby, gdyby Tom nie wpadł na kapitalny pomysł. Ni stąd, ni zowąd zaczął śpiewać. Zrazu cicho, niepewnie, potem coraz głośniej, a gdy wreszcie wpadł w rytm, huknął na całe gardło, jakby chciał zagłuszyć wodospad. Ja też huknąłem. Wydzierałem się, jak tylko mogłem. Śpiewałem „Biedroneczki są w kropeczki”, bo bardzo mi się to podoba. Tom śpiewał sobie, ja sobie, a gdyśmy skończyli, zaczęliśmy się śmiać.

Myślałem, że boki zerwę ze śmiechu, ale nie zerwałem i należało pomyśleć, co dalej robić. Wpadł mi znakomity pomysł do głowy. Znalazłem kilka drobnych kamieni, zacząłem rzucać nimi w stronę sklepienia groty. Rzucałem i kombinowałem, że jeśli kamień natrafi na wylot korytarza, to nie spadnie z powrotem.

Pierwszy kamień rzuciłem w prawo, ponad wodospad. Słyszałem, jak odbił się od skały i stoczył w dół. Teraz starałem się rzucać coraz bliżej. Tom w mig połapał się, o co chodzi. Zsunął się ze skały, stanął obok mnie i razem zaczęliśmy rzucać kamienie - raz ja, raz on, w równych odstępach. Naraz rzucony przez Toma kamień nie odbił się od skały i nie powrócił. Słuchaliśmy jeszcze chwilę, ale prócz szumu wody nie doszedł nas żaden głos.

Tom schwycił mnie mocno za ramię i potrząsnął gwałtownie, a potem zaczął się przędko wspinać. Oparłem się czołem o wilgotną skałę. Czekałem. Słyszałem szum wody i głucho uderzenia pulsu w skroniach. A czas mijał...

Wtem poprzez szum przebił się radosny okrzyk. Dochodził do mnie z góry, jak gdyby z czarnego nieba. Nie żałowałem głosu. Odkrzyknąłem jeszcze głośniej i z radości zacząłem walić pięściami w czarną skałę.

Była noc. Nad doliną wisiał wielki jak bania księżyc. W górze stały granatowe od cieni szczyty, a dno doliny zasłane głazami wyglądało jak zakątek jakiejś obcej planety. I wszystko było senne, dziwne, nieprawdziwe. Nawet Tom, który stał u wylotu groty, w księżycowym blasku wyglądał niby przybysz z innego świata.

Wypadało paść sobie w ramiona i cieszyć się z życia. Wpadliśmy, wyściskaliśmy się serdecznie, jak dwaj myśliwi, którzy w śnieżnym pustkowiu odnajdują zasypany dom. A potem położyliśmy się na ziemi, i było nam dobrze, bo czuliśmy, że oddychamy, myślimy i jesteśmy.

Wtedy na przeciwnym stoku odezwało się przeciągłe wołanie. W pustej dolinie poniosło się licznymi echemi długo i dźwięcznie. Zerwaliśmy się i zaczęliśmy pokrzykiwać, co sił w gardle. Za

chwile ktoś znowu zawołał. Po głosie, brzmiącym jak piorun, poznałem wuja Leona.

Szukali nas w dolinie.

Chciałem zbiec ku nim, lecz byłem tak osłabiony, że nogi gięły się pode mną. Pod Tomem też. Postanowiliśmy więc, starym indiańskim sposobem, rozpalić ognisko. Niestety, nie mieliśmy zapalek.

Pohukiwaliśmy więc tylko od czasu do czasu, czekając, aż ekspedycja ratunkowa zbliży się ku nam. Niestety, nie doczekałem jej przybycia. Zmęczenie było silniejsze. Zasnąłem, zanim mogłem ucieszyć się widokiem rudej brody mojego wujaszka.

Na trzeci dzień po przybyciu na hale angielskiej karawany wujaszek obudził mnie o świcie.

- Pfuj! - splunął z obrzydzeniem. - Zawiodłem się na tych żmijach.

- Ja też - powiedziałem ziewając.

- I bokiem mi już wyłazi to żarcie w proszku! Dość mam puddingów, wołowiny z puszek, zup z torebek i mleka z tubek. Mdli mnie, gdy o tym pomyślę. Zrewanżujemy się. Niech wiedzą, jak sieje ucziwie. Wstawaj, wielki odkrywco podziemnych grot. Idziemy na pstrągi. Znalazłem tu jeden potok, gdzie chodzą sztuki wielkie...

- Jak smoki - dokończyłem.

Ja też miałem dość angielskich puddingów, więc zerwałem się i poszliśmy z wujaszkiem na pstrągi. Do południa wyciągnęliśmy dziesięć sztuk, a wieczorem wujaszek zaprosił Anglików i Czarnogórców na ucztę.

Łowcy żmij nie mogli wyjść z podziwu, tak im te pstrągi smakowały. Oni nie mogli wyjść z podziwu, a myśmy wyszli z honorem, bo rewanż udał się znakomicie. I jestem pewny, do tej pory po Londynie krążą legendy o pstrągach wujaszka Leona.

Przy ognisku docent Kirby doszedł do wniosku, że choćby siedzieli na hali do końca świata, to i tak nie złowią ani jednej żmii. Postanowił więc zwinąć obóz i szukać szczęścia gdzie indziej. Dziadek poradził mu, żeby szukał na Prokletije. Prokletije znaczy „przeklęte”, a gdzież można znaleźć więcej żmij, jak nie w tych przeklętych górach?

I myśmy na tym trochę skorzystali, bo okazało się, że Anglicy mają w Mojkovacu dwie terenowe ciężarówki, więc mogą holować naszego mamuta do Kolasina. A co dalej, to się zobaczy. Tak przynajmniej powiedział wujaszek. Nie miałem pojęcia, co się zobaczy, ale to nie było najważniejsze. Najważniejsze, że Kolašin jest już bliżej morza.

Dobra jest! Na drugi dzień rano wyruszyła cała karawana osłów. Żegnaliśmy się z Dziadkiem i z góralami jak z najbliższą rodziną. I łzy cisnęły się do oczu, bo przecież dobrze nam tu było. Wszyscy ściskali wujaszka. Mnie też wyściskali.

Z Anglikami umówiliśmy się, że przyjadą po nas, gdy tylko załadują się na ciężarówki.

Byłem ogromnie ciekawy, czy nasz przedpotopowy wehikuł stoi jeszcze tam, gdzie stał. I daje słowo - stał! Nawet śrubki nie brakowało. Praktyczny wóz. Można go zostawić gdziekolwiek, iść łowić żmije, podziwiać piękne widoki, robić epokowe odkrycia i mieć spokojną głowę. Pod tym względem był prawdziwym marzeniem na czterech kółkach. Pod innym względem też, ale nie chciałbym uprzedzać wypadków.

Wnet przyjechali i Anglicy. Bojowo, niech mnie drzwi ścisną, na dwóch pierwszorzędnych terenówkach! Trzy osie, pięć biegów i napęd na przednie i tylne koła, a do tego takie miny, jak gdyby na Sinjajevinie złowili węża boa. Wzięli mamuta na hol i dalej w drogę do Kolašina! Oni w terenówce, my w mamucie, a wokół nas same przepiękne widoki. Nie wiadomo, w którą stronę gapić

się i co podziwiać. I powietrze, szwajcarsko-alpejskie, a może nawet i w lepszym gatunku. Tylko wdychać i utleniać organizm!

Utlenialiśmy aż do Kolašina.

W Kolašinie trzeba było pożegnać się z Anglikami. Znowu łzy w oczach, zwłaszcza przy pożegnaniu Toma.

Dał mi swój adres, ja mu dałem swój i przyrzekliśmy, że będziemy pisywali do siebie. Cześć! Trzymaj się! Złam kark! I Tom, wysoki, wielki chłop wspiął się na wóz; a potem długo machał ręką. I ja też machałem, łzy mi ciekły po policzkach i ścisnęły gardło. Bo morowy chłop z tego Toma. I, było nie było, przeżyliśmy razem piękne chwile.

Zostaliśmy z wujaszkiem pośrodku Kolašina pod hotelem „Zagora”, wśród zielonych gór, z żalem w sercu i bez grosza w kieszeni. Na los szczęścia. Było nam markotno, ale ani wuj, ani ja nie chcieliśmy tego po sobie pokazać. Zgrywaliśmy takich, co to z niejednego pieca chleb jedli i na niejedno już gwizdali.

„A co dalej, to się zobaczy” - mówił niedawno jeszcze wujaszek; więc zobaczyliśmy hotel, kilka domów, tartak, panoramę Bjelasicy, kilka zagranicznych samochodów przed hotelem, a przede wszystkim beznadziejną pustkę w plecaku i kieszeniach.

Ale nie znacie wujaszka Leona, jeśli myślicie, że się załamał! Wujaszek, zamiast się załamać, chwycił się ostatniej deski ratunku.

- Zdaje mi się - powiedział patrząc na piękne szczyty Bjelasicy - że nie byłoby źle wstąpić na posterunek milicji i zapytać, ot tak, mimochodem, czy ktoś przypadkiem nie znalazł naszego woreczka z pieniędzmi.

- Ależ, wujaszku - zdziwiłem się - przecież sam wujaszek mówił, że to jedna szansa na sto.

- No, ale warto może spróbować tej jednej.

- I do tego minął już prawie tydzień...

- O właśnie, przez tydzień mogli już znaleźć! - To powiedziawszy zagwizdał wesoło arię z „Wesela Figara” i krokiem wytrawnego szeryfa ruszył w kierunku posterunku milicji. Za chwilę stanęliśmy przed obliczem komendanta.

Był to człowiek tak serdeczny, że gdyby mógł, wyjąłby dziewięćdziesiąt tysięcy z własnej kieszeni i dał nam, prosząc jeszcze, żebyśmy nie dziękowali. Jednym słowem, dusza człowiek, i do tego z pięknym, czarnym wąsikiem.

- Gdzie pan zgubił te pieniądze? - zapytał, po serbsku oczywiście. Na szczęście serbski to język słowiański, więc po tygodniu wiele już rozumiałem.

- A więc gdzie i kiedy?

- Tydzień temu - odparł wujaszek - pod Użicami, dziesięć kilometrów za elektrownią wodną nad zalewem, pod pięknym starym bukiem, na biwaku.

- A dużo było tych pieniędzy?

- Około dziewięćdziesięciu tysięcy dinarów.

- A w jakich okolicznościach pan zgubił?

Wujaszek opowiedział dokładnie, w jakich. Było już trochę ciemno, chciał wyjąć z kieszeni plecaka mapę i wtedy zapewne wypadł nylonowy woreczek z pieniędzmi.

Komendant załamał nad wujem ręce.

- A któż to nosi pieniądze w plecaku! A któż to je trzyma w nylonowym woreczku?! Ej, wy, Polacy, taki dzielny naród, a taki lekkomyślny! My was kochamy jak braci, a wy u nas gubicie

pieniądze. I co ja z wami teraz zrobię?

- Przepraszam, nie chcę sprawiać kłopotu, tylko zameldować, żebyście w razie znalezienia tych pieniędzy mogli mi je oddać...

- My byśmy wam duszę oddali! - zawołał komendant. - Wy Polacy, my Jugosłowianie - jak bracia. Cierpieliśmy razem niewolę i biliśmy hitlerowców!

Widać było, że komendantowi naprawdę się serce krajało. Dusza człowiek! Złapał zaraz za słuchawkę i zadzwonił do Użic. Niech staną na głowie, a pieniądze muszą się znaleźć!

Wyobraziłem sobie od razu, jak w Użicach milicjanci stają na głowie i bez szemrania walą pod stuletni buk, a pod bukiem dziewięćdziesiąt tysięcy leży i tylko czeka, żeby je znaleźć. Od razu poczułem się dużo raźniej. Wujaszek też poczuł się raźniej, a najraźniej - komendant posterunku, i miał taką minę, jakby już forsa była z powrotem w kieszeni wujaszka.

- Nie martwcie się - pocieszał nas. - Lepiej powiedzcie, co słyhać w Polsce i w ogóle jak się u was żyje?

Wujaszek zaczął opowiadać, jak się żyje. Tymczasem komendant posłał po wino. Przynieśli czerwone wino i świetne, smażone na oliwie sardele. A potem wujaszek zaczął opowiadać o partyzantce w Puszczy Kampinoskiej, a komendant o partyzantce w górach Zlatiboru. Co chwila padał gęsty trup, pękały granaty, a hitlerowcy wiali, gdzie pieprz rośnie. I zupełnie zapomnieli o dziewięćdziesięciu tysiącach dinarów. Pieniądze nie mają znaczenia, gdy w lesie walczy się z okupantem i w każdej chwili grozi śmierć. Wtedy myśli się, żeby przeżyć do następnego dnia i dać łupnia wrogowi. I śpiewa się pieśni partyzanckie.

Śpiewali więc na zmianę. Wujaszek „Rozszumiały się wierzby płaczące”, a komendant „Zlatibore, ti moj”; wujaszek „Serce w plecaku”, a komendant „Gde moja lubow, moja?” A potem padli sobie w objęcia i powiedzieli, że do końca życia będą wielkimi przyjaciółmi.

Tam w Użicach milicja staje na głowie, w Kolaśinie cementuje się przyjaźń polsko-jugosłowiańska, wróg hitlerowski został rozgromiony, tylko my, niestety, dalej byliśmy bez pieniędzy.

Wyszliśmy jednak z posterunku pokrzepieni na duchu. Komendant przyrzekł, że gdy tylko otrzyma wiadomość o znalezieniu pieniędzy, zaraz da telefonogram do wszystkich posterunków. Więc nie ma się o co martwić. Trzeba tylko dopytywać się na posterunkach o wynik poszukiwań.

Wróciliśmy pod hotel „Zagora” do naszego poczciwego mamuta. Patrzymy, a tam tłum, jakby przyjechał sam cesarz Etiopii, Haile Selasie, albo wytrysło nagle spod ziemi źródło ropy naftowej. Ciekaw byłem, co też się stało, więc precisiłem się przez ciżbę i własnym oczom nie chciałem wierzyć. Okazało się, że to wcale nie Haile Selasie ani nowe źródło ropy naftowej, tylko nasz poczciwiec mamut wzbudził taką wielką sensację.

Udałem więc, że nie jestem żadnym siostrzeńcem właściciela przedpotopowego mercedesa ani nawet dalekim krewnym - byłem zwykłym gapiem i razem z innymi dziwiłem się, skąd przed nowoczesnym hotelem znalazł się taki dziw techniki!

Wujaszek miał jednak charakter. Nie wyparł się mamuta. Przeciwnie, z miną wynalazcy prochu podszedł do samochodu, otworzył drzwiczki, usiadł za kierownicą i spojrzał na tłum jak na dzikich Zulusów.

- I co? - zapytał wyzywająco, a potem widząc, że w tłumie znajdują się i cudzoziemcy, powtórzył pytanie w kilku europejskich językach. Gdy ryknął wreszcie po niemiecku, z ciżby wysunął się starszy jegomość w okularach, baryłkowaty, gładko wygolony, uśmiechnięty i pełen podziwu dla

naszego mamuta. Zbliżył się do wujaszka i zaczął z nim rozmawiać po niemiecku. A wujaszek gadał jak z nut, jakby razem z mlekiem matki ssał formułki gramatyki niemieckiej.

Nie rozumiałem naturalnie ani słowa, ale po minach wywnioskowałem, że była to rozmowa pełna kurtuazji i uprzejmości, coś w tym rodzaju: „- Jak zdrowie pańskiej babci? - Dziękuję, wszyscy w domu zdrowi. A pogodę mamy nadzwyczajną!”

Najłatwiej zawsze rozmawiać o pogodzie, nawet po niemiecku. Pomyliłem się jednak. Za chwilę wujaszek wytaszczył się z mamuta, otworzył maskę i razem ze swym rozmówcą zajrzeli we wnętrze samochodu. Stali nad nim jak dwaj lekarze nad umierającym pacjentem. Kiwali głowami, mieli zatroskane twarze i szczerzy żal w oczach.

Wreszcie wujaszek zdecydowanym ruchem rzucił kapelusz do wnętrza wozu, fajkę wsadził w kieszeń i, jakby nigdy nic, wlaź pod samochód. Jegomość uczynił to samo.

Po chwili usłyszałem tubalny głos wujaszka:

- Marcin, podaj no skrzynkę z narzędziami.

Nie mogłem już dłużej udawać gapia. Byłem znowu siostrzeńcem właściciela przedpotopowego samochodu, więc oczy wszystkich spoczęły na mnie. Cóż miałem robić! Podałem z tylnego siedzenia skrzynkę z narzędziami, ale chciałem zapaść się przy tym pod ziemię, bo nie znoszę takich widowisk. Udałem więc, że mnie zainteresował hotel i widok na pełne dziwne uroku szczyty Bjelasicy, i wycofałem się dyskretnie.

Na tarasie hotelowym, jak na tarasie: stoliki, parasole, kelnerzy w białych kitlach i pełno turystów. Popijają, jedzą, gawędzą, podziwiają dzikie krajobrazy Czarnogóry, a w portfelach mają pełno forsy i nie martwią się, co będzie jutro. Nie mają oczywiście zielonego pojęcia, że mój wujaszek zgubił dziewięćdziesiąt tysięcy pod starym bukiem i od tygodnia jesteśmy na łasce losu. A los chciał, że mamut odmówił właśnie posłuszeństwa.

Oparłem się o betonową balustradę tarasu, udawałem, że podziwiam grę barw przy zachodzie słońca. Wtem coś strasznie huknęło. Przeraziłem się. Może jakieś małe trzęsienie ziemi? Może lawina skalna stoczyła się z gór? Po chwili jednak zrozumiałem, że to nie lawina, ani trzęsienie ziemi, tylko nasz mamut odezwał się po tygodniu milczenia. Usłyszałem bowiem piekielny warkot i szmer tłumu.

Pobiegłem przed hotel. Mamut stał na swoim miejscu. Dygotał, jak gdyby nagle dostał febry, a z jego rury wydechowej wydobywały się czarne kłęby dymu. Obok mamuta wujaszek i baryłkowaty jegomość ściskali sobie dłonie. Obaj byli złani potem, przyprószeni pyłem i umorusani smarem. Obraz nędzy i rozpacz! Można było rozplakać się na widok nieskazitelnie wyprasowanych spodni jegomościa. Plama na plamie! O koszuli błyszczącej przed chwilą śnieżną bielą lepiej nie mówić. Ale gęby mieli rozpromienione i w oczach wyraźne wzruszenie. Widać, że dali radę mamutowi! Tchnęli weń nowego ducha.

Na mój widok wujaszek roześmiał się triumfalnie.

- Widzisz, niedowiarku jeden, mówiłem ci, że zrobimy na nim jeszcze kilka dobrych kilometrów! Musimy jakoś uczcić ten triumf ducha nad materią.

Wujaszek w ogóle zachowywał się tak, jakby przed chwilą wygrał milion w „totka”. Ujął faceta pod ramię i śmiejąc się całą gębą, prowadził go na taras hotelu.

Po drodze wyjaśnił mi, że to bardzo sympatyczny inżynier z Wiednia, wielbiciel starych samochodów i specjalista od silników spalinowych. Serce mu zadrżało na widok takiego zabytkowego wozu, a gdy się dowiedział, że silnik wysiadł, nie wytrzymał i wspaniałomyślnie

poświęcił biel koszuli i kanty spodni dla ratowania czcigodnego staruszka. Są jeszcze entuzjaści na świecie!

Wujaszek poszedł do umywalni doprowadzić swój wygląd do stanu przyzwoitości. Inżynier też ulotnił się na chwilę. Zostałem przy stoliku sam, z porządnym ćwiekiem w głowie, za co wujaszek będzie „czcił”? Miał wprawdzie czarujący uśmiech, ale za sam uśmiech kelner nie poda przecież dalmatyńskiego wina do stołu.

Nie mogłem usiedzieć na miejscu. Na szczęście wnet zjawił się Austriak w śnieżnobiałej, czystej koszuli i w innych spodniach, a po chwili wtoczył się na taras nasz wujaszek. Promieniał radością i tryskał zdrowym, sarmackim humorem. Ze staropolską gościnnością namawiał inżyniera do trunków i jadła, a do mnie zwrócił się z uśmiechem:

- Coś ty taki osowiały? Co ci się stało? Proponuję szaszłyk barani albo czabakczyce, narodową potrawę Jugosłowian. A potem zjesz lody.

- Wujaszku - szepnąłem - proszę o coś najtańszego...

- Zwariowałaś - huknął na mnie - przecież od tygodnia nie jedliśmy normalnej kolacji! A może chcesz kurczaka po sarajewsku? To będzie najlepsze dla ciebie.

Proszę bardzo, kurczak po sarajewsku! Sześćset dwadzieścia dinarów porcja, plus procent za obsługę i napiwki. Ma gest wujaszek! Łatwo mieć gest, kiedy nie ma się forsy.

Popijałem sok owocowy z brzoskwiń, siedziałem jak na rozżarzonej węglu, a oni wznosili toasty za technikę, karburatory, skrzynki biegów, a przede wszystkim za naszego starego mamuta i za znajomość zawartą pod samochodem. Jadłem kurczaka po sarajewsku, a oni nic, tylko o wyższej matematyce, cybernetyce, maszynach elektronowych i rachunku prawdopodobieństwa. O czymś takim... A ja wciąż zapytywałem w duchu, kto zapłaci ten prawdziwy rachunek? Chyba nie maharadża Pendżabu?

Jadłem kurczaka, lecz nie czułem jego smaku. Mógłbym jeść nawet trawę, a też bym nie czuł, bo byłem okropnie zdenerwowany. Zdawało mi się, że kelner podejdzie za chwilę i zrobi piekielną awanturę. „O, proszę, zamawiał taki Bóg wie co, a potem nie płaci!”

Nie mogłem się doczekać końca tej uczty. Wreszcie się doczekałem.

Włosy zjeżyły mi się na głowie, gdy wujaszek skinął na kelnera, a ten na srebrnej tacy, na białej serwetce przyniósł kwit rachunkowy. Wujaszek sięgnął do tylnej kieszeni. Myślałem, że wyciągnie dowód osobisty i powie: „Proszę posłać rachunek do Warszawy”. Lecz, o dziwo, w ręku wujaszka zobaczyłem plik banknotów!

„Czarodziej!” - westchnąłem z ulgą i jednocześnie znowu zrodziło się podejrzenie. Może w umywalni przydusił jakiegoś bankiera szwajcarskiego?...

I wtedy na opalonym na heban przegubie jego ręki zobaczyłem wąski pasek jasnej skóry. Wujaszek nie miał zegarka! Wielki czarodziej opylił po prostu swoją doxę. Ale gdzie? Ale kiedy? O to nie mogłem zapytać przy inżynierze z Wiednia.

„Leonowi przydałaby się rozsądna żona - mówiła kiedyś moja mama do ojca. - Ten człowiek nie wie, na jakim żyje świecie”.

Wujaszek dobrze jednak wiedział, a żona była mu zupełnie niepotrzebna. Wolał kanarki. Kanarki nie chodzą do fryzjera, nie noszą kapeluszy, nie przypalają zupy i nie robią awantur, gdy człowiek sprzedaje szwajcarski zegarek.

Myślałem o tym przed snem. Biwakowaliśmy dwa kilometry za Kolaśinem, na pięknej górskiej polanie. Księżyc wisiał nad lasem jak wycięty ze złotej blachy. Z namiotu widać było kawał

seledynowego nieba, czuby świerków i dwie wielkie kopy siana. A wszystko jak odlane z księżycowego blasku. I świerszcze cykały coraz głośniej. Było cicho. W tej ciszy słyszałem tylko cykanie świerszczy i oddech wuja.

Wujaszek leżał z rękami założonymi pod głową, pogodnie zadumany, oczy miał przymknięte. Zdawało mi się, że uśmiecha się do własnych myśli.

Chciałem zapytać, kiedy i komu sprzedał zegarek, lecz nie wiedziałem, jak zacząć. Nie wypadało przypominać wujaszce o sprawach niezbyt wesołych, skoro był w dobrym nastroju. Zacząłem więc dyplomatycznie:

- To świetnie, że nasz mamut zaczął chodzić.

- Ba - roześmiał się wujaszek - genialny facet z tego inżyniera Matterna! Włazł pod wóz i zaraz wiedział, co i jak. A ja głowiłem się przez cały tydzień. Świetny fachowiec. Mam jego adres. Jak będę kiedy w Wiedniu, to wpadnę do niego.

- Że też chciało mu się włączyć pod wóz!

- Właśnie! Zaraz poznać porządnego człowieka. Lubi drugiemu pomóc.

- A co powiedział o mamucie?

- Zachwycony! Po prostu zachwycony! Powiedział, że marzy o takim starym gracie. - Roześmiał się. - I wiesz, co jeszcze powiedział? Że na Zachodzie teraz jest moda na takie wozy. Im starszy, tym droższy. Śmieszne, co?

- To znaczy, nasz mamut jest prawie bezcenny.

- Coś w tym guście. A chodzi teraz jak zegarek... - W tym miejscu wujaszek ugryzł się w język, bo nagle wypsnęło mu się słowo, którego starannie unikał.

- Właśnie - podchwyciłem dyplomatycznie. - Ciekaw jestem, która to może być godzina?

Wujaszek chrząknął znacząco.

- Sądząc po księżycu, między dziewiątą a jedenastą. Późno, mój drogi, śpijmy już!

Nie mogłem zasnąć, zanim nie dowiedziałem się, kiedy wujaszek sprzedał doxę. Zapytałem więc przekornie:

- A na zegarku która?

- Daj mi spokój, nie widzisz, że ciemno?

- Można przyświecić latarką.

- Nie zwracaj mi głowy! Czy to takie ważne, która godzina? Do kina się wybierasz?

- Z wujaszka to cudotwórca. Nie mieliśmy pieniędzy...

- I w gruncie rzeczy nie mamy - obruszył się.

- Nie mamy, a żyjemy, jakbyśmy mieli. Wujaszek cmoknął zniecierpliwiony.

- Mój Marcinku - powiedział w zamyśleniu. - Mieć pieniądze nie jest tak dobrze, jak jest źle nie mieć pieniędzy, najgorzej jednak jest martwić się z powodu ich braku. Ej, co ja ci będę dużo mówił: sprzedałem zegarek i już nie nudź! Dobranoc.

- Dobranoc - szepnąłem, a po chwili znowu wychyliłem głowę spod koca. - Dobranoc, ale nie mogę zasnąć, bo jestem strasznie ciekaw, kiedy, gdzie, komu i za ile?

Wujaszek obruszył się, prychnął, uniósł się na łokciach.

- To niebawem! Może przeprowadzisz jeszcze dochodzenie?! Zresztą, mój drogi, nie mam obowiązku tłumaczyć się przed tobą. Jestem człowiekiem dorosłym i, bardzo cię przepraszam, mogę dysponować swoimi rzeczami. Zegarek jest mi niepotrzebny. I w ogóle muszę ci powiedzieć, przywiązujesz za dużą wagę do martwych przedmiotów. Człowiek rodzi się nagusieńki, a potem

powoli obrasta w rozmaite fidrygałki, które zatruwają mu życie. Na przykład ubranie. Albo mieszkanie. Zamykamy się w ciasnych klatkach jak mrówki, a świat jest tak piękny, tak szeroki... Człowiek stał się niewolnikiem przedmiotów martwych. Zresztą, co ci będę tłumaczył, przyjdzie czas, to zrozumiesz. A jeżeli chodzi o zegarek, to sprzedałem go portierowi, wracając z umywalni, za sumę, która pozwoli nam przeżyć jeszcze kilka dobrych dni. No co, teraz jesteś zadowolony? Jeżeli tak, to posłuchaj, jak pięknie świerszcze cykają.

Posłuchałem chwilę świerszczowego koncertu, najwspanialszego nocturno, a potem wszystko zawirowało mi w głowie: księżyc jak z blachy, nasz poczciwy mamut, wodoszczelna doxa, ruda broda wujaszka, biała koszula pana inżyniera Matterna, zabójczy wąsik komendanta posterunku... Zasnąłem...

Obudziło mnie pogwizdywanie kosa. Kos, daję słowo, jest najwspanialszym budzikiem na świecie! Gdybym mógł, to zawiózłbym go do Warszawy, niechby mnie budził do szkoły. Wysłuchałem krótkiego intermezzo i zaraz poczułem się jak nowo narodzony.

Wujaszka nie było w namiocie. Był nad potokiem. Ujrzałem go klęczącego na kamieniu. Pewno oddawał pokłony bożkowi słońca, który zesłał nam tak wspaniałą poranek. I nie tylko bił pokłony, lecz jednocześnie nurzał głowę w niezmaconym nurcie strumienia.

- Ciao! - zawołałem. Czy wujaszek wypatruje pstrągi?

- Łeb mi pęka! - prychnął jak stary hipopotam. - Za dużo wczoraj wypilem tego cholernego wina.

- Dokąd dzisiaj jedziemy?

- A czyja wiem? Jeżeli chcesz przyjemnie spędzić wakacje, nigdy nie zadawaj takich pytań.

Ziemia na szczęście jest okrągła i można jechać równie dobrze w każdą stronę świata.

- Więc w którą pojedziemy?

- Mój drogi, głowa mi pęka, a ty mnie zanudzasz pytaniami. Podróżowanie jest przenoszeniem się z miejsca na miejsce. Najmilszym rodzajem podróżowania jest włóczęga, czyli to samo, lecz na chybił trafił. Czy to ważne, skąd wyruszasz i dokąd jedziesz?

W gruncie rzeczy wujaszek miał słuszość. Najpiękniejsza jest włóczęga. Jedziemy nie patrząc na zegarek, zatrzymujemy się tam, gdzie nam się podoba, i jest nam dobrze.

Tymczasem można wykapać się w potoku. Woda była cudownie chłodna i miękka jak aksamit. Urządziliśmy więc z wujaszkiem generalne szorowanie własnych pleców. Ja jemu pomagałem, on mnie, a potem pluskaliśmy się w płytkiej wodzie jak ryby. Wujaszek był sumem, ja okoniem i było bardzo wesoło, zwłaszcza dlatego, że nie przejmowaliśmy się już niczym i nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy.

Oto nowa fantazja wujaszka - PODRÓŻ W NIEZNANE.

Pojechaliśmy w NIEZNANE.

Chwilowo NIEZNANE było naprawdę nieznanie, a do tego niezwykle piękne. Jechaliśmy początkowo drogą wspinającą się serpentynami na górski stok. Sto serpentyn, a może i więcej. Istna karuzela, aż się w głowie kręciło. A wokół lasy jodłowe, dzikie, przepastne skały, potoki spadające z szumem, rumowiska. Za każdym zakrętem wyłaniał się nowy widok, jak gdybyś był na barwnym, krajoznawczym filmie.

Potem gwałtownie droga opadała w dół. I znowu sto serpentyn, i znowu przed oczami najpiękniejszy film z Czarnogóry. A mamut walił na łeb, na szyję. Za kierownicą wujaszek z fajką w zębach i z miną zwycięzcy rajdu do Monte Carlo. A ja obok niego, oszołomiony. Nie mogłem po prostu wyjść z zachwyty. Gdy wreszcie wyszedłem, zacząłem drżeć, żeby nam się mamut nie rozsypał

i nie wpadł na wirażu w przepaść. Nie byłoby co zbierać. Proszek i marmolada.

Chwilowo nie było z nas ani proszku, ani marmolady, bo wujaszek prowadził mamuta bez zmrżenia powieki, a mamut spisywał się na piątkę. Był jedynie lekki zawrót głowy i bajeczne oszołomienie, bo gdy zjechaliśmy na dno doliny, zaczął się najpiękniejszy odcinek drogi.

Pruliśmy dnem kanionu, wzdłuż górskiej rzeki. Pieniła się w wąskim wąwozie. W szerszych miejscach płynęła gładko, przezroczyście. Dno miała białe, a woda niebiesciła się odbijając błękit nieba. Z dwóch stron wznosiły się prostopadłe ściany, wysokie na kilkaset metrów. Gdy spojrzalesz w górę, zdawało ci się, że jesteś na dnie gigantycznej szczeliny. Nic, tylko błękitna nitka wody i gładkie ściany skalne, a w dole nasz mamut pełznący jak maleńki robaczek.

- Wspaniały kanion! - zawołał wujaszek. - Nie chce się wierzyć, że ta mała rzeczka przecięła ten olbrzymi masyw skalny jak ostry nóż masło. Trochę wody potrafiło wyżłobić wąwóz głęboki na kilkaset metrów. Oto prawdziwy cud natury!

Nie chce się wierzyć, że właśnie w tym najpiękniejszym zakątku spotkałem prawdziwy wybryk natury, który na imię miał Wacuś. Zanim jednak spotkaliśmy ten owoc z gatunku ananasowatych, co chwila wpadaliśmy w zachwyt i nie mogliśmy otrząsnąć się z oszołomienia.

Otrząsnęliśmy się dopiero w małym tunelu skalnym, kiedy nagle wyrósł przed nami samochód. Stał w poprzek drogi, pośrodku tunelu, a obok - cztery osoby w oplakanyim stanie: tata, mama, córuchna i syn; cała rodzina w komplecie, i na dnie rozpaczy. Nie dość, że rozbili pięknego opla, to jeszcze zakorkowali wąski przejazd w samym tunelu!

Mało brakowało, a wpadlibyśmy prosto na nich! Wujaszek wykazał jednak opanowanie, zatrzymał rozpedzonego mamuta pół metra przed zrozpaczonym ojcem rodziny i właścicielem samochodu w jednej osobie. Osobnik ów był tak przygnębiony, że nie zauważył naszych polskich znaków rejestracyjnych i wziął wujaszka za oryginalnego farmera ze stanu Ohio, więc walił po angielsku akcentem z ulicy Marszałkowskiej:

- Panie tego... nieszczęście... dętka strzeliła mi przed samym tunelem, zniosło mnie na skraj szosy, zawadziłem lewym błotnikiem, a potem mnie zrolowało. Ratuj pan, bo mi ręce opadają i nie wiem, co robić!

Wtedy przed ojca wysunął się chłopiec, z gatunku tych ananasowatych. Buziuchna gangstera, spojrzenie bazyliszka, a język żmijowaty. Jak gdyby wyrósł spod ziemi - i palnął, też po angielsku:

- Przepraszam, to nie był lewy błotnik, tylko prawy, i w ogóle mój ojciec nie umie prowadzić samochodu!

Na to ojciec, po polsku:

- Wacuś, na litość boską, bo cię kropnę w ucho! Przynajmniej przy cudzoziemcach zachowuj się przyzwoicie!

No i proszę, kto by to potrafił zakorkować tunel w Czarnogórze, jak niekochani rodacy! Ot, polska fantazja! Potrafili zdobyć Somosierre, potrafią stanąć właśnie na środku szosy!

Wujaszek nic nie powiedział, udał, że nie zna angielskiego, więc chłopak natarł na ojca.

- Nie widzisz, tata, że to Włosi? Zaraz poznać po brodzie i kapeluszu. Strapiony właściciel opla podrapał się za lewym uchem. Nie wiedział, jakim językiem przemówić. Więc Wacuś do niego:

- Przecież uczył się tata łaciny, wal, tata, po łacinie, oni na pewno kapują! Za chwilę w przepięknym kanionie popłynęła potokiem mowa Cezarów i Owidiuszów.

Wujaszek nie wytrzymał, parsknął śmiechem i zdawało mi się, że zerwie boki. Ale na szczęście nie zerwał, tylko zawołał:

- Mów pan po ludzku, bo skonam!

- Od razu czułem, że to Polacy! - rzekł Wacusi.

- Polacy! Polacy! - zawołali chórem ojciec, mama i córuchna. Mieli ochotę wpaść wujaszкови w ramiona, ale wujaszek siedział za kierownicą, więc nie wpadli, tylko zaczęli błagać, żeby ich ratować.

Wujaszek zaraz zabrał się fachowo do roboty, spod tylnego siedzenia wyjął linkę, wziął opla na hol i - jazda wyciągać. Czysta robota, mucha nie siada!

Wacusi tymczasem zainteresował się naszym mamutem. Odciągnął mnie na bok.

- Skąd żeście wytrzasnęli takiego trupa?

- Trup to wasz opel! - burknąłem.

- Człowieku, najnowszy model, tylko mój stary nie umie prowadzić. Dostaje gęziej skórki przed każdym zakrętem i jedzie czterdziestką. Mówię ci, skonać można. Dokąd walicie?

- W nieznane.

- Nie żartuj, pewno do Budvy.

- Gdzie to?

- Nie wiesz? Nad morzem. Mamy już zamówione pokoje w hotelu, po trzy kawałki od osoby. A wy?

- My z namiotem.

Obrzucił mnie wzgardliwym spojrzeniem.

- Jak Cyganie.

- Nie - powiedziałem - jak prawdziwi turyści.

- Dostaniesz reumatyzmu i na starość cię pokręci. Mówisz po angielsku?

- Nie.

- To nie masz się co pchać! Tu wszyscy mówią jakimś obcym językiem. Ja byłem, bracie, dwa lata w Anglii, ze starym. Chodziłem do angielskiej szkoły. Stary był przedstawicielem Impexu, handlował i zarabiał kupę forsy. A może mówisz po francusku?

- Nie.

- Toś przepadł!

- Dlaczego?

- Zanudzisz się! Co będziesz robił?

- A ty?

- O mnie się nie bój. Stary ma forszę. W Budvie będzie fajna zabawa. Jedźcie do Budvy, to się spotkamy. Tylko nie wiem, czy tym trupem dojedziecie.

- Ty, uważaj! - powiedziałem. - To nie żaden trup, tylko świetny wóz.

- Drynda, dryndula!

- Bo cię palnę w łeb!

- Spróbuj!

Nie zdążyłem spróbować, bo właśnie wujaszek potrzebował klucza francuskiego, więc zawołał, żebym mu podał. Chętnie palnąłbym tym kluczem Wacusia. Nie podobał mi się. Anglik z Kołomyi! Myślał, że zaimponuje mi najnowszym modelem opla i tym, że chodził do angielskiej szkoły. Gdyby wiedział, że z Tomem odkryliśmy nieznaną grootę z prawdziwym szkieletem, to nie strzępiłby języka. Biedny ten łysy jegomość, którego nazywał „starym”, a który miał pecha być jego ojcem. Niepotrzebnie inwestował forszę w wychowanie podobnego okaza!

Podaliśmy wujaszкови klucz, wujaszek wyciągnął już opła z gardzieli tunelu. Wóz był mocno pokiereszowany. Prawy błotnik z latarnią zmiażdżony, silnik nie chciał zapalać. Jednym słowem kłapa! Niby najnowszy model, a nie ruszy z miejsca.

Wujaszek pomagał łysemu ojcu rodziny zmienić koło. Ojczulkowi pot zalewał twarz, a mama z córcią zachwycały się widokami.

Wacek nie zachwycał się, bo nie potrafił.

Ruszyliśmy, a raczej nasz dzielny mamut ruszył z kopyta, ciągnąc za sobą najnowszy model opła. Sensacja największego kalibru! W opłu nieszczęsny tata, Wacusi i mama, a w mamucie my z wujaszkiem i reszta tamtej rodziny, to znaczy Karina. Nie mogła sobie znaleźć jakiegoś polskiego imienia! Uparła się, że pojedzie z nami, bo czytała w „Przekroju”, że na Zachodzie najwytworniejsze damy jeżdżą właśnie takimi starymi samochodami. I to jest właśnie największy szyk, fason i krzyk mody.

Zlitowaliśmy się nad nią. Niech jej się zdaje, że jest taka wytworna i siedzi w starym rolls-royse, którym królowa Wiktoria jeździła na otwarcie parlamentu albo gdzie indziej.

Mniejsza o to.

A więc za kierownicą wujaszek z miną zesłańca niebios i z fajką w zębach, obok ja - bez miny i bez fajki, natomiast z mocnym postanowieniem, że jednak muszę dać Wacusiowi w ucho; a obok - Karina, elegancka, wniebowzięta i bardzo nowoczesna. Taka, co to chodzi już na koncerty jazzowe, ubóstwia Helenę Shapiro i Hallydaya, ma w domu płyty z Prestleyem i udaje, że ma więcej lat, niż ma. I w ogóle rozpacz człowieka ogarnia, jak na nią patrzy! Tu - potężne ściany skalne opadające prostopadle w dno kanionu, a ona - z tapirowanymi włosami i piramidą na głowie! Tu - zapach żywiczny i szum górskiej rzeki, a od niej zajeżdża jakimiś paryskimi perfumami! Do tego powieki wysmarowane granatowym tuszem, na wargach szminka, a paznokcie zrobione na perłowo. Dziwiłem się, że ziemia nie zatrzęsa się ze zgrozy.

Mdliło mnie od zapachu perfum, oczy bolały na widok szopy na głowie, ale cóż miałem robić! Staropolska gościnność nakazywała nie zwracać uwagi na takie drobiazgi, a więc nie zwracałem, tylko podziwiałem krajobraz.

Kanion z wolna rozszerzał się. Nagie skały ustąpiły miejsca lesistym zboczom. Czasem tylko spośród drzew wylaniały się strzeliste turnie. I rzeka płynęła tu wolniej rozlewając się w piękne, błękitne zalewy. Niestety, NIEZNANE przestało być nieznanym, bo pojawiły się tablice orientacyjne, z których wynikało niezbicie, że jesteśmy na szosie z Kolašina do Titogradu, a rzeka, która wyłobila ten wspaniały kanion, nazywa się Moraća.

Nieznane pozostały tylko myśli Kariny, bo do tej pory nie otworzyła ust, tylko wciąż udawała wytworną damę. Tak się zachowywała, jak gdyby wujaszek był jej osobistym szoferem, a ja - chłopcem na posyłki. Dopiero trzydzieści kilometrów przed Titogradem raczyła się odezwać.

- Dokąd jedziecie?

- W nieznane - powiedziałem.

My do Budvy. Wolałabym wprowadzić na Wyspę Św. Stefana, ale niestety papa powiedział, że za drogo. Dziewięć tysięcy dziennie od osoby. Podobno na Św. Stefanie jest najwytworniejsze towarzystwo i znakomita włoska orkiestra. Co zrobić, papa ma węża w kieszeni!

Przyjąłem do wiadomości, że łysawy papa ma węża w kieszeni. Nie zapytałem nawet, jakiego.

- Na Św. Stefanie - ciągnęła Karina - mieszka się w starych domach z piętnastego wieku. To musi być bardzo romantyczne. Mury są stare, a wnętrza ultranowoczesne i za to właśnie trzeba płacić

dziwięć kawałków od osoby.

- Niedrogo - bąknął wujaszek. - Wystarczy złowić dziennie dwanaście żmij i już można mieszkać w piętnastowiecznych murach i w nowoczesnych wnętrzach, a do tego słuchać codziennie włoskiej orkiestry jazzowej. - Mrugnął do mnie porozumiewawczo, a ja pękałem ze śmiechu - cicho, bo głośno nie wypadało.

- Przepraszam - Karina zatrzepotała granatowymi rzęsami - o jakich żmijach pan mówi?

- O jadowitych - roześmiał się wujaszek. - A panienska o jakich myślała?

- Nie rozumiem...

- Ty tego nie zrozumiesz, bo nie łowiłaś żmij - wtrąciłem. - Na Sinjajevinie pewna angielska ekspedycja naukowa łowiła żmije i płacili dolara za jedną sztukę.

- Okropne! - zawołała Karina. - Gdyby mi płacono nawet dziesięć dolarów, to i tak bym się nie odważyła!

- A my - kpił dalej wujaszek - złowiliśmy dwieście sztuk. Wielkie jak smoki! - Spojrzał za siebie, w stronę worka namiotowego. I wieziemy je do Titogradu.

Karina zbladła i wydała okrzyk przerażenia.

- O, Boże! Błagam pana, niech pan się zatrzyma! Przesiądę się do opla! Wujaszek nacisnął pedał.

- To oswojone żmije - zaśmiał się dobrodusznie. - Nikomu jeszcze nic złego nie zrobiły.

- Nie! - zawołała. - Ja się strasznie boję! Błagam pana...

Wujaszek zatrzymał mamuta. Karina wyskoczyła z wozu. Włos jej się zjeżył na głowie, w panicznym strachu uciekła na łono rodziny, do opla.

Teraz mogliśmy popękać sobie zdrowo ze śmiechu! Pękaliśmy aż do Titogradu, stolicy Czarnogóry.

Wyjechaliśmy z pięknej doliny Moraćy. Lasy, turnie, wąwozy, potoki zostały za nami. Przed nami ciągnęła się szeroka równina otoczona zewsząd nagimi wzgórzami. Nizina była żyzna, zielona, a góry skaliste, nagie, jakby przyprószone ceglastym pyłem. Mijaliśmy seledynowe pola kukurydziane, szmaragdowe plantacje tytoniu, sady brzoskwiniowe, wyglądające z daleka jak kłębki przesłonecznionej mgły, małe domki wśród cienistych drzew morwowych. Było coraz goręcej. Odczuwało się, że jesteśmy daleko na południu.

Pośpiewując wesołe piosenki, dojechaliśmy do Titogradu, a w Titogradzie podholowaliśmy opla do stacji obsługi samochodów. Pierwszy wyskoczył z opla Wacuś.

- Podobno macie cały worek żmij?! - zawołał. - Pokażcie, bo strasznie jestem ciekawy!

- Tsss! - osadził go wujaszek. - Nie wrzeszcz tak, kawalerze, bo mi je wystraszysz.

Nieszczęsny ojciec rodziny zbliżył się ostrożnie. Z respektem spoglądał na namiotowy worek.

- To strasznie miło z pana strony, że pan nas wytaskał z tego nieszczęścia...Pelpińscy jesteśmy... - przedstawił się. - Czujemy się bardzo zobowiązani...

Wujaszek machnął lekceważąco ręką.

- Głupstwo, przyjemnie mi było państwu pomóc. I życzę dobrej podróży.

- To pan jedzie dalej?

- Tak - rzekł wujaszek poważnie - muszę jeszcze sprzedać te żmije, a potem walimy prosto na Jezioro Skadarskie.

Gęby im się wydłużyły, brody opadły, w oczach zjawilo się przerażenie. Jednym słowem, zupełnie ich zamurowało! Patrzyli na mego najmilszego czarodzieja jak na fakira i zaklinacza węży. A on zrobił odpowiednią minę i rzekł:

- Salem alejkum. Dominus vobiscum! Amen - skinał im na pożegnanie ręką i dmuchnął błękitnym dymkiem z rury wydechowej.

Pojechaliśmy dalej.

Od Titogradu zaczyna się prawdziwy, wielki ruch turystyczny. Wystarczy tylko spojrzeć na szosę. Samochody prują jak wściekłe, w jedną i drugą stronę. My też prujemy dostojnie naszym „ostatnim krzykiem mody”, a wszyscy na nas wybałuszają oczy i myślą, że jesteśmy jakąś lordowską rodziną. Niech im będzie! Za Titogradem zaraz odezwała się we mnie żyłka reporterska. Zapisuję więc w notatniku samochody, które mijamy po drodze.

Oto moje notatki:

Zielony mercedes z tabliczką D - Niemcy; pies ich drapał!

Fantastyczne alfa-romeo, na pewno włoskie. Rzeczywiście znak - /, Italia.

AUTOBUS SAUER Z AUSTRII, ZNAK A, A W NIM, ZAMIAST AUSTRIAKÓW, PEŁNO MURZYNÓW. SENSACJA!

Może się pomalowali?

Mały fiacik - 600, znak A - Węgry.

Potężny buick, krążownik szos, znaków nie rozpoznałem. Może amerykański.

Skuter lambretta, a na skuterze zakonnica, zmotoryzowana, jak babcię kocham!

Dwa osiołki - bez żadnych znaków.

OPEL Z PRZYCZEPĄ CAMPINGOWĄ, JEDNYM SŁOWEM DOMEK NA KÓŁKACH, A W DOMKU POSZCZEKUJĄCY czarny pudel. Zadowolony, bo przyjechał ze Szwecji. Znak S.

Volvo - wóz szwedzki, ale znaki holenderskie - NL 8 Nederland.

CIEŻARÓWKA - MARKA NIEROZPOZNANA - A W CIEŻARÓWCE PEŁNO BARANÓW. CZYŻBY JECHAŁY NA weekend?

Coś na trzech kółkach - ni to samochód, ni motocykl, a jedzie; znaki jugosłowiańskie YU.

AUTOBUS FIAT BIURA PODRÓŻY PUTNIK. PUSTY. (PASAŻEROWIE PRAWDOPODOBNIEM KAPIĄ SIĘ W morzu).

Drrr... brrr... trrr... prrr...

Nie mogłem dalej notować, bo strasznie trzęsło. Ale samochodów było moc i gdybym nawet mógł notować, to i tak nie zanotowałbym wszystkich: fiaty, mercedesy, volkswageny, citroeny, renaulty, ople, fordy, buicki, austiny, humbery, licho wie jakie! Cała rewia samochodowa! A w samochodach oczywiście pasażerowie wszelkiej narodowości i wszelkiej maści. Widziałem nawet Hindusa w pięknym, amarantowym turbanie. Egzotyczniej by wyglądał na słoniu pod baldachimem, no ale trudno, mamy przecież wiek motoryzacji, więc niech będzie Hindus w buicku!

Najpiękniej jednak wyglądał wujaszek w naszym mamucie. Daję słowo, Hindus odpada!

Wujaszek przypominał teraz sławnego podróżnika, który chce zbadać niezgłębione tajemnice przyrody.

Ja też chciałem zbadać - przede wszystkim, dokąd właściwie jedziemy, bo sama nazwa Jezioro Skadarskie nic mi nie mówiła. To tak, jak gdyby ktoś powiedział: jedziemy do Piramidonowic albo Polopirynowa.

Tymczasem jechaliśmy równiną. Za nami były góry, przed nami góry, a my jak na dnie zielonego jeziora.

- Zdaje mi się - odezwał się ni stąd, ni zowąd wujaszek - że za chwilę zobaczymy coś oryginalnego.

Chwila była bardzo długa, trwała może z piętnaście minut. Najpierw wspięliśmy się na

niewielkie wzgórze, potem minęliśmy wyschnięty potok, wreszcie...

Tak, to był rzeczywiście zaskakujący widok! Przed nami wielki masyw górski, nagi, spiętrzony skalnymi tarasami, jarzący się cynobrem, a w załomach ołowiany i groźny. U jego stóp olbrzymia tafla wody. Słońce chowało się już za szczytami; tam gdzie padło, woda była jak rozpalona miedź, w cieniu granatowa, a gdy ją marszczył wiatr, srebrzyła się jak pokryta krą. Wujaszek zatrzymał samochód.

- Jezioro Skadarskie - powiedział w zamyśleniu. - To właściwie nie jezioro, lecz morze wśród gór. Czterdzieści osiem kilometrów długości, piętnaście szerokości, a głębokość w niektórych miejscach dochodzi do trzystu metrów.

- Skąd wujaszek to wszystko wie? - zapytałem.

- Ba, mam dokładne informacje od pewnej syreny, która zamieszkuje te głębie - zażartował.

- Czterdzieści osiem kilometrów! - westchnąłem. - Stąd wydaje mi się, że nie ma tyle.

- Jesteśmy na samym skraju, właściwie nad jedną zatoką. Pojedziemy dalej, to zobaczysz.

Pojechaliśmy dalej, a to „dalej” było jeszcze ciekawsze. Nie chciałem wierzyć własnym oczom: oto szosa przecinała zatokę, biegła wprost przez jezioro, bez mostu, bez wiaduktu, wprost na nasypie skalnym! Z jednej strony jezioro, z drugiej - jezioro, a my prujemy przez środek prosto na drugi brzeg.

Brzeg był skalisty, dziki, niedostępny. Szosa od razu wspinała się ostrymi serpentynami aż do miejscowości Virpazar. Miejscowość oznaczono na mapie kółeczkiem. Można by pomyśleć, że to wieś. W rzeczywistości kilka maleńkich domów z kamienia. Kamienne ściany, kamienne kominy, nawet dachy z płaskich kamieni poukładanych jak dachówki, a za kamiennymi ogrodzeniami trochę kamienistej ziemi wydartej cudem temu kamiennemu światu. Dwa, trzy drzewa oliwne, poletko nędznej kukurydzy, zielony arbus pęczniejący wśród wypalanej słońcem trawy, dwa osły drzemiące w cieniu, chude kozy... I to wszystko.

- Z czego też ci ludzie tu żyją? - zapytałem wujaszka. Spojrzał na mnie nieco zdziwiony.

- Jeżeli mają domy, jeżeli w domach są kominy, a przy domach pasą się kozy, to widocznie żyją.

Zadumałem się nad życiem tego kamiennego osiedla. Jakie to dziwne! Obok biegnie szosa, szosą jadą samochody, wymyślne maszyny, z wszystkich stolic Europy: z Paryża i Londynu, z Budapesztu i Wiednia, z Rzymu i Warszawy.

Cały świat ociera się o te kamienne domki, a one stoją wrośnięte w skałę, jak stały prawdopodobnie przed wiekami...

Byłbym się zupełnie zadumał, lecz w pewnej chwili zauważyłem, że wujaszek z pierwszorzędnej asfaltowej szosy skręcił nagle na kamienistą drogę, tak wąską, że z trudem mijały się dwa osły.

- Wujku, dokąd my jedziemy? - zawołałem przerażony.

- Nie wiem! - odkrzyknął ze śmiechem. - Bardzo mi się tutaj podoba. Okolica przypomina trochę Marsa.

- Był wujaszek na Marsie? - zażartowałem.

- Oczywiście. Nie pamiętasz, przysłałem ci nawet kartkę z widokiem na przestrzeń międzyplanetarną.

Wyobraziłem sobie wujaszka na Marsie. Byłem pewny, że zachowywałby się tak samo, jak na Ziemi. Gubiłby pieniądze, bratał się z każdym Marsjaninem, fundował im wino, śpiewał partyzanckie pieśni i nie ożeniłby się nawet z najpiękniejszą Marsjanką.

Tymczasem jechaliśmy przez prawdziwą marsjańską pustynię. Nad nami skały, pod nami skały, a

droga raz w górę, raz w dół, a niżej, spomiędzy skał, co chwila wyłaniała się srebrzysta tafla jeziora. Czekałem, kiedy koła mamuta ześlizną się z drogi, a my polecimy w przepaść.

A wujaszek gnał na pewną zagładę. Biedny mamut dygotał cały, zgrzytał, prychał jak zmordowana szkapa. Wujcio podśpiewywał sobie rozmaite arie z „Rigo-letta”, „Pajaców” i „Strasznego Dworu”. Powinien raczej śpiewać marsze żałobne, lecz cóż, taką miał naturę, nawet umrzeć chciał wesoło.

Na szczęście nie zginęliśmy. Zatrzymaliśmy się na obszernym tarasie skalnym, wśród zupełnego pustkowia. Taras znajdował się na cyplu wysuniętym głęboko w jezioro. Nad nami, wśród skał rosło kilka cyprysów, czarnych niemal i smukłych jak płomień świecy, pod naszymi stopami leżało jezioro. Było gładkie, ciemne, przepastne. Dwie łodzie rybackie popychane wiosłami sunęły jak dwa żuki wodne, zostawiając za sobą bliznę na wodzie. Było tak cicho, że słyszeliśmy plusk wiosła.

Pod nami woda była gładka i granatowa od głębokiego cienia, dalej mieniła się smugami purpury i seledynu, a hen, jakby topniała w sinym oparze. Widok był szeroki, jezioro zdumiewająco duże. Morze wśród gór.

Wujaszek pokazał na horyzont.

- Widzisz te góry? To już jest Albania. Granica biegnie środkiem jeziora. A tam pod tymi górami leży miasto, które nazywa się Skader - od niego bierze nazwę jezioro.

A więc znajdujemy się nad Jeziorem Skadarskim. Moglibyśmy się znajdować gdzie indziej, ale gdzie indziej nie byłoby tak ciekawie. Rekinów i palm tu co prawda nie ma, są natomiast cyprysy i jest dużo wrażeń. Najpierw mieliśmy wrażenie, że znajdujemy się na Marsie, a potem, że przenieśliśmy się do Ilirii.

Nie szukajcie na mapie. Nie znajdziecie dzisiaj takiego kraju. Żeby go znaleźć, trzeba być archeologiem, czyli takim ciekawskim typem, który wygrzebuje z ziemi różne pomniki przeszłości i łamie sobie głowę z jakiej epoki te wykopaliska pochodzą.

O tym, że jesteśmy w Ilirii, dowiedzieliśmy się właśnie od archeologów, którzy nic tu całymi dniami nie robią, tylko grzebią w ziemi, a nawet szukają na dnie jeziora. Morowa wiara, przeważnie brodacze, a jeden łysy. Taka już moda, że jak archeolog, to powinien nosić brodę albo wyłysieć. Wprawdzie wuj Leon też ma brodę, ale z lenistwa, bo mu się nie chce golić.

Naszych archeologów odkryliśmy przy osadzie Secoa i od razu wiedzieliśmy, że Włosi, bo jedli spaghetti, czyli makaron - z sosem pomidorowym i parmezanem. Myśmy też jedli, ale mieliśmy wielkie trudności, bo makaron włoski jest strasznie długi i nie wiadomo, jak go połykać. Jeżeli połkniesz taki makaron, to jeden koniec znajduje się już w dwunastnicy, a drugi jeszcze na talerzu. I jak to Mniejsza o to. Ważniejsza jest łódź iliryjska, którą archeolodzy wyciągnęli z dna jeziora. Widziałem na własne oczy, jak wyciągali. Najpierw jednak musieli ją znaleźć. Od czego są archeologami? Znaleźli zupełnie przypadkowo, bo jeden z nich jest znakomitym płetwonurkiem i schodził z aparatem tlenowym na głębokość dwudziestu metrów, a tam zobaczył jakąś drewnianą rzeźbę, która okazała się głowicą dziobu łodzi i przedstawiała pysk ryby.

Dość, że wyciągnęli łódź za pomocą dźwigu umieszczonego na małym statku. I zaraz zrobiła się wielka sensacja. Podobno piszą już o tym w Belgradzie i w Rzymie. Łódź, bagatela, liczy sobie około dwu tysięcy sześciuset lat! Kawał czasu! Jeszcze nawet Popielą nie zaczęły zjadać myszy ani smok wawelski nie porywał krakowian, gdy Ilirowie pływali w tej łodzi, a cedrowe bory szumiały nad Jeziorem Skadarskim o pradawnych legendach.

Oczywiście cedrowe, bo inne nie mogły szumieć. Tak twierdzi wujaszek Leon. U nas sosnowe, a tu cedrowe, bo podobno dawniej szumiał tu cedrowy bór i niedźwiedź chował się w jego ostępach.

Niestety, już nie szumi. Wycięli go jeszcze Rzymianie na swoje galery i maszty okrętów, żeby potem przepłynąć przez Morze Śródziemne i zburzyć Kartaginę. A niedźwiedzie chwyтали w doły i wieźli do Rzymu.

Tyle tych wiadomości historycznych, że mi się w głowie mąci!

Zapędziłem się aż do Kartaginy, a jestem przecież nad Jeziorem Skadarskim, dwa tysiące sześćset lat przed erą Gagarina. Szumiały więc cedrowe bory nad jeziorem, a Ilirowie budowali z cedrowej tarcicy piękne łodzie, spuszczały je na wodę, a potem wsiadali i kombinowali, co by tu jeszcze wymyślić. Wymyślili więc wiele mądrych rzeczy i z tego powstała kultura halsztadzka. Zajrzyjcie do encyklopedii, to się dowiecie.

Mądry naród, niech mnie drzwi ścisną, pierwsi w Europie nauczyli się wytapiać żelazo, a ze srebra robili przepiękne ozdoby. Widziałem na własne oczy, a wujaszek może poświadczyć, bo Włosi nie tylko jedli spaghetti, ale także kopali pod osadą Secoa i dokopali się do iliryjskich grobów. Proszę siadać, umierali ludzie wtedy z fasonem, a na drugi świat nie wybierali się tak skromnie jak teraz, ale z różnymi bransoletami, z naszyjnikami, broszkami, ba, nawet z wałówką, żeby mieli wyżerkę w wędrówce pozagrobowej. Przezorni, co? Wujaszek zapomniał kupić w Titogradzie kawałka suchej kiełbasy, a oni nawet w grobie o tym nie zapominali!

Jednym słowem, ci przezorni Ilirowie stworzyli ponoć wysoką kulturę i można powiedzieć, że nieźle im się powodziło, skoro nawet umrzykom pakowali do grobu srebrne ozdoby artystycznie wykonane.

Nic więc dziwnego, że Jezioro Skadarskie owiane jest legendą i wieki przemawiają nawet z jego dna. Nocą, gdy księżyc wytoczy się znad wysokich gór, a tafla wody zmieni się w płynne srebro, zdaje ci się, że jesteś iliryjskim rybakiem i wypływasz na połów iliryjskich ryb.

Ryby do tej pory zostały iliryjskie i są bardzo smaczne. Łowiliśmy je z wujaszkiem na błyszcz i smażyli na włoskiej oliwie. Ilirowie natomiast znikli, pozostały jedynie po nich groby, cmentarzyska, ruiny osiedli i legendy.

A w wujaszku - zaduma nad losem człowieka.

- Tak. Marcinku - powiedział, gdy siedzieliśmy wieczorem przed namiotem i patrzyli na jezioro wielkie jak morze. - Giną ludzie, giną narody, a te skały nad nami, a to jezioro zostaje niezmienione od setek tysięcy lat. Ileż tu ludzi, tak jak teraz my, w księżycową noc podziwiali grę światła i zadumało się głęboko?...

Bo to fakt - byli ludzie przed Ilirami, byli i po nich. Po nich przyszli Grecy. Zapędzali się brzegiem morza aż do ujścia rzeki Bojany, a potem rzeką aż na jezioro. I znowu zostawiali swe kości w tym skalistym gruncie, żeby ciekawscy archeolodzy mieli kiedyś co odkopywać. A po Grekach - Rzymianie.

A jezioro, wielkie, tajemnicze, bije o skalne brzegi i wciąż trwa... A my z wujem Leonem dumamy przy świetle księżyca.

Zostawiamy jezioro osnute legendami o iliryjskich czasach i prujemy wprost nad morze. Żegnajcie, brodaci archeologowie! Żegnaj, spaghetti i rozkopany grobowcu, żegnaj, smętne zadumy pradziejów! Jedziemy wymoczyć sobie nogi w Adriatyku. Tak właśnie określił naszą nową turę wujaszek, bo wujaszek zawsze miał pod ręką takie powiedzonka. Na przykład Virpazarze powiedział: „Teraz przeskoczmy tysięczną przeszkodę”. I miał rację. Zanim jednak zaczęliśmy moczyć nogi, trzeba było najpierw wspiąć się na tysiąc metrów nad poziom morza i zjechać na łeb, na szyję, a to wszystko na przestrzeni kilkunastu kilometrów!

To była jazda! Niech mnie gęś kulawa kopnie, jeżeli przesadzam. Serpentina po serpentyńce, zakręt za zakrętem, szosa wykuta w szczerzej skale, a pod szosą nic, tylko przepaść za przepaścią!

A wujaszek śpiewał arie z „Fausta”, bo właśnie te arie wybrał sobie na najostrzejsze zakręty.

Były nawet takie miejsca, gdzie wydawało się, że droga utknie w ślepej ścianie. Jedziesz, przed tobą szczerza, prostopadła skała - i myślisz, że szosa urywa się. Ale to tylko złudzenie. Od czegoż nowoczesna technika, poparta fantazją człowieka? W takich miejscach budowniczowie przechytrzyli naturę: przekuli w skalnej ścianie tunel albo „przyklepili” betonowego ślimaka do skały i jedziesz, człowieku, jak przez gigantyczny balkon! Szosa wisi nad próżnią, ty wisisz w samochodzie, twoje życie na włosku, a przy tym musisz jeszcze podziwiać fantazję twórców tej podniebnej karuzeli!

Jednym słowem, pełno wrażeń, emocji i jazda całą gębą, aż na wysokość tysiąca metrów. Im wujaszek głośniejsze śpiewa swoją arie, tym bardziej boję się o mamuta. Bo w takich momentach najrozmaitsze myśli mają zwyczaj chodzić człowiekowi po głowie! A nuż pęknie dętka, a nuż hamulec odmówi posłuszeństwa albo mamut w ogóle rozsypie się w kawałki. Ładna by była historia! Ostatni krzyk mody na dzień czarnogórskiej przepaści wraz ze znakomitym cybernetykiem i jeszcze znakomitszym siostrzeńcem. Cześć ich pamięci! Zginęli na posterunku śpiewając arie Mefista z „Fausta”.

Nie dostarczyliśmy jednak sensacji łakomym dziennikarzom. Z pieśnią na ustach dojechaliśmy na samą górę tej diabelskiej karuzeli.

Przedtem jeszcze wujaszek zawołał do mnie poprzez dychawiczny warkot mamuta:

- Robimy konkurs, kto pierwszy spostrzeże morze!
- Jaka nagroda?
- Dwa dni wolne od zmywania menażek.
- Zgoda!

Jak konkurs, to konkurs. Wyteżyłem wzrok, wychyliłem się z wozu i gdybym mógł, to uleciałbym przed mamuta, żeby wygrać z wujaszkiem. Nie miałem przecież zamiaru przez dwa dni pucować tłustych menażek. Wbiłem więc wzrok w horyzont, gdzie nagie skały stykały się z błękitem... Mijały chwile, które mają to do siebie, że w takich wypadkach zamieniają się w godziny. Skończyła się już stromizna, sunęliśmy płaskowyzem wśród skał i krzewów tamaryszku, a morza jak nie było, tak nie było.

Wreszcie obaj krzyknęliśmy jednocześnie:

- Jest!!!

I było. Leżało pod naszymi stopami - wielkie, szerokie, zlewające się niemal z horyzontem. Wspaniały widok z wysokości tysiąca metrów. Skały, morze i błękit nieboskłonu, a na morzu statek, ciągnący za sobą welon dymu, jak zabawka, jak coś, co się przyśniło.

NAD SŁONECZNYM JADRANEM

Nie będę opisywał karkołomnego zjazdu z wysokości tysiąca metrów, boby się wam w głowie zakręciło. Grunt, że dojechaliśmy nad brzeg morza. Wskoczyliśmy z mamuta i jak dwa żrebaki pobiegliśmy przed siebie. I nie zatrzymaliśmy się na brzegu, tylko w butach, w ubraniu wbiegliśmy do wody - dwaj zwariowani łowcy przygód i wielbiciele natury.

Wujaszek zanurzył głowę w wodzie i ja zanurzyłem, żeby się przekonać, że to nie sen, że jesteśmy żywi, nad żywym Jadranem. Potem prychaliśmy jak dwa lwy morskie, przyskaliśmy na siebie wodą i śmieliśmy się do rozpuku.

Gdyśmy się już dobrze wyhiali i wychachali, spojrzeliśmy przed siebie. Na widok bezkresnej przestrzeni człowieka ogarnia zaduma. Mnie też ogarnęła. Poczuję się nagle maleńki i słaby wobec tego ogromu; robak, który pełźnie na brzegu, ziarno piasku...

Na szczęście nie byłem ziarnem piasku, bo ziarno nie ma przecież tak miłego wujaszka ani nie podróżuje „krzykiem mody”, a przede wszystkim nie zachwyca się pięknem krajobrazu. Jak to dobrze, że jestem myślącą naturą i mogę przeżywać, cieszyć się, wpadać w zadumę...

Spojrzałem w błękitną dal, w nadziei, że może z fal Adriatyku wyłoni się potężny grzbiet rekina. Niestety, nie było nawet fal, więc rekin nie miał z czego się wyłonić. Morze leżało niemal gładkie, połyskliwe, a z góry lał się żar. Palm też chwilowo nie zauważyłem. Widziałem jedynie rudą brodę wujaszka i jego rozradowane oczy. Wiatr nie szeleścił w liściach palmowych, a mimo to było pięknie, egzotycznie i tajemniczo.

Bardzo długo było tak pięknie, egzotycznie i tajemniczo, aż wreszcie wujaszek powiedział:

- Musimy znaleźć miejsce na biwak.
- Gdzie?
- Właśnie, gdzie? Tam gdzie jest pięknie i rozciąga się wspaniały widok.
- Tu wszędzie jest pięknie.
- Tak, lecz na pewno znajdziemy jeszcze piękniejsze miejsce.

Wujaszek był specjalistą od wybierania miejsca na biwak. Pojechaliśmy więc tam, gdzie miało być jeszcze piękniej, a najpiękniej było niedaleko Wyspy Św. Stefana, obok maleńkiej osady Miločer. Morze wdzierało się tutaj głęboko w urwiste skały, tworząc lazurową zatokę. Jestem przekonany, że stworzyło ją specjalnie na zamówienie naszego czarodzieja; dla niego wyrzeźbiło ściany górskie w fantastyczne kształty, dla niego również wyrosły piękne pinie i strzeliste jak igły cyprysy. W każdym załomie skalnym cyprys, żeby mógł pomarzyć trochę podczas popołudniowej drzemki, i żeby mu się zdawało, że jest rzymskim prokonsulem, którego zagniewany cesarz zesłał na wybrzeże Montenegro. A już na pewno dla wujaszka czarnogórcy chłopcy posadzili ponad piniowym laskiem drzewa oliwkowe, żeby mu się srebrzyły i rzucały cień na namiot.

Rajskie miejsce: oliwny gaj, niżej - pinie, w skałach cyprysy, a pod skałami błękitna zatoka. Gdy

spojrzysz w prawo, maleńka Wysepka Św. Stefana z szarymi domkami pamiętającymi jeszcze czasy piratów, a z lewej - morze. Gdybyś popłynął na zachód, przybijesz do Włoch, na południe - do Libii. Ale po co płynąć, kiedy tu tak pięknie; a my nie mamy kart pływackich.

Nie mamy kart, ale mamy za to balsamiczne powietrze, cudowne słońce i lazurowe morze. Czego nam więcej trzeba? Chyba trochę pieniędzy, ale o tym nie mówi się głośno, bo wujaszek nie lubi, gdy mu się wspomina o budżecie.

A budżet? Szkoda gadać, zdaje mi się, że już kończą się pieniądze za zegarek. Ciekaw jestem, co następnie pójdzie na handel?

Tymczasem nie myślimy o tym. Jesteśmy beztroskimi wagabundami. Nic nas nie martwi ani nie zamąca spokoju. Znaleźliśmy najpiękniejsze miejsce pod słońcem i drwimy sobie z losu. Niech się martwi milicja w Użicach i niech staje na głowie, żeby znaleźć nasze pieniądze. Nauczyłem się już od wujaszka bimbać na rzeczy martwe.

Rozbiliśmy więc namiot, wytaszczyli z mamuta rzeczy, a gdy wszystko było gotowe, wujaszek zapytał:

- Mój Marcinku, co byś dzisiaj zjadł na obiad?

- Płetwę rekina w bananowym sosie - odparłem i dając słowo ślinka pociekła mi po brodzie.

Wujaszek przymrużył oko.

- A gdyby nie było pod ręką rekina?

- To chętnie zjadłbym jaskółcze jaja w sosie sojowym.

- Ba jaskółki już dawno się wylęgły. Znajdź coś bardziej osiągalnego.

- Już wiem - pieczeń z serca nosorożca!

- Jesteś okrutny.

- Nie, tylko dużo czytałem o życiu prymitywnych szczepów murzyńskich z nad Limpopo.

- Na nosorożca pójdziemy o świcie - uśmiechnął się wujaszek - teraz pomyśl o czymś, co jest osiągalne w naszych skromnych możliwościach.

- Niech już będzie pieczona kuropatwa z borówkami.

- A może jarzabki po litewsku?

- Eee... - roześmiałem się - wujaszek drażni tylko mój smak! Nie bawię się z wujaszkiem.

Zjadłbym coś konkretnego, bo już mi kiszki grają jakiś utwór na flet i waltornię, jeżeli się nie mylę.

- O, proszę - zawołał wujaszek. - Wobec tego zabieramy się do gotowania. Wpierw jednak musimy zrobić w spizarni remanent.

Łatwo było wujaszekowi powiedzieć, ale dużo trudniej zrobić remanent. Nie chciałem go oczerniać, ale to, co było w naszych plecakach, wołało o pomstę do nieba - tego czarnogórskiego oczywiście. Groch z kapustą, galimatias, Sodoma Gomora, jednym słowem kosmiczny ultra bałagan: skarpetki w cukrze, swetry w pieprzu, chusteczki do nosa z sosem pomidorowym, a w jednej pionierce - kawałek warszawskiego chleba z nalepką „Piekarnia nr 3 - Mokotów - chleb praski”. Moja mama, która krając chleb zęgnęła go krzyżem, zemdlałaby na ten widok!

Szczerze mówiąc, przydałaby się wujaszekowi na dwie godziny rozsądna żona, żeby zrobiła ład w tym ultrabałaganie. Ręce mi opadły, rozpacz mnie ogarnęła, a wujaszek, jak nie huknie:

- Na co czekasz, gamoniu jeden?!

A potem rozłożył na kamieniach kawałek plandeki i wysypał wszystko na jedną kupę. Najwięcej było ryżu, oryginalnego, chińskiego, znad Żółtej Rzeki, a prócz ryżu trochę skórek z kiełbasy, kawałek boczku ze sznurkiem, dwa ziarenka fasoli, puszka z przecierem pomidorowym, kilka skórek z

chleba... Ot, cały remanent.

- Czy mam to wyrzucić? - zapytałem patrząc z żalem na resztki naszego dobytku.

- Ani mi się waź! - oburzył się czarodziej. - Skocz po wodę, zaraz ugotujemy zupę filozofów.

Jeśli się nie mylę, miał na myśli cud z chlebem i winem w Kanie Galilejskiej. Uwierzyłem w cuda. Poszedłem szukać wody.

Ponad gajem oliwnym widniały zabudowania. Duży dom w stylu czarnogórskim, cały z kamienia, z niewielkimi oknami, zasłoniętymi drewnianymi okiennicami, a nad domem kilka cyprysów. Skoro był dom, powinna być i woda.

Zacząłem wspinać się ku domowi. Szedłem przez gaj oliwny. Było piekielnie gorąco. Kryłem się w cieniu drzew. Drzewa stare, rozłożyste; pnie grube, poskręcane, gałęzie powyginane we wszystkie strony, a wśród gałęzi małe jak ziarnka fasoli - oliwki. Zerwałem jedną, ugryzłem. Była cierpka i miała w środku twardą pestkę. „Jeszcze nie dojrzały” - pomyślałem.

Gaj wznosił się tarasami. Z nagiej niemal ziemi wyrastało kilka drzew, a potem był próg ułożony z wydartych ziemi kamieni, dalej - następny taras i znowu mur, a w murze przepust z kilkoma stopniami. Tak aż do kamiennego domu.

Im wyżej, tym goręcej. Byłem cały mokry od potu i koszula przylepiła mi się do pleców. Marzyłem o łyku zimnej, źródlanej wody. Zbliżałem się do domu. Przede mną wznosiły się schodki. Dalej nie było już drzew oliwkowych, tylko gęste kolczaste krzewy. Wszedłem na schodki i w tym momencie ktoś wypadł zza krzaków i na głowę zarzucił mi płachtę.

Honor Polaka nie pozwalał mi oddać się bez walki, lecz usłyszałem nad sobą piekielną wrzawę i zanim zdołałem uwolnić się, kilku nieznanych osobników przydusiło mnie do schodków, a potem zaczęło mi wiązać ręce.

Masz babo placek! Tam wujaszek czeka na wodę, żeby ugotować zupę filozofów, mnie zaschło w gardle od pragnienia, a tu znalazłem się nieoczekiwanie w potrzasku! Chwilowo nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Kto i czego ode mnie chce? Prócz brezentowego wiaderka na wodę nic przecież nie miałem. Może jeszcze trochę honoru i godności osobistej.

Nagle przypomniałem sobie mamuta. Ostatni krzyk mody motoryzacyjnej! A nuż chcą nam porwać nasz wehikuł? Mnie zwiążą, wujaszka uderzą czymś twardym w jego mądrą głowę, a potem wyrwą mu kluczyk od startera, wsiądą w mamuta i prysną... Wyobraziłem sobie minę wujaszka, gdy się ocknie i już nigdy nie ujrzy ukochanego wozu.

A więc czarnogórcy gangsterzy?

- Ratunku! - zawołałem, lecz głos utknął mi w gardle. Czekałem, kiedy nastąpi koniec. Zrobiło mi się smutno. To po to przejechałem ponad dwa tysiące kilometrów, ażeby tu na czarnogórskiej riwierze zginąć marnie z rąk kilku nieznanych mi opryszków?

Nie wiedziałem, co robić, więc nic nie robiłem, tylko czekałem. Na szczęście nie musiałem czekać długo. Oprawcy wzięli mnie pod ramiona i wydając dzikie okrzyki prowadzili w niewiadomym kierunku. Po dźwiękach, które docierały do moich uszu poprzez grubą płachtę, rozumiałem, że krzyczą po serbsku. Oni krzyczeli po serbsku, ja zaś milczałem po polsku i tak doszliśmy, nie wiadomo dokąd i gdzie.

Najczarniejsze myśli chodziły mi po głowie, bo w takich wypadkach zawsze chodzą. Mogą mnie rzucić ze skały do morza na pożarcie rekinom... Nie zostanie po mnie ani kosteczka i milicja nie będzie mogła nawet prowadzić śledztwa, bo i kogo wezmą na przesłuchanie? Mogą również zakopać mnie w ogrodzie pod drzewem oliwkowym. Będzie przynajmniej chłodniej. Licho wie zresztą, co

takim gangsterom strzeli do głowy. W najlepszym przypadku zażądają od rodziców okupu i ojciec będzie musiał sprzedać telewizor albo elektryczną maszynkę do golenia.

Na szczęście ojciec nie musiał się rujnować. Po chwili bowiem okazało się, że to nie żadni gangsterzy, tylko czerwono skorzy wojownicy. Gdy przywiązali mnie do drzewa i zdarli z głowy płachtę, zobaczyłem czterech opalonych na czekoladowo chłopców. Wzrok mieli dziki, w oczach paliła im się żądza krwi, na głowach chwiały się pióropusze z indyckich piór, a w dłoniach dzierżyli tomahawki i dzidy.

Zdziwiło mnie tylko, dlaczego mówią po serbsku, skoro powinni posługiwać się szlachetną mową Sjuksów, Delawarów lub Czarnych Stóp.

Jeden z nich, rosły, barczysty, z twarzą pomalowaną w białe kreski, podszedł do mnie dostojnym krokiem i zawołał:

- Złapaliśmy cię, cuchnący kojocie!

Rozumiałem każde słowo, zwłaszcza słowo „kojot”, tak chętnie używane przez Indian z bezkresnych prerii Minnesoty.

- Nie wygłupiajcie się! - powiedziałem. Idę do tego domu po wodę. Wtedy wysunął się krępy blondynek z zadartym nosem i z szramą na czole.

Zamachnął się tomahawkiem i byłby mi jednym ciosem rozplątał czaszkę, gdybym nie zrobił uniku.

- Zatrzuwa nam źródła - oskarżył mnie nikczemnie. - Nie miejcie dla niego litości!

Szlachetny wojownik z twarzą pomalowaną w białe kreski zadumał się.

- Z jakiego pochodzisz plemienia? - zapytał.

- Ja z Polski - odparłem. - Puśćcie mnie, bo mój wujek kona z pragnienia.

- Zedrzymy z twojego łba skalp i rzucimy go psom na pożarcie! - palnął ten niski.

- Wysłali go nasi wrogowie - dodał trzeci. - Chciał podsłuchiwać i wydrzeć nam tajemnicę.

Szlachetny Indianin spojrzał na mnie groźnie.

- Mów prawdę!

- Jak babcię kocham, jestem z Warszawy!

- On kłamie. Zdrzeć z niego skórę pasami, a potem podpalić stos. Niech skwierczy na wolnym ogniu.

Masz babo placek! Wyobraziłem sobie, jak ze mnie drą pasy, a potem jak ślicznie skwierczę na wolnym ogniu. Ładnie bym wyglądał!

Chwilowo jednak nie wyglądałem, bo nagle z krzaków wyskoczył jeszcze jeden czerwonoskóry wojownik. Był czarny, smagły, prawie nagi. Wokół bioder, na slipach miał opaskę z białych piór, a w jego włosach tkwiło jedno wielkie indyckie pióro. Twarz miał szlachetną, zwłaszcza wtedy, gdy zawołał:

- Nie znęcajcie się nad nim, wy psy parszywe! To przecież wojownik z zaprzyjaźnionego plemienia!

- Skąd wiesz? - zapytał zadziornie ten z zadartym nosem.

- Mówi podobnym językiem i wcale nie chciał wkroczyć na wojenną ścieżkę, tylko ugasić pragnienie w naszych zdrowych źródłach. Czyż godzi się odmawiać zbłąkanemu wędrowcowi łyku źródlanej wody? Duchy naszych przodków zemściłyby się na nas, gdybyśmy z nim postąpili nieszlachetnie...

Jego mowa płynęła pięknie jak górski potok, a w moim sercu zakwitła nagle nadzieja. Może

jednak nie zedrą ze mnie skóry ani nie upieką mnie żywcem...

Wojowników zamurowało, ale nie na długo, bo wnet ten z zadartym nosem tak na mnie spojrział, jakbym jego przodka wysłał w Krainę Wielkich Łowów.

- On przyszedł zatruć nasze źródła! - zawołał, a potem zwrócił się do szlachetnego wojownika: - A ty jesteś z nim w zмовie!

Tamten zapłonął gniewem.

- Mowa twoja - powiedział - jest jak syk jadowitego węża, a serce twoje wypełnia nienawiść.

Niski wojownik uniósł tomahawk.

- Odwołaj to, Ivo, bo cię zamaluję!

- A ty się nie wygłupiaj, Marko, bo jak ci dam w ucho, to cię rodzona ciocia nie pozna...

Coś się zmieniło. Szlachetni wojownicy zaczęli mówić sobie po imieniu, a do imion dodawać rozmaite takie słowa, na dźwięk których czerwono skorzy powinni pąsowieć. I byłoby się to wszystko źle skończyło, gdyby nie wkroczył ten z twarzą pomalowaną w białe krechy.

- Albo się bawimy, albo cześć, idę się kąpać!

- Rączy Jeleniu - zwrócił się do niego mój obrońca. - Byłeś zawsze sprawiedliwy i nigdy nie nosiłeś w sercu fałszu...

- A ja nosiłem? - jęknął ten z zadartym nosem.

- Zamknij się! - osadził go Rączy Jeleń. - Tę sprawę trzeba przedstawić wodzowi. Niech on rozstrzygnie.

Odwiązali mnie od drzewa. Byłem ledwo żywy. Myślałem, że wnet przeniosę się w Krainę Wielkich Łowów, ale nie przeniosłem się, tylko dałem się zaprowadzić przed oblicze wodza, a raczej zanieść, bo wciąż jeszcze miałem spętane sznurem od bielizny ręce i nogi. Spodziewałem się, że zobaczę pięknego męża o twarzy spokojnej jak skała wyrzeźbiona przez nurt potoku, tymczasem własnym oczom nie chciałem wierzyć: pod morwowym drzewem siedziała dziewczyna! Niech mnie drzwi ścisną, nie widziałem jeszcze wodza w spódnicy! Ona nie nosiła wprawdzie spódnicy, tylko szorty, ale miała za to spojrzenie indiańskiej księżniczki i zażerała się winogronami.

- Co to za jeniec? - spytała obojętnie po serbsku.

- Złapaliśmy go przy Gaju Wspomnień - wyjaśnił Rączy Jeleń, a Ivo zaraz dodał:

- I mówi, że jest z Warszawy.

Księżniczka raczyła spojrzeć na mnie sarnimi oczami.

- Jesteś z Warszawy? - zapytała najczystsza polszczyzną.

- To się wie! - zawołałem radośnie.

- Ja też! - nagle zerwała się, uniosła ręce i wpadłaby w moje ramiona, ale wodzowi nie wypadało. I już nie darli ze mnie pasów ani nie palili mnie na stosie, tylko zaraz okazało się, że to morowa wiara, a ja spotkałem nareszcie prawdziwą polską dziewczynę, bo Kariny nie można w ogóle liczyć.

Wódz w życiu prywatnym nazywał się Tola Usarska i chodził do siódmej klasy, ale nie w Warszawie, tylko w Belgradzie, bo jego matka była attache prasowym w polskiej ambasadzie. Myślał więc po polsku, a uczył się po serbsku i dlatego mógł być wodzem jugosłowiańskich chłopców.

Tola, gdy tylko przekonała się, że jestem warszawiakiem, przestała być wodzem. Powiedziała chłopcom, że na dzisiaj dość zabawy; jutro o świcie zbierze się Wielka Rada, a potem Czarne Stopy napadną na hotel „Miločer”, gdzie mieszka pewien szwedzki chłopiec, który nie dał im pojeździć na

wodnych nartach. W odwecie przywiążą szwedzką białą twarz do dzikiego bizona. Bizon już sobie z nim poradzi.

Nie chciałbym być w skórze tego Szweda.

Tymczasem byłem we własnej i czułem się cudownie. Podobała mi się ta cała paczka, najwięcej Tola i Ivo. Tola miała ogromną fantazję i wyobraźnię, a Ivo wspaniale umiał nurkować.

Teraz zaprowadził mnie do źródła. Było blisko domu, w wywierzysku skalnym. Ze skały betonową rynienką spływała woda. Wystarczyło tylko podstawić wiaderko. Najpierw jednak wsadziłem głowę pod cudownie zimny prysznic, a potem piłem długo, wprost z rynny.

Wracałem do namiotu w towarzystwie Toli i Iva. Morowa paczka! Od razu czuliśmy się tak, jakbyśmy byli z jednej klasy i znali się od dawna.

Schodziliśmy z tarasu na taras, a ja starałem się nieść wiaderko tak, żeby jak najmniej wychlapać wody; ale im bardziej się starałem, tym więcej wychlapywałem. Tak już jest, i szkoda gadać. Zwłaszcza gdy się rozmawia o ciekawych rzeczach.

Tola mówiła za siebie i za Iva i, gdyby mogła, toby nawet za mnie opowiadała. Dowiedziałem się po drodze, co lubi, a czego nie lubi, ile zarabia jej matka, jaką ma ulubioną płytę i w kim się ostatni raz kochała. Chcecie wiedzieć? W Juriju Gagarinie, jak babcię Kocham!

Ivo nic właściwie nie mówił, bo Tola nie dopuściła go do głosu. Mimo to dowiedziałem się, że chodzi do siódmej klasy, mieszka stale w Ćaćaku, a do Milocera przyjeżdża z matką na wakacje, bo matka pracuje w hotelu jako intendentka, czyli liczy prześcieradła, żeby goście nie podiwaniali.

Nie chciałem być dłużny, więc opowiedziałem im trochę o sobie, o wujaszku, mamucie, o grocie stalaktytowej i o kościotrupie, o legendach, które owiewają Jezioro Skadarskie. Mówiłem w telegraficznym skrócie, nie wspominałem tylko nic o naszym budżecie, pożał się Boże, i o tym, że grozi nam ruina. Honor nie pozwalał mi o tym wspominać.

Tymczasem wujaszek niecierpliwił się. Myślał, że już zginąłem. Przedstawiłem mu moich nowych przyjaciół, a on przywitał ich serdecznie i od razu chciał ich częstować, ale, niestety, nie było czym, więc poczęstował ich swoim najmiłszym uśmiechem i powiedział:

- Bardzo się cieszę, żeście się poznali, a ty, Marcinie, nie będziesz musiał dręczyć swojego wujka i masz nareszcie odpowiednie towarzystwo. Bawcie się dobrze!

To powiedziawszy zgarnął nędzne resztki naszego prowiantu, wsypał je do menażki, zapalił kocher i zabrał się do gotowania zupy filozofów. Byłem pewny, że wyjdzie z tego mieszanka wybuchowa.

Nie miałem jednak czasu na rozmyślanie, bo Ivo zaraz zapytał:

- Masz maskę do nurkowania i płetwy?

Miałem, więc odpowiedź nie nastęrczała kłopotu. Kłopot nastęrczało jedynie pytanie, gdzie maska może się znajdować w tym kosmicznym galimatiasie. Na szczęście znajdowała się na samym wierzchu plecaka. Wzięliśmy maskę i płetwy, ruszyliśmy nad morze. Po drodze Ivo wstąpił do domku campingowego. Wyniósł własną maskę, płetwy i dwie rzeczy, które mnie bardzo zaciekały: drewnianą skrzynkę ze szklanym dnem i krótką dzidę zakończoną stalowym grotem. Chciałem zapytać, do czego służą te przedmioty, lecz nie zapytałem, żeby nie pomyśleli, że jestem ciemna masa.

Stromą ścieżką zesliśmy na brzeg morza. Zatoka była wspaniała, jak na jednym filmie o poławiaczach pereł. Z trzech stron otaczały ją skały, wśród skał rosły zielone krzewy, a nad skałami karłowate pinie.

Przez długi czas nie mogłem wyjść z podziwu, a wreszcie zapytałem, chociaż nie chciałem

zapytać:

- Czy są w tym morzu rekiny? Ivo roześmiał się.

- Nie. Przyjeżdżam tu od kilku lat i jeszcze nigdy nie widziałem. Poczuję się rozczarowany.

Na szczęście Tola była innego zdania.

- Phi - prychnęła. - Przecież niedawno pod Hercegnovi rekin napadł na kąpiącego się niemieckiego turystę i odgryzł mu stopę. Wszyscy o tym mówią, a ty twierdzisz, że nie ma rekinów.

- Widziałeś? - zaperzył się Ivo.

- Nie, ale wszyscy o tym mówią. I podobno w prasie pisali.

- To niech dalej piszą. Z palca pewno wyssali. Czasem na pełnym morzu rybacy spotykają delfiny, ale o rekinach nie słyszałem.

- Boś pewno miał zatkane uszy. Ivo uśmiechnął się pojednawczo.

- Niech ci będzie.

Byłem skłonny uwierzyć Toli, bo przydałoby się kilka rekinów dla większych wrażeń. Powiedziałem więc dyplomatycznie:

- Z rekinami rozmaicie bywa. Nigdy nie wiadomo, kiedy i gdzie mogą się zjawić.

- Umiesz dobrze pływać? - zapytał Ivo.

- Umiem, tylko zapomniałem wziąć kartę pływacką.

- Tu nie trzeba karty pływackiej - wyjaśniła Tola. A Ivo dodał:

- Poskaczemy trochę, żeby się rozruszać.

Trafił w dziesiątkę, niech go drzwi ścisną! Myślałem, że skoczy z brzegu, a on wyszukał najwyższą skałę i zaczął się na nią wdrapywać. Gdy spojrzałem na tę skałę, to mi aż zęby ze strachu zdrętwiały. Wydała mi się Giewontem. I ja miałem z niej skakać! Ładna historia! Zatrząsałem slipkami, ale musiałem trzymać fason.

Ivo był już na skale. Smukły, opalony, wyglądał jak bożek. A ja, szkoda gadać, w ogóle nie wyglądałem, tylko gapiłem się na Iva. On stanął nad zerwą, rozłożył szeroko ręce, wybił się i poszybował jak ptak - a gdy wpadł w wodę, zdawało się, że to nie człowiek, tylko piękna ryba plusnęła z wielką gracją.

- Na co czekasz? Skacz! - usłyszałem głos Toli. Cóż miałem robić! Nie mogłem się przecież zbłąźnić.

Stanąłem więc i ja na skale. Pode mną rozciągało się niebieskie morze, nade mną błękit nieba, a ja - zawieszony w próżni. Miałem udawać rybę, a tymczasem byłem roztrzęsioną galaretą. Nogi pode mną drżały, a w gardle czułem ucisk. I zdawało mi się, że stoję na dziewięćdziesiątym pięttrze drapacza chmur.

Zostały mi na szczęście resztki honoru i odwagi. Zamknąłem oczy, skoczyłem. Myślałem, że lecę w czarną otchłań, lecz wnet przestałem myśleć, bo walnąłem brzuchem o wodę i zdawało mi się, że rozlecę się na kawałki.

Nie rozleciałem się, tylko strasznie piekł mnie brzuch i wstyd mi było, że nie potrafię udawać skaczącej ryby. Łyknąłem przy tym sporo słonej wody i w ogóle skompromitowałem się na całego.

- Nie martw się - pocieszył mnie Ivo - każdy początkowo ma trudności. Zobaczysz, że wnet się nauczysz.

Morowy chłopiec z tego Iva. Już raz uratował mnie od spalenia na stosie, a teraz nawet nie zakpił, tylko zwyczajnie powiedział: „Nie martw się”. Mimo to martwiłem się, lecz nic mi z tego nie przyszło, więc przestałem się martwić i zacząłem podziwiać Iva.

Genialny! Proszę sobie wyobrazić, przed chwilą był szlachetnym wojownikiem, a teraz zamienił się w poławiacza perel. Założył płetwy, w jedną rękę ujął skrzynkę ze szklanym dnem, w drugą krótki dziuryt i jakby nigdy nic dał nura. Z zapartym tchem śledziłem jego ruchy: płynął bez pośpiechu, za pomocą miękkich uderzeń płetwami. Naraz jego dziuryt przeszył błyskawicznie wodę. A gdy Ivo wypłynął i wysunął dziuryt, na ostrzu grotu ujrzałem piękną rybę.

- Brawo! - zawołałem. Tola klasnęła w dłonie.

- On jest mistrzem - wyjaśniła. - Przedwczoraj złowił trzykilogramowego zubataca.

- A cóż to takiego?

- Ryba, i jaka ryba! Najsmaczniejsza ze wszystkich. Ivo ma instynkt i nigdy nie chybi.

- Jak on to robi?

- Ba, zapytaj go!

Ivo miał roześmianą gębę. Błyskał białymi zębami i wydawał triumfalne okrzyki, jak Eskimos, który złowił na harpun fokę. Ogromnie cieszyłem się, że poznałem tego chłopca. Może nauczy mnie polować pod wodą na zubatace? Ba, najpierw musiałem nauczyć się porządnie nurkować.

Nauczyłem się, ale jeszcze nie wtedy, bo nagle poczułem, że mi się kiszki skręcają, a nurkować ze skrzywionymi kiszkami to nie taka łatwa sprawa. Powiedziałem więc, że warto by było coś przekąsić i wzmocnić organizm. Na to Ivo zdjął z dziurytu rybę.

- Masz, może wam się przyda.

Nie chciałem wziąć, ale Ivo namawiał mnie tak serdecznie, że trudno mi było odmówić. Wróciłem do wujaszka z piękną rybą. Wujaszek przywitał mnie radosnym okrzykiem:

- Cud! Mówię ci, Marcinku, po prostu poezja!

- Ta ryba? - zapytałem.

- Nie. Zupa filozofów. Nigdy czegoś podobnego nie jadłeś.

Zajrzałem do menażki. To, co zobaczyłem, przypominało zaprawę murarską zanieczyszczoną listkami z drzewa oliwnego. Byłem przekonany, że gdy zjem tę packę, zamuli mi kiszki.

- Dlaczego masz tak smutną minę? - zapytał wujaszek.

- Bo przekonałem się, że nie umiem porządnie nurkować.

- Nauczysz się! A teraz siadaj do uczy.

Gdybym się nawet położył, jak to czynili Rzymianie, też by mi to nie pomogło. Czuję, że mnie mdli. Tymczasem wujaszek rozdzielił zupę na dwie menażki, usiadł pod pękającym pnem oliwnego drzewa i z miną perskiego maya zabrał się do uczy. Patrzyłem z przerażeniem, jak pakuje w siebie tę breję i jak oblizuje się ze smakiem.

- Dlaczego nie jesz? - zapytał widząc, że zadumałem się.

- Gorąca - odparłem wykrętnie.

- Jedz, bo jak ostygnie, to nie będzie taka smaczna.

Powinien powiedzieć raczej, że zakrzepnie w beton i nie będzie można wyjąć jej z menażki. Dla przyzwoitości jednak zacząłem dmuchać, chuchać i udawać, że mam ogromną ochotę na tę zupę filozofów. Wujaszek tymczasem oblizywał łyżkę.

- No co, smakuje?

- Fantastyczna - bąknąłem zaciskając zęby. Wreszcie zdobyłem się na odwagę. Zgarnąłem zębami z końca łyżki kilka rozgotowanych ziarenek ryżu. O dziwo, nie była to ani zaprawa murarska, ani beton z ryżem, tylko wyśmienita, najsmakowitsza zupa, jaką kiedykolwiek jadłem.

- Szczyt sztuki kulinarnej! Na złoty medal! - zawołałem. - Z wujaszka to prawdziwy czarodziej.

Jak to wujaszek zrobił?

Wujaszek przymrużył kpiąco oko.

- Samo się zrobiło. Wsypałem wszystko do menażki, a bożek kucharzy i włóczęgów dokonał reszty.

Od tego czasu podejrzewałem, że wujaszek zawarł tajny układ z magicznymi siłami i zaprzedał bożkom swą duszę.

Wujaszek miał kontakty z różnymi bożkami, ba, był z nimi na ty i, jestem pewny, w Warszawie fundował im piwo. W najlepszej komitywie żył zapewne z bożkiem włóczęgów. Znali się jak dwa łyse konie, nic więc dziwnego, że bożek spod znaku PTTK opiekował się nim jak młodszym bratem i nie dawał mu zginąć. Natomiast z bożkiem od forsy i budżetu był zupełnie na bakier. Musiał mu kiedyś dobrze wygarnąć albo nastąpić na bezcenne odciski, bo ten mścił się na nim nawet tu, w Jugosławii.

Myślałem o tym i o innych sprawach po obiedzie. Żołądek mój trawił spokojnie zupeł filozofów, ja zaś leżałem w cieniu egzotycznego drzewa i patrzyłem na zatokę.

- Jeżeli się nie mylę - powiedziałem ot, tak sobie - to zupa była naszym ostatnim posiłkiem.

Wujaszek palił fajkę. Kapelusz nasunął na czoło, a spod kapelusza wypuszczał kłęby dymu. Był podobny do parostatku przemierzającego Ocean Spokojny. Wydało mi się, że nie słucha. Po chwili jednak doszedł mnie jego tubalny głos:

- Przecież mamy rybę, którą dostałeś od Iva.

- Rzeczywiście! A... co będzie, gdy zjemy rybę?

- Jutro idziemy na nosorożca. Mówiłeś, że uwielbiasz pasztet z tego zwierza?

- Serce, nie pasztet. I nie ja, tylko Murzyni znad Limpopo. Wujaszek głębiej nasunął kapelusz i wypuścił olbrzymi kłąb dymu.

- Wyobraź sobie, że jesteś w samym sercu Sahary. Powiedzmy, samolot rozbił się nad koszmarnym pustkowiem, a my cudem wyszliśmy cało. Jesteśmy bez jedzenia i bez wody...

Wyobraziłem sobie i w jednej chwili zrobiło mi się strasznie gorąco.

- W takim razie walimy do najbliższej oazy - powiedziałem.

- Ba, ale najbliższa oaza jest oddalona o siedemset siedemdziesiąt siedem mil.

- Dlaczego właśnie o siedemset siedemdziesiąt siedem?

- Bo lubię siódemki, i nie przerywaj. Jesteśmy więc bez prowiantu i bez wody, a wokół nic, tylko piach i posępne skały.

- I ryczą lwy...

- Jesteśmy na takim pustkowiu, że nawet nie ma lwów. Nie ma nic, rozumiesz... Co byś wtedy zrobił?

- Prawdopodobnie zjadłbym wujaszka.

- O, proszę, wyszło szydło z worka! Nawet byś się ze mną nie podzielił.

- O, proszę - zawołałem śmiejąc się - wujaszek musi mieć zawsze ostatnie słowo.

- Gdybyś mnie zjadł, to, niestety, musiałbyś czymś popić. Więc co byś zrobił?

- Doszedłbym do najbliższego źródła.

- Człowieku, przecież wiesz, że źródło jest w oazie, a oaza o setki mil.

- Czekałbym, aż odnajdzie mnie karawana Beduinów.

- Czekałbyś latka! Beduini wędrują innymi szlakami.

- W takim razie musiałbym zginąć.

- Tak. I to że śmiertelnym grzechem na sumieniu, bo zjadłeś własnego wujaszka. Jaki z tego wniosek?

- Że nie należy zjadać wujaszków na pustyni!

- I jeszcze jaki?

- Nie mam pojęcia.

- Taki - zaśmiał się wujaszek - że skoro nie jesteśmy na Saharze, to niema czym się martwić. Jesteśmy najbogatszymi ludźmi na świecie. Mamy dach nad głową, gaj oliwny, morze, zatokę, słońce i czyste sumienie, bo nie zjedliśmy siebie nawzajem. Rozumiesz? I proszę cię, nie zawracaj mi głowy! A w sekrecie ci powiem, że gdy się ochłodzi, jedziemy do Budvy uzupełniać zapasy.

- Za co?

- Jak to, za co? Jeszcze trochę zostało pieniędzy za zegarek. Zaproś tylko tych miłych kolegów. Jedziemy wszyscy na lody.

Na widok naszego dzielnego mamuta Tola wydała okrzyk rozpacz.

- Przepraszam cię, Marcin, ale czy „toto” dojedzie do Budvy?

- Nie martw się, „toto” jest ostatnim krzykiem mody. Przejechaliśmy nim ponad dwa tysiące po górach, a więc spokojna głowa!

Jak już wspomniałem, Tola miała bujną wyobraźnię, więc zaraz zaczęła fantazjować po swojemu. Wyobraziła sobie, że jesteśmy pierwszymi konstruktorami pierwszego samochodu i wyruszamy w pierwszą próbną jazdą.

- Czy to nie wspaniałe! - zawołała. - Ty wynalazłeś silnik spalinowy, Ivo skrzynkę biegów, a ja dyferencjał. Dostaniemy od rządu krzyże zasługi i będzie z nami wywiad w „Przekroju”. Żeby tylko nasza konstrukcja nie rozleciała się po drodze!

- Nie ma obawy, solidna maszyna - powiedział Ivo.

- Zobaczymy.

- Ty chyba będziesz kiedyś inżynierem.

- Nie - odparła - marzę o tym, żeby zostać dziennikarką i pisać w gazecie. Na przykład reportaże z polowań na słonie albo z życia sławnych aktorów, zwłaszcza Gregory Pecka, bo go po prostu ubóstwiam i gdyby nie był żonaty, po maturze wyszłabym za niego za męża.

Ivo uśmiechnął się.

- On w ogóle nie chciałby z tobą mówić!

- Phi, to wyjdę za kogo innego! Może za fizyka atomowego albo za człowieka, który pierwszy wyląduje na Księżycu.

Trzeba przyznać, miała fantazję. Jak reportaż - to od razu o słoniach albo o Gregory Pecku, wspaniałym cowboju z filmu „Dwa oblicza zemsty”; jak mąż - to zdobywca Księżyca. A ja nie śmiałybym nawet marzyć o palmach...

A palmy już czekały na mnie, właśnie w Budvie. Ujrzałem je z daleka, nad brzegiem morza. Nie chciałem wierzyć własnym oczom, ale musiałem wreszcie uwierzyć, bo były prawdziwe, wysokie, szeleszczące i takie w sam raz do reportażu.

Zacząłem w myśli układać taki reportaż. Muszę spróbować, czy to takie trudne. Mógłbym napisać tak:

Palmy, jako takie, rosną przeważnie nad egzotycznymi morzami i nad oceanami, żeby mieli o czym pisać różni autorzy książek podróżniczych oraz poeci, którzy w szeleście palm znajdują czasem ukojenie, a czasem przypomina on im szept ukochanej. Oni siedzą zwykle na koralowym atolu, ich

ukochane tęsknią i wzdychają, a palmy tylko szeleszczą. Z tego szelestu powstają czasem wiersze i to są palmy romantyczne.

Istnieją również palmy kokosowe. Służą głównie do tego, żeby orzechy kokosowe miały z czego spadać. Gdy orzech dojrzeje i spadnie, fale oceanu niosą go na drugi kontynent i wyrasta nowa palma. W ten sposób palmy te rozmnażają się ku uciesze krajowców, którzy z mleka kokosowego robią wino i upijają się.

Od palm kokosowych pochodzi również powiedzenie „robić kokosy”, co znaczy - robić dobre interesy. Kokosy robią zwykle kolonizatorzy.

My z wujaszkiem nie robimy kokosów. Wprost przeciwnie - kokosy zrobił ten, kto znalazł pod stuletnim bukiem nasze pieniądze.

Wybaczcie tych kilka uwag ogólnych. Same pchały się pod pióro. Do rzeczy. A więc, widziałem na własne oczy prawdziwe palmy. Podobno posadził je pewien chłopiec, któremu matka kupiła na Boże Narodzenie pudełko daktyli. Zjadł daktyle, a pestki wsadził do ziemi i z tego wyrosły prawdziwe palmy daktylowe. Byłem rozczarowany, ale wuj Leon wytłumaczył mi, że w tych rejonach Morza Adriatyckiego palmy nigdy nie rosły, dopiero ludzie je posadzili, a dzięki łagodnemu klimatowi dobrze się rozwijają i sięgają nieraz wysokości drugiego piętra.

W Budvie, gdzie robimy zapasy żywnościowe i jemy lody, rosną dwupiętrowe palmy. Pod każdą palmą jest ławka, a na każdej ławce siedzą zakochani i rozmawiają o najnowszych filmach, a czasem ściskają się za ręce. Dlatego palmy są romantyczne i na korze mają wrytych wiele serc przebitych strzałą i monogramów oraz napisów w rozmaitych językach.

Jednym słowem, samouczek obcych języków dla zakochanych. Na przykład można się nauczyć, jak jest po angielsku „ja cię kocham” albo po francusku „nie mogę bez ciebie żyć”.

Znalazłem również jeden polski napis: „Józek, prześcieradła można opylić w hotelu Slovenia”. Widać z tego, że polscy turyści wykorzystują palmy dla celów korespondencji handlowej.

Tyle o palmach. A teraz coś o samej Budvie.

Budva dzieli się na morze, plażę i miasteczko; a miasteczko - na stare i nowe. W starym mieście są oczywiście stare domy, stare ulice, stare bramy i stare mury obronne, a wszystko - zabytkowe. Najbardziej zabytkowe jest oczywiście powietrze, bo wujaszek powiedział, że w tych murach oddycha się historią.

Historia też jest zabytkowa, zaczęła się od czasów greckich, ba, fenickich, kiedy kupcy przyplływali do Budvy zabytkowymi statkami i wywozili stąd żywicę i balsamiczne olejki.

Najciekawsze w starym mieście są uliczki, tak wąskie, że wujaszek ledwo się przez nie przepychał. Zapytacie - dlaczego? Otóż dlatego, żeby kobiety mogły nad nimi zawieszać bieliznę i nie schodząc na dół pogawędzić sobie z sąsiadkami.

W nowym mieście natomiast są hotele, restauracje, cukiernie i można stracić moc forsy na lody, bo lody są pierwszorzędne, zwłaszcza te orzechowe. W kiosku duża porcja kosztuje dwadzieścia dinarów, w kawiarni sześćdziesiąt, bo w kawiarni płaci się przede wszystkim za widok na morze, a nie za lody.

W kawiarni, jak sama nazwa wskazuje, pije się kawę. I plotkuje.

W Budvie wszyscy piją kawę po turecku, to znaczy gęstą, z fusami i podawaną w miedzianych tygielkach, które nazywają się „dżezva”. Wydaje mi się, że Czarnogórcy i Serbowie nic nie robią, tylko przez cały dzień piją kawę.

W kawiarniach zawsze pełno, zwłaszcza wieczorem, a ludzie dzielą się na Jugosłowian i

cudzoziemców; cudzoziemcy zaś na takich, co piją kawę po turecku, i takich co żłopiają rakiję z wodą sodową.

Jeżeli w kawiarni zamkniesz oczy, to zdaje ci się, że jesteś w wieży Babel, bo ludzie rozmawiają tu rozmaitymi językami. Najgłośniej mówią Włosi, najciszej Anglicy.

Przerwałem swój „reportaż w myśli”. Muszę powiedzieć Toli, że pisanie reportażu nie jest wcale takie trudne.

Kiedy wróciłem na taras kawiarni, Tola jeszcze opowiadała, co by zrobiła, gdyby wyszła za kosmonautę, który pierwszy wylądował na Księżycu. Okazało się, że nic by nie robiła, tylko jeździła z nim po całym świecie, dawała autografy i odpowiadała na pytania dziennikarzy: co jej mąż pije na śniadanie? jakie ma hobby? jak się czuła, kiedy mąż stawiał pierwsze kroki na Księżycu? czy lubi muzykę jazzową? jaki jest jej ulubiony autor? i czy bardziej kocha męża na Ziemi czy na Księżycu?

Oczywiście na Ziemi, bo może z nim porozmawiać, jakie są najmodniejsze kapelusze, a on może jej kupić futro z szynszyli i w ogóle obsypywać ją kwiatami.

Oto fantastka! W południe była wodzem Czarnych Stóp, a wieczorem ma już męża kosmonautę. Morowa dziewczyna, tylko za dużo buja.

- Gdzie ty się włóczysz? - zapytała, gdy powróciła wreszcie z Księżyca na Ziemię. - Nie masz pojęcia, kto tu był!

- Kto? - zapytałem.

- Wyobraź sobie, Lollobrygida! Ivo wzruszył ramionami.

- To ci się tylko zdawało. Skąd by się wzięła w Budvie Lollobrygida!

Podobno kręca jakiś film włosko-jugosłowiański, więc mogła przyjechać. Nie umiałem sobie wyobrazić Lollobrygidy, bo nie miałem zielonego pojęcia, kto to. Powiedziałem więc dyplomatycznie:

- To rzeczywiście ciekawe...

- Siedziała przy tamtym stoliku z jakimś facetem. Pewno reżyser albo producent. I tak się zachowywała, jakby nie była Lollobrygida, tylko zwykłą kobietą...

- A jak miała się zachowywać? - wtrącił Ivo.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo właśnie przy naszym stoliku zjawił się największy wybryk natury - Wacuś. Już dawno o nim zapomniałem. Zapomniałem nawet, że miałem mu dać w ucho. Ale on tak mnie serdecznie przywitał, jakbyśmy się niedawno rozstali pod palmami i do tego w najlepszej komitywie.

- Ciao, słyszałeś, co się stało?

- Nie - odparłem, ale od niego nie miałem ochoty usłyszeć.

Bomba, bracie! W Hercegnovi rekin zaatakował jedną Angielkę. Nareszcie jakaś uczciwa wiadomość! Żal mi było Angielki, ale przecież nie mogłem odpowiadać za czyny rekina.

- Przyjechał stamtąd jeden Francuz - kończył Wacuś - i opowiadał przy obiedzie. Nikt nie chciał jeść. Angielka wypłynęła z mężem na żaglówce w morze i zachciało jej się kąpiele. Odpłynęła od łódki, a tu rekin...

- A widzisz! - zawołała Tola i z pogardą spojrzała na Iva.

- Nie wierzę - Ivo wzruszył ramionami.

- Fakt! - podjął Wacuś. Mówił z wielkim przejęciem, jakby to on był tym rekinem albo przynajmniej Angielką. - Mówię wam, wielki raban, ludzie boją się kąpać!

- A co z Angielką?

- Podobno zdążyła uciec, bo mąż z daleka zobaczył rekina i podał jej rękę, ale i tak uciął jej stopę.

- Mąż?

- Nie, człowieku, rekin!

- Zupełnie jak w jednym filmie - powiedział z niedowierzaniem Ivo. - Było o tym w gazecie?

- Jak mogło być, skoro to zdarzyło się dzisiaj przed południem.

- To powinni podać w wiadomościach radiowych.

- Właśnie, ale oni specjalnie nie podadzą, bo się boją, żeby goście zagraniczni nie zwiali. -

Opadł na krzesło, powiódł po nas oczami chcąc sprawdzić, jakie na nas zrobiło wrażenie.

Muszę przyznać, na mnie ogromne. Przestałem już wierzyć w rekiny, a tu Wacusz jakby z nieba spadł! Chciałem go za to uściskać, lecz zanim się zdecydowałem, Wacusz uśmiechnął się szyderczo i zapytał:

- Jak tam wasz trupek? Chodziło oczywiście o mamuta.

- Trzyma się - odparłem wyniośle. - A wasz karawan, którego musieliśmy holować? - dorzuciłem z pogardą.

- Szkoda gadać, w Titogradzie siedzieliśmy dwa dni, zanim postawili go na koła. Kupę forsę kosztowało, ale stary powiedział, że po tym sezonie kupi nowego volkswagena „guia”, a opla sprzeda w Warszawie. Ja wolałbym mercedesa na ropę, to przynajmniej wóz!

- Może lancję? - wtrąciła zaczepnie Tola.

- Wolałbym mercedesa 200-S. Kapitalna maszyna! Stary twierdzi, że brakuje mu dwóch tysięcy dolarów. Niech się trochę pogimnastykuje. Gdzie mieszkasz? - zapytał ni stąd, ni zowąd.

Odpowiedź wymagała chwilowego namysłu. Jeżeli mu powiem „pod gwiazdami”, pomyśli, że mam źle w głowie. Sam dobrze nie wiedziałem, gdzie właściwie mieszkam. Na szczęście Tola lepiej wiedziała ode mnie. Wydeła lekko wargi, przymrużyła kocie oczy i palnęła:

- Nie wiesz? Na Sw. Stefanie!

Od razu poznała się na nim i tak mu tym Sw. Stefanem dojadła, że mu gębuchna zrzędała.

- Za dziewięć kafli dziennie... - wyszeptał.

- A jak myślałeś! Pokój, łazienka, widok na morze, elektryczne chłodzenie, telewizor. Luksusy, człowieku!

Wacusz zamrugnął bazyliśkowatymi oczkami.

- A ty co? - zwrócił się do Toli. - Jesteś jego siostrą?

- Daleką kuzynką. A to Ivo, syn wiceministra z Belgradu. Mamy pokoje obok siebie. Jeździmy codziennie na wodnych nartach i w ogóle... - prychnęła mu prosto w twarz.

Niech mnie drzwi ścisną, morowa dziewczyna z tej Toli! Nigdy bym nie wymyślił, że ojciec Iva jest wiceministrem, albo, że w pokojach jest elektryczne chłodzenie. Tak to mimochodem powiedziała, że Wacusz zupełnie zbaraniał i kupił wszystko w ciemno. Zaraz stał się mniej krzykliwy, mniej arogancki; zwrócił się bardzo układnie:

- To nawet dobrze się składa, jutro do was przyjadę...

- Niestety - przerwała mu Tola - jutro wypływamy jachtem do Baru i Ko-toru.

- Może znajdzie się miejsce i dla mnie?

- Chętnie... ale musisz poprosić wujka Leona.

- Tego z rudą brodą?

- Tak.

Myślałem, że wybuchnę śmiechem, lecz na szczęście nie wybuchnąłem, bo oto na horyzoncie pojawił się sam wujaszek Leon. Na tle zabytkowych murów wyglądał naprawdę imponująco. Miał na sobie koszulę marynarską w niebieskie pasy, płócienne szorty sięgające kolan i nieodłączny kapelusz. Jednym słowem, holenderski plantator z Jawy albo z Cejlonu. I do tego mina wielkiego prestidigitatora. Szedł długimi krokami, a idąc nucił arię z „Carmen”.

- Załatwione! - zawołał z daleka.

- Przepraszam, co załatwione? - zapytałem.

- Byłem na posterunku milicji.

- Znalazły się pieniądze?

- Nie, ale nareszcie odbębniłem tę sprawę.

Niepoprawny kpiarz! Jednym zdaniem potrafi człowieka doprowadzić do gorączki, a drugim ocucić. Proszę, nic sobie nie robi z braku pieniędzy, a jest zachwycony, że „odbębnił” sprawę!

I w dodatku zapytał:

- Może byście zjedli, moi drodzy, jeszcze po jednej porcji lodów?

Tak zachowywać może się tylko posiadacz wspaniałego jachtu, o którym nieopatrznie wspomniała Tola. Masz babo placek, co teraz będzie, jeśli Wacuś...

A Wacuś, jak gdyby przeczuł moje obawy, robi minę niewiniątka i z uśmiechem pyta wujaszka:

- Podobno wybiera się pan jutro jachtem...

- Ja? Jachtem? - zdziwił się wujaszek. Byłaby kosmiczna wsypa, gdyby nie Tola.

- Chcieliśmy zaprosić tego chłopca na przejażdżkę jachtem do fiordu kotorskiego - powiedziała bez zająknięcia i mrugnęła porozumiewawczo, a nawet szelmowsko.

- I gdyby pan był tak miły... - wydukał Wacuś.

- A, oczywiście... oczywiście - podjął wujaszek, chociaż zupełnie nie wiedział, o co chodzi.

- W takim razie będę mógł przyjść...

- Proszę cię bardzo - wujaszek zrobił minę świętego Mikołaja. - Możesz nawet zaprosić rodziców.

- I siostrę też?

- Tę pannę z fiu-fiu na głowie? Oczywiście, mój drogi.

- Bardzo panu dziękuję. Wałę do hotelu powiedzieć rodzicom. Na pewno się ucieszą.

- Chwileczkę - zatrzymał go. - Czy ty wiesz, kawalerze, jak ja się nazywam?

- Nie, ale pana na pewno wszędzie znają. Pan jeden ma taki wóz.

- Nie szkodzi, jeśli będziesz wiedział. Nazywam się Piramidopolopirynowicz. Zapamiętaj sobie: Pi-ra-mi-do-polo-pi-ry-no-wicz. Pozdrowienia dla rodziców!

Na dźwięk, tego nazwiska Wacuś szurnął nogami i ulotnił się, jakby się rozpląnął. My odczekaliśmy chwilę, a potem zaczęliśmy się śmiać na cztery głosy.

- Co wam do głowy strzeliło? - zapytał wujaszek.

- Proszę pana - odparła Tola. - Ja go nie znam, ale on mi wygląda na straszego bubka. Chwali się i chwali bez przerwy. Chciałam mu trochę utrzcę nosa.

- Naszego mercedesa nazywa trupozem - dorzuciłem. - I w ogóle przewróciło mu się w głowie. Tylko czyśmy nie przeholowali? Po co było zapraszać rodziców...

Wujaszek zmarszczył brwi.

- A kto zapraszał?

- Jak to: kto? Sam wujaszek. Rodziców i Karinę!

- Prawda!

Wiadomo, wujaszek był super gościnny, miał gest, więc nawet w żartach zagalopował się trochę.

- Co będzie - zapytałem - jeśli oni jutro do nas przyjadą?

- Nie do nas, tylko na Św. Stefana - sprostowała Tola.

- Nie, moi drodzy - zaśmiał się wujaszek - mam nadzieję, że ojciec tego chłopca nie jest aż tak naiwny, by uwierzyć w istnienie jakiegoś Piramidopolopirynowicza.

Na konto pana Piramidopolopirynowicza zjedliśmy jeszcze po jednej porcji orzechowych lodów, wysłuchaliśmy przy akompaniamencie szelestu palm jeszcze jednej arii pim-pa-ram-pa-pim-pa-ram, zachwycaliśmy się zachodem słońca i grą pastelowych barw na morzu. Mieliśmy właśnie wyruszyć do Miloćeru, jednak tak się złożyło, że nie wyruszyliśmy, bo nagle do naszego stolika zbliżył się elegancki starszy pan. A potem było zupełnie jak w kinie, nawet ciekawiej, bo prawdziwie.

Starszy pan był przystojny, bardzo elegancki i mówił po włosku. Miał szczęście, że trafił na naszego wujaszka, bo wujaszek odpalił mu taką czystą mową italską, jakby urodził się w słynnej Pizie i całe życie nic nie robił, tylko jadł spaghetti i grał na gitarze. Miał wyjątkowe zdolności językowe. Gdyby nawet znalazł się na Ziemi Ognistej, na pewno dogadałby się z krajowcami. Teraz rozmawiali tak swobodnie, jak na filmie de Sica z Sophią Loren. Cała w tym bieda, że nie rozumiałem ani słowa.

Postaram się jednak odtworzyć tę sprawę. Oto zbliża się elegancki pan i widać, że ma w zanadrzu jakąś niespodziankę. Jest jednak bardzo wytworny, więc zaczyna najpierw o pogodzie. Że w ogóle jest oczarowany Czarnogóorską Ruderą i zachwycony brakiem deszczu, chociaż co prawda przydałoby się nieco opadów dla plantacji pomidorów i winorośli. Najbardziej jednak oczarowany jest wujaszkiem, a zwłaszcza jego zabytkową brodą i posągową postacią.

Wujaszek przez chwilę udaje zdziwienie, a potem z kolei zachwyca się uprzejmością Włocha i twierdzi, że nie zna bardziej szarmanckiego narodu. Dorzuca jeszcze kilka słów o wyżu barycznym, z centrum nad Wyspami Azorskimi, dzięki któremu właśnie można podziwiać bezchmurne niebo i bajecznie piękne zachody słońca.

Po wymienieniu meteorologicznych grzeczności wytworny pan uniósł ręce i zawołał:

- Pan spada mi prosto z nieba!

I zaraz wybuchła bomba, największa sensacja na Czarnogóorskiej Ruderze.

- Pan pozwoli, że się przedstawię, jestem Antonio Beviaqua, reżyseruję właśnie film.

- To świetnie! - zawołał wujaszek. - Bardzo się cieszę, że macie tak znakomitą pogodę.

- Obserwowałem pana od dłuższego czasu... - powiedział uroczy reżyser. - Szukam właśnie kogoś takiego, jak pan. Potrzebny mi jest do niewielkiego epizodu, a nikt na świecie nie nadaje się do niego lepiej. Nie trzeba pana nawet charakteryzować.

- Bęc! - zawołał wujaszek. - Dziękuję panu uprzejmie, ale ja nie jestem aktorem, tylko matematykiem.

- Nie może nam pan odmówić. Powtarzam, krótki epizod, zdjęcia potrważą najwyżej dwa-trzy dni. Jest to film o najeździe plemion normandzkich na Sycylię, a pan wygląda jak najprawdziwszy Wiking.

Wujaszek zrobił minę starego Wikinga napadającego na Sycylię.

- Panie - zawołał - ja nigdy nie byłem Wikingiem! Reżyser rozłożył ręce gestem pełnym uznania.

- Przeciwnie, ma pan takie spojrzenie, jak gdyby się pan urodził w dzikim fiordzie Norwegii i przez całe życie nie chował miecza do pochwy.

- A poza tym nigdy jeszcze nie stałem przed kamerą filmową...

- Głupstwo, nie musimy nawet robić próbnych zdjęć! Możemy kręcić od zaraz.

Czekałem, kiedy wyjmie z zanadru kieszonkową kamerę filmową i sfilmuje naszego Wikinga na tle zachodzącego słońca, lecz omyliłem się, bo najpierw należało podpisać kontrakt. Reżyser wspomniał coś o tym, wymienił nawet jakąś sumę. Niestety, nie rozumiałem, ile to miało wynieść, i czy w dinarach, dolarach czy w lirach.

W każdym razie dobra jest, bo jeśli się nie mylę, wujaszek ostatnią forszę wydał na lody. A z zapasów została nam już tylko ryba podarowana przez Iva.

Wyszło na to, że to reżyser spadł nam z nieba, a nie wujaszek reżyserowi. Prawdopodobnie byliśmy uratowani.

Zaraz świat wydał się weselszy i ho, ho, można było myśleć o dalszej włóczędze. I w ogóle wszystkim oko zbieleje, że mamy wśród siebie prawdziwego gwiazdora filmowego. Niech się schowają Lollobrigida, Elisabeth Taylor, Sophia Loren - razem wzięte błędną przy naszym wujaszku, a zwłaszcza przy jego normandzkim spojrzeniu i głosie wilka morskiego, który wychował się wśród dzikich skał norweskich fiordów i bez zmrużenia powieki napadał na zniewieściałych Latynów sycylijskich.

Jednym słowem, sukces na srebrnym ekranie. Przyznam się, żal mnie nawet ogarnął, bo co będzie, jeśli go zaangażują do Hollywood? Kto będzie karmił w Warszawie kanarki i wymyślał nowe elektroniczne maszyny liczące?

Tymczasem wujaszek był już za pan brat z reżyserem i tak ze sobą przyjaźnie gawędzili, jakby pochodzili z jednego miasta włoskiego. Nic, tylko zamieniali ze sobą serdeczne uśmiechy i uściski dłoni. Czekałem, kiedy wspólnie zatańczą tarantelę lub kujawiaka albo wypiją znowu za zdrowie partyzantów.

I w ten sposób wujaszek został zaangażowany do filmu „W cieniu dymiącej Etny”.

- Alem się wpakował! - powiedział stary Wiking, gdy w Milocer usiedliśmy do kolacji. Była smaczna ryba i winogrona, które kupiliśmy po drodze od czarnogórskiego chłopca. Fantastyczna kolacja i fantastyczny wieczór! Zdawało mi się, że jestem naprawdę siostrzeńcem Wikinga, czyli małym Wikingiem, i razem z nim uczujemy po zwycięskiej bitwie.

- Alem się wpakował! - powtórzył wujaszek oblizując ze smakiem palec. - Stary osioł ze mnie! Pomyśl, co powiedzą moi koledzy z Instytutu, gdy mnie zobaczą na filmie w roli krwawego Wikinga.

- Będą zachwyceni.

- Nie znasz ich, mój drogi. To szydercy, pomyślą, że chcę być popularny. I w ogóle, po co mi to?

- Przecież wszystkie moje koleżanki marzą o tym, żeby grać w filmie, a wujaszek się martwi.

- Po pierwsze - nie jestem twoją koleżanką, po drugie - nie lubię się wygłupiać. A zresztą... niech mówią, co chcą! Stać mnie na to, żeby być oryginalnym. To nawet zabawne być sobą, a udawać kogoś innego.

- Jestem pewny, że wujaszek zagra jak Burt Lancaster w filmie pod tytułem „Karmazynowy Pirat”. A może i lepiej! Tylko czy wujaszek zna język Norma-nów?

- Nie, ale w filmie Normanowie będą mówili po włosku.

- Oczywiście, w filmie zawsze tak jest. Rzymianie mówią po angielsku, Egipcjanie po francusku, byłem nawet na takim, na którym amerykański muł Francis w Birmie mówił po polsku; i wszystko grało, i było całkiem wdechowo. A czy wujaszek podpisał już kontrakt?

- Nie, mój drogi, to przecież epizodyczna rola, więc umówiłem się z tym łowcą naiwnych, że

otrzymam... - urwał i nagle zatrzęsł się od śmiechu. - To kapitalne, nigdy nie spodziewałem się, że będę zarabiał w ten sposób.

- Ciekaw jestem, ile? - zapytałem mimo woli, udając, że mnie to nie obchodzi.

- Ho, ho! Nie myśl, że tanio sprzedam swoją skórę.

- Sto dolarów?

- Zwariowałeś? - oburzył się. - Myślisz, że za sto dolarów będę odgrywał barbarzyńcę?

- Więcej?

- Dwieście! - zaśmiał się. - I to jeszcze wydaje mi się za mało. Po prostu skandal - człowiek z moim dyplomem za dwieście dolarów!

- Przecież to kupa forsy! - zawołałem. - Jesteśmy uratowani. Możemy spokojnie wędrować po Jugosławii.

- Hm! - skrzywił się wujaszek. - Musiałem się zgodzić, bo ten reżyser był tak nadskakująco uprzejmy, że nie wypadało odmówić. - Splunął z obrzydzeniem. - Niech będzie dwieście, ale błagam cię, nie mów o tym nikomu z rodziny.

- W ogóle nikomu... Niech się wujaszek nie boi, to będzie nasza tajemnica. - W tym momencie przypomniał mi się Wacusz. Nie wiem, skąd się przyplątał, dość że stanął mi przed oczyma wraz z Kariną, łysawym tatusiem i tęgawą mamusią. Cała rodzinka w komplecie. Zapytałem więc: - A co będzie z tymifiu-fiu?

- O kogo ci chodzi?

- O tych, których pan Piramidopolopirynowicz zaprosił na wycieczkę jachtem.

Wujaszek złapał się za głowę.

- Ajaj! Aleśmy nagmatwali, aleśmy narozrabiali! Jeszcze tego brakuje, żeby mi się ci fiu-fiu zwalili na głowę. - Naraz machnął ręką. - Czort z nimi! Nie martwmy się o to, co będzie jutro. Jest tak piękny wieczór, że nawet nie wypada się martwić.

A wieczór był naprawdę piękny. Spoza wysokich gór wyłaniał się księżyc, wielki jak balon, seledynowy i tajemniczy. I góry tonęły w jego seledynie, jak księżycowe. A morze falowało też seledynowo. Było ciepło, pachniało morzem i lawendą, a w gałęziach oliwek grały świerszcze. I zdawało się, że całe zbocze śpiewa i płynie wraz z morzem.

Ranek był też piękny, a byłby jeszcze piękniejszy, gdyby nie przyjechali Pelpińscy. Licho ich tu przyniosło! Mieli przecież szukać nas w hotelu na Sw. Stefanie, tymczasem zjawili się w gaju oliwnym jak złe duchy. Na widok Wacusia chciałem się zapaść pod ziemię. Ale zanim zdążyłem wybrać odpowiednie miejsce, ten wybryk natury zawołał:

- Aleście nas nabrali! A Karina dodała:

- Mówiłam, że to niesmaczne żarty.

Pan Pelpiński tymczasem z zakłopotaniem gładził łysinę i szukał odpowiednich słów. Niestety, nie znalazł, więc wujaszek go uprzedził:

- Co za pech! - powiedział z humorem. - Przez jedną noc zupełnieśmy zbankrutowali. Strasznie nam przykro, że zrobiliśmy państwu zawód.

Tata Pelpiński znalazł wreszcie odpowiednie słowa, więc zawołał:

- Panie, pan struga ze mnie wariata! Ośmiesziliśmy się zupełnie. Pytaliśmy o pana na Sw. Stefanie, tymczasem nikt nie znał żadnego Pomidorowicza.

- Przepraszam - wtrącił wujaszek z szelmowskim uśmiechem - nazywam się Piramidopolopirynowicz. Czy to moja wina, że mam takie dziwaczne nazwisko?

- To zakrawa na kpiny! I nie pozwolę, żeby pan robił ze mnie balona - sierzcił się pan Pelpiński.

- Jestem poważnym człowiekiem i nie pozwolę...

- Nie wygłupiaj się, tata! - zawołał Wacusz. - Nie znasz się na kawałach? Okazało się, że jedynie Wacusz miał poczucie humoru.

- Ładny kawał! - oburzył się ojciec. - Spaliliśmy niepotrzebnie pięć litrów benzyny, wygłupiliśmy się, a ty mówisz o poczuciu humoru.

- W ogóle przesadzasz, Tadeuszu - wtrąciła pani Pelpińska.

Zdawało się, że za chwilę pokłóca się, ale na szczęście wujaszek zlitował się nad nimi i powiedział:

- Wybaczcie, państwo - rzekł pojednawczo - to rzeczywiście moja wina. Wczoraj tak jakoś wyszło, że przesadziliśmy nieco. Istotnie, nie mieszkamy na Św. Stefanie, nie mamy jachtu, ba, przyznam się, że z tymi żmijami też przeholowałem. I nie nazywam się ani Pomidorowicz, ani Piramidopolopirynowicz. Chcieliśmy trochę tylko przytrzeć uszu temu sympatycznemu kawalerowi. - W tym miejscu ojcowskim gestem wskazał na Wacusia. - Bo nie grzeszy skromnością... I bardzo mi przykro, że wynikła z tego ta nieprzyjemna historia. - Rozłożył szeroko ręce, uśmiechnął się najmiłszym ze swych uśmiechów i powtórzył: - Proszę mi wybaczyć, tak miło spotkaliśmy się, więc nie wypada...

Od razu zrozumieli, co nie wypada, więc zamilkli. Któż by zresztą nie wybaczył mojemu kochanemu wujaszekowi! I tak wszystko rozeszło się po kościach.

Trzeba przyznać, że wujaszek Leon w epizodzie filmu „W cieniu dymiącej Etny” przeszedł sam siebie!

Po skromnym śniadaniu pojechaliśmy do miejscowości Krstac, gdzie włosko-jugosłowiańska ekipa filmowa tworzyła to niezapomniane dzieło kinematografii.

Tego nie da się opisać, a jednak muszę spróbować, bo naprawdę było zupełnie jak w kinie. Przede wszystkim - dekoracje. Na wysokich skałach, nad urwistym brzegiem morza wybudowano ruiny rzymskiej świątyni, a pod ruinami całe miasteczko, był nawet kościół, ale tylko przednia jego ściana, bo od tyłu kościoła nie fotografowali, a zresztą i tak miał spłonąć, podpalony przez barbarzyńców, więc nie warto było budować całego.

Po ulicach włóczyli się sami „Sycylijczycy”. Mimo że pochodzili z któregoś tam wieku i kręcili się wśród zabytkowych murów, palili jednak papierosy, zażerali się lodami i nastawiali tranzystory na rozmaite twisty, bosanowy i swingi. A tymczasem niżej, w zatoce, na zabytkowych łodziach dzicy wojownicy przygotowywali się do ataku na miasto.

Aż strach było na nich patrzeć. Wszyscy rudzi, brodaci, z włosami opadającymi na ramiona i z wzrokiem plugawym, a przy tym ogromnie krwiożerczy i niepohamowani. Mieli na sobie skórzane kołpaki z plastyku, stalowe naramienniki - też z jakiejś masy plastycznej - i błyskali drewnianymi mieczami pomalowanymi srebrną farbą. Aż włos jeżył się na głowie!

Reżyser miał rację. Wujaszka nie trzeba było charakteryzować, on już z mlekiem matki wysał krwiożerczość i wygląd Wikinga. Brodę miał własną. Dali mu tylko perukę rudą jak płonąca żagiew. Wyglądał naprawdę dziko i imponująco. Za chwilę miał mordować niewinnych Sycylijczyków, łupić, palić - i pomyśleć, że po to tylko, byśmy mogli włóczyć się po jadrańskim wybrzeżu. Odziali go w skórę dzikiego zwierza, na głowę wsadzili szyszak, w dłoń wetknęli krótki miecz i wreszcie mogło się zacząć kręcenie filmu...

Pomocnik reżysera przez tubę dał rozkaz, by wojownicy wsiadali do łodzi. Zrobił się ogromny

bałagan, nikt nie wiedział, do której ma wsiąść; a potem zaczęli filmować. Na znak pomocnika reżysera wiosłarze uderzyli wiosłami o wodę i cała chmara łodzi zbliżyła się do brzegu.

Zakotłowało się, podniósł się wielki krzyk, a operator nic nie robił, tylko kręcił.

Najwspanialej wypadł jednak wujaszek Leon. Pierwszy wyskoczył z łodzi, nie bacząc na „głębię”, która się pod nim rozwierała. Wpadł po pachy do wody, lecz cóż to dla barbarzyńcy, który z daleka już czuje zapach krwi i wina.

Prychnął więc raz i drugi, ramionami zagarnął toń i pierwszy wdrapał się na skały. Ze złowieszczym okrzykiem uniósł miecz, był już gotów siać wokół siebie grozę i zniszczenie, ale w tej chwili operator przestał kręcić.

Skończyła się ta scena. Ba, powiedzieli nawet, że wszystko do kitu, bo w zapale walki jeden z wojowników nie zauważył, że zsunęła mu się peruka, i zamiast wspaniałej lwiej grzywy sfilmowali najmodniejsze uczesanie z przedziałkiem na boku.

Wujaszek musiał jeszcze raz forsować skały.

Wreszcie przyszedł moment najważniejszy. Mieli filmować osobny epizod z samym wujaszkiem. Najpierw reżyser wytłumaczył po włosku, jaka jest sytuacja. Otóż była taka: wujaszek w zapale mordowania i grabieży zapędził się w zaułek miasteczka. Nagle z domu wybiega kobieta. Wujaszek, z oczami nabiegłymi krwią, rzuca się na kobietę...

- Czy pan dobrze zrozumiał sytuację i wczuł się w jej nastrój? - zapytał reżyser. - Więc zaczynamy! Pan wybiega zza rogu, biegnie w kierunku domu. Pani - zwrócił się do aktorki grającej nieszczęsną kobietę - wychodzi z tego budynku. Na widok żołnierza wydaje pani okrzyk przerażenia. Pan łapie ją za gardło... Możemy spróbować?

- Możemy - huknął wujaszek.

Wszystko było gotowe: reżyser siedział na składanym stołeczku, operator stał przy kamerze, a w powietrzu wisiała groza.

Wujaszek przeszedł sam siebie! Gdy tylko reżyser dał sygnał, wypadł zza rogu jak rozjuszony byk hiszpański i ryknął tak groźnie, że wszystkich przeszły ciarki. A potem wpadł w szal. Złapał kobietę za gardło z taką siłą, że ta osunęła się jak nieżywa.

- Panie, nie tak mocno, bo mnie pan udusi! A reżyser zawołał:

- Stop! - I przerwał zdjęcia w najbardziej dramatycznym momencie, kiedy wujaszek na gardle nieszczęsnej zaciskał palce.

- Nie tak! Nie tak! - wołał reżyser. - Pan zachowuje się jak nowoczesny gangster, a nie jak barbarzyńca! Dlaczego pan tak wytrzeszcza oczy i wykrzywia twarz? Powtórzmy tę scenę jeszcze raz. Tylko, proszę, bardziej naturalnie. Ja panu pokażę...

A tu wujaszek jak nie ryknie:

- Pan mi nie będzie nic pokazywał! Ja najlepiej wiem, jak to ma wyglądać! Reżyser zbladł.

Okazuje się, że z panem nie można pracować... Wujaszek zdarł z głowy rudą perukę i cisnął ją o zabytkowy bruk - Pies z wami! - zawołał po polsku. - Niech pan sobie znajdzie kogo innego! Nie chcę waszych dolarów i zostawcie mnie w spokoju! Ja nie będę robił z siebie błazna - To powiedziawszy, krokiem pełnym godności, z wzniesionym wysoko czołem, ruszył w pustą uliczkę, a zabytkowe mury z dykty aż oniemiały ze zdziwienia.

I tak skończyła się krótka kariera filmowa mojego wujaszka.

- Pies z nimi! - prychnął wujaszek, gdy wracaliśmy do Miloćeru. - Ten makaroniarz chciał mnie uczyć, jak należy odgrywać tę scenę! „Dlaczego pan tak wytrzeszcza oczy!” Dobry, co? „Niech pan

nie wykrzywia twarzy!” Ja bym mu wykrzywił! Wyobrażam sobie, jak będzie wyglądał ten jego film! Niesolone kluski na niesolonej wodzie! - splunął ze złością i długo nie mógł przyjść do siebie; a gdy wreszcie przyszedł, roześmiał się.

- Całe szczęście, że to się tak skończyło! Co też mnie, staremu koniowi, strzeliło do głowy! Jeszcze mi tego brakowało, żeby mnie w Warszawie wyśmieli...

Oto cały wujaszek!

A mnie aż skręca, bo przysły wszystkie marzenia o dalszej podróży i włóczędze po ciepłych i egzotycznych wodach Adriatyku. Wydawało się, że już, już byliśmy posiadaczami dwustu dolarów, mogliśmy snuć marzenia i robić plany. Teraz wypadało tylko spakować manatki i wracać do domu. A zresztą - jak wracać, skoro ostatnie grosze wydał wujaszek na orzechowe lody i winogrona...

- Dwieście dolarów to jednak forsa - powiedziałem. - Co my teraz będziemy robili?

- To samo, co wczoraj - pocieszył się niedoszły Wiking.

- Wujaszek jest jednak lekkomyślny. Nawet mama, która tak wujaszka kocha, mówi, że wujaszek nie wie, na jakim żyje świecie.

- A kto z nas wie? - zapytał z miną mędrca. - Daję ci słowo, że mama też dobrze nie wie. A czy ty wiesz? Do niedawna jeszcze ludzie myśleli, że ziemia jest płaska, a słońce na noc chowa się do oceanu...

- Ciekaw jestem, co nas teraz poratuje. Pewno aparat fotograficzny - zauważyłem z przekąsem - bo niczego innego nie widzę.

- Wspaniały pomysł! Nigdy bym sam na to nie wpadł! Mam przecież w domu drugi.

- A ja nie pozwolę wujaszekowi robić głupstw!

- Przecież to mój aparat.

- Tak, ale wujaszek sprzeda go za pół ceny. Jeżeli wujaszek sprzeda aparat, to ja wracam... do... do... Warszawy.

- Proszę bardzo - zachnął się.

- I... nie chcę znać wujaszka.

Nie znałem wujaszka aż do Miloćeru. Dopiero przy hotelu musiałem się do niego znowu przyznać, żeby mógł uratować Szweda. Bo oto zobaczyłem bardzo wystraszonego chłopca przywiązanego do pnia morwowego drzewa; pod jego stopami - stos suchych gałązek i trawy, a wokół las tomahawków i dzikie twarze czerwonoskórych.

- Powiedz temu cuchnącemu kojotowi - wołał wódz do Marka z zadartym nosem - że jeśli nie pożyczysz nam wodnych nart, to upieczemy go żywcem, a prochy jego rozsiejemy po stepie!

Marko powiedział, co miał powiedzieć, ale Szwed nic nie rozumiał. Czuł się jak na tureckim kazaniu i robił okropne miny.

Gdy ujrzał nas wysiadających z mamuta, spojrzał błagalnie i jęknął coś po angielsku.

- Szlachetny wędrowcze - zwróciła się do wujaszka Tola - bądź tak wspaniałomyślny i przetłumacz nam jego plugawe słowa, bo nic nie rozumiemy.

- To dobrze - huknął wujaszek. - Właśnie on mówi to samo. Nie wie, czego od niego chcecie. I puśćcie go, na litość boską, widzicie, że cały się trzęsie.

- Chcemy, żeby nam pożyczył narty wodne i przewiózł nas motorówką. Wujaszek przełożył, co miał przełożyć, a potem wysłuchał jeńca. Okazało się, że jeniec nie ma wodnych nart ani motorówki, a wczoraj jeździł na pożyczonych z hotelu. I w ogóle jest bardzo zdziwiony...

- On łże! - zawołał Marko.

- Chce nas wywieść w pole!
- Jego mowa jest jak wiatr.
- Nie wierzcie mu! - posypały się groźne okrzyki.

Wujaszek zsunął z czoła kapelusz, podrapał się za uchem, a potem przemówił:

- Dlaczego mu nie wierzycie, szlachetni wodzowie! Czyż nie widzicie z jego niewinnych oczu, które lśnią jak dwa jeziora pełne spokoju, że każde jego słowo jest prawdą? Czyż oszukał was kiedy ów bladolicy traper, który mieszka w białych ścianach nad brzegiem morza? Wypalcie z nim fajkę pokoju, a wtedy duchy waszych przodków ześlą wam wiele łownej zwierzyny. - Mówił tak pięknie, że Szwed, chociaż nie rozumiał jego mowy, rozdziawił z zachwytu gębę i patrzył na wujaszka jak na zbawcę.

- Możemy wypalić - odezwał się wódz.

- Ty to byś z każdym paliła! - zawołał Marko.

- Zamilcz, Krwawy Jastrzębiu - skarciła go Tola. - A zresztą, znudziła mi się zabawa w Indian..

Odwiążcie go!

Szwed był oszołomiony. Myślałem, że rzuci się do nóg wujaszka i ucałuje jego stopy, ale nie ucałował, tylko najwyraźniej żałował, że ta zabawa skończyła się tak szybko. Mimo wszystko był bardzo ciekaw, co z nim zrobią.

Morowy chłopiec! Zamiast zaprzysiąc zemstę, podał każdemu łapę, przedstawił się i zaprosił nas do hotelu na wypalenie fajki pokoju. Nazywał się Sven Rónlund, pochodził z Malmu, a ojciec jego był armatorem, czyli takim facetem, co ma własne statki handlowe i forsy jak lodu; cierpiał na ischias, dlatego każde lato spędzał w ciepłych krajach i wygrzewał w słońcu stare kości. Dowiedzieliśmy się o tym od Svena poprzez naszego wujaszka, ale gdy wujaszek odszedł, nie mogliśmy już rozmawiać o ischiasie starego Rónlunda, bo nie rozumieliśmy ani słowa po angielsku, nie mówiąc już o szwedzkim. Powróciliśmy więc do pradawnego języka i porozumiewaliśmy się na migi, rękami.

W hotelu „Miloćer” było ogromnie nudno, a najgorsze, że musieliśmy udawać dobrze wychowanych i zachowywać się według *savoir vivre*'u z „Przekroju!”. Wszystko tu było międzynarodowe i podobno w najlepszym smaku. Przede wszystkim - międzynarodowe towarzystwo: co krok to jakiś Anglik, Niemiec czy Francuz. Sami ładowani goście, bo - jak mi powiedział Ivo - za jedną dobę płaci się tu dziewięć tysięcy dinarów od łebka. I za co? Za to, że się tylko leży na plaży i opala.

Na plaży hotelowej Anglicy, Niemcy, Francuzi niczym się od siebie nie różnią i gdyby nie otwierali ust, można by ich wziąć za mieszkańców Wysp Fidżi, którym łuszczy się skóra. Leżą tak leniwie na plaży jak ryby wyrzucone na brzeg, a kobiety plotkują i rozmawiają o modzie. I to ma być życie!

My przynajmniej nie rozmawialiśmy o modzie, tylko zażeraliśmy się jugosłowiańskimi lodami za szwedzkie pieniądze. Trzeba przyznać, że nasz Szwed miał gest. Nie patyczkował się. Zamówił duże porcje i po butelce owocowego soku. A my zachowywaliśmy się jak prawdziwi Anglicy, udawaliśmy, że niby na niczym nam nie zależy, i zajadaliśmy w milczeniu.

Morowy chłop z tego Szweda! Chcieli go żywcem spalić, a on im za to funduje i jeszcze się cieszy. My też mogliśmy się cieszyć, ale w tak eleganckim hotelu nie wypadało, więc tylko każdy myślał, kiedy wreszcie wypalimy prawdziwą fajkę pokoju.

Na nieszczęście zjawił się pan Rónlund. Wyglądał właśnie tak, jak go sobie wyobrażałem, był

bowiem podobny do jednego Szweda z obrazu „Obrońca Częstochowy”. Prawie taki sam, tylko bez wąsów i gładko ogolony. Po prostu pan Rónlund z Malmö.

Na widok sześciu porcji lodów na pewno mina mu zrzędła, ale jednak nic mu nie pozostało, jak uśmiechnąć się i podać każdemu dłoń. Co to zresztą dla armatora z Malmö sześć choćby największych porcji lodów! Stać go na to. Nas też było stać na podziękowanie. Każdy podziękował na migi, a Tola, która podobno zaczęła się uczyć angielskiego, powiedziała: „Thank you”.

A potem było już zupełnie morowo, bo wszyscy poszliśmy na przystań i pan Rónlund tak nas po drodze polubił, że wypożyczył dla nas nawet łódź motorową. Początkowo chciał jechać z nami, lecz Sven szybko wybił mu to z głowy. Zrozumiałem przy tym, że w Malmö, a może i w całej Szwecji jest odwrotnie niż u nas, to znaczy ojcowie słuchają synów. Dobrze im w tym Malmö!

Cały szczerp Czarnych Stóp, który do tej pory polował na bizona i zdierał skalpy z głów białych twarzy, przeistoczył się nagle w piratów i zagarnął motorówkę. Z okrzykiem „Hej, na morza! Łupić okręty!” odbijaliśmy od brzegu. Papa Rónlund został na przystani. Wymachiwał rękami, krzyczał coś po szwedzku. Z rozpaczliwych gestów i okrzyków można było zrozumieć, że ostrzega nas, byśmy nie odpływali za daleko. Nikt go nie słuchał.

Przy silniku usiadł Ivo. Minę miał prawdziwego sternika, a spojrzenie wytrawnego wilka morskiego.

- Dokąd płyniemy? - zapytała Tola.
- Na Wyspę Św. Mikołaja.
- Eee... - skrzywiła się. - Myślałam, że trochę dalej.
- Za mało mamy benzyny.

To napadniemy po drodze na tankowiec i zatankujemy - żartował Marko. Ivo nie lubił żartować, więc powiedział, żebyśmy się nie wygłupiali. Zrobimy piękną wycieczkę na Wyspę Św. Mikołaja, do domku pustelnika.

- To świetnie! - zawołałem.
- On właściwie nie jest pustelnikiem - wyjaśnił Ivo.
- Jest czy nie jest?
- Jest na niby i tylko w sezonie.
- Dlaczego na niby?

- Bo właściwie to on mieszka w Petrovacu, a na lato przeprowadza się na wyspę, żeby cudzoziemcy mieli co oglądać.

- Co on tam robi? - zapytałem Iva.

- A nic. Sprzedaje kartki pocztowe, muszle i strasznie mu się nudzi, a jak mu się nudzi, to idzie do piwnicy, popija wino i słucha radia. Przy ludziach nie słucha, bo pustelnikowi nie wypada.

- A dają mu pieniądze?

- Niektórzy dają, ale on nie chce brać dinarów, tylko dolary.

- To fantastyczna posada dla wujaszka! - wyrwało mi się nieopatrznie. - To byłby dopiero pustelnik! - Pomyślałem, że to byłoby świetne wyjście z naszej tragicznej sytuacji. Wujaszek znakomicie nadaje się na takiego, co to nic nie robi, tylko filozofuje i rozmyśla. On będzie pustelnikiem, a ja chłopcem, którego przygarnął z litości! I będziemy sprzedawali muszle. Genialny pomysł! W ten sposób można spędzić wspaniale wakacje.

Byliśmy już daleko od brzegu. Przed nami widniały jeszcze białe ściany hotelu „Miločer”, cyprysy, skały, gaje oliwne, małe białe domki wśród zieleni, a wyżej - wysokie góry, całe w słońcu,

jak odlane z rozżarzonego metalu. I niebo - czyste, głębokie i tak błękitne, jak na pocztówkach. Z prawej, jak pryzma złotych klocków, prastare domy na Św. Stefanie, a z lewej zatoka otoczona pierścieniem zieleni i złotą obręczą gór.

Nagle Toli wpadł do głowy pomysł, żeby zatrzymać się i wykąpać na pełnym morzu.

Ivo zaraz wyłączył silnik. Zrobiło się cicho. Słysząc było jedynie plusk fali o burtę łodzi. Zejrzałem się. Brzeg był już bardzo daleko. Kilka mew szybowało nad nami, a w zatoce białe żagle jak trójkątiki wycięte z papieru sunęły wolno na tle skał.

Ivo pierwszy stanął na dziobie łodzi i skoczył. Gdy płynął pod wodą, zdawało mi się, że porusza się w cichym, przezroczystym szkle. Odpłynął daleko od łodzi, przewrócił się na grzbiet i tak spokojnie trwał.

Potem wszyscy skakali z dzioba do morza; jak kto umiał. Ja chciałem z fasonem, głową oczywiście, ale zamiast głową, skoczyłem na brzuch, aż mnie zapiekło. Na szczęście nikt nie zauważył, bo każdy był zajęty sobą. Pływaliśmy wokół łodzi. I było naprawdę wspaniale! Pod nami głębia, nad nami niebo, słońce, wiatr, a my pluskaliśmy się jak ryby!

Byłoby jeszcze wspanialej, gdybyśmy mogli zobaczyć pustelnika z Wyspy Św. Mikołaja, ale, niestety, gdy wszyscy z powrotem wpakowaliśmy się do łodzi, okazało się, że nie można uruchomić silnika.

Był to solidny silnik przyczepny z linkowym starterem. Trzeba było owinąć linkę wokół tarczy startera, a potem mocnym szarpnięciem wprowadzić tarczę w ruch obrotowy. Prosta sprawa. Prosta oczywiście wtedy, gdy po szarpnięciu silnik zapala. Ale nasz nie chciał zapalić. Szarpał Ivo, Marko, Sven, szarpałem ja, ba, nawet Tola, aż starliśmy skórę z palców, a to uparte bydlę nawet nie drgnęło. I to właśnie na pełnym morzu!

- Może zabrakło benzyny? - zauważyła Tola. Ivo sprawdził. W baku było jeszcze sporo paliwa.

Zaczęliśmy szarpać znowu. Nic nie pomogło. Silnik milczał jak zaklęty, a nam po prostu opadły ręce.

I co robić? Tu pełne morze, a my w niewielkiej motorówce z unieruchomionym silnikiem!

Nikt z nas nie wiedział, jak postępują rozbitkowie rzućni na pastwę losu. Nawet Tola nie wiedziała, chociaż była wodzem Czarnych Stóp. Straciliśmy głowę, a skoro straciliśmy, to trudno było o cokolwiek myśleć.

- Gdybyśmy mieli wiosła... - powiedział Ivo w zamyśleniu.

- W takiej łodzi motorowej nie ma wiosła - zauważył Marko.

- Kto wie! - Ivo zaczął przeszukiwać pokład. Po chwili z okrzykiem radości wyciągnął małe wiosło, które żeglarze nazywają pagajem.

Zaraz wstąpił w nas inny duch. Zabraliśmy się do wiosłowania. Sprawa jednak nie była prosta. Małe wiosło, wielka łódź i do tego pozbawiona steru, bo za ster w tego typu łodziach służy śruba przyczepnego silnika. Gdy któryś z nas wiosłował z lewej strony, łódź gwałtownie skręcała w prawo, gdy z prawej - w lewo. Istny taniec w miejscu! Nie posunęliśmy się nawet o kilka metrów. Zauważyliśmy natomiast, że wiatr wieje od lądu i prąd, choć nieznacznie, spędza nas coraz dalej od brzegu.

Ładna historia! Bojowy duch, który w nas niedawno wstąpił, przestał być bojowym, zwłaszcza, że słońce chyliło się ku zachodowi i pomału zaczęła nadchodzić noc. Jeszcze tego brakowało!

- Chłopcy - odezwała się Tola - grunt to nie tracić nadziei.

- I nie załamywać się - dodał Marko.

- I trzymać fason - dorzuciłem, chociaż czułem, że tracę i nadzieję, i załamuję się, i nie trzymam fasonu.

- Trzeba jednak coś robić - powiedział Ivo w zamyśleniu. - Nie możemy zostać całą noc na morzu. Prąd zanieś nas daleko, a potem... - nie dokończył, bo prawdopodobnie nie chciał nas przestraszyć.

- Mam pomysł! - zawołała Tola. - Czytałam, że rozbitkowie na morzu wypuszczają świetlne rakiety.

- To wypuść - zaśmiał się kpiąco Marko.

Sven też chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział, bo i tak byśmy go nie zrozumieli.

Piękna sytuacja, szkoda gadać! A wszystko przez Tolę, której zachciało się kąpieli na pełnym morzu! Zresztą licho wie, przez kogo! Teraz nie miało to żadnego znaczenia. Zamiast oglądać pustelnika na Wyspie Sw. Mikołaja, płynęliśmy w nieznanym kierunku, unoszeni przez prąd morski!

Wnet tarcza słoneczna wtopiła się w horyzont, a morze zmatowiało, ostygło. Zrobiło się mroczno i groźnie.

Chciałem pocieszyć wiarę, więc opowiedziałem im historię o trzech marynarzach radzieckich. Słyszałem ją od ojca i bardzo ją przeżyłem. Było tak: trzej marynarze straży granicznej na brzegu Oceanu Spokojnego, gdzieś daleko na północy, naprawiali stary prom. Naraz potężna fala zerwała wszystkie cumy, a gwałtowny prąd uniósł prom i porwał go na pełne morze. Wszyscy myśleli, że marynarze zginęli, tymczasem oni przez sześć tygodni, bez żywności, bez słodkiej wody, błakali się po pustkowiach oceanu. Dopiero po sześciu tygodniach przypadkowo wyratował ich okręt amerykańskiej marynarki wojennej.

- Bujasz - powiedział Marko, gdy zakończyłem tę pełną grozy historię. - Jak oni mogli przez sześć tygodni wytrzymać bez jedzenia i bez słodkiej wody?

- Czytali pewno książkę francuskiego lekarza - ujęła się za mną Tola. - Wyobraźcie sobie, ten Francuz chciał udowodnić, że człowiek, nawet rozbitek, przez długi czas może żyć w najtrudniejszych warunkach. Wyplłynął więc na Atlantyk bez żywności i słodkiej wody.

- Ty też bujasz - przerwał jej Marko.

- Właśnie, że nie! Przeczytaj sobie książkę, to zobaczysz.

- To chyba był jakiś fakir.

- Nie, tylko opracował wszystko naukowo.

- I naukowo wyciągnął kopytka.

- Nic podobnego. Żywił się złowionymi rybami, a słodką wodę zdobywał wyciskając ją z ryb. I w ten sposób...

- Pił słoną wodę - zakpił Marko.

- Nie wierzysz, to nie! Jest tam dokładny opis, jak wyciskał. A woda w rybie nie jest wcale słona, tylko słodka. Na tym właśnie polegał eksperyment.

- Bajuj, bajuj! Myślisz, że uwierzę!

Marko był urodzonym niedowiarkiem. Nie uwierzyłby nawet wtedy, gdyby sam przeczytał książkę. Ja natomiast uwierzyłem od razu, bo po cóż ten Francuz tak męczyłby się, a potem pisał. Pomyślałem, że gdybyśmy mieli wędrować po Adriatyku nawet przez sześć tygodni, to i tak nic by się nam nie stało. Łowilibyśmy ryby, wyciskali z nich wodę, a mięso zjadali.

- Ile może być wody w jednej rybie? - zapytałem.

Tola nie zdążyła mi odpowiedzieć, gdyż w tej samej chwili Ivo zawołał głośno:

- Statek na horyzoncie!

Wszyscy spojrzeli na horyzont. Po chwili po lewej burcie pojawiło się migotliwe światelko zbliżającego się ku nam statku.

- To „Partizanka” - powiedziała Tola.

- Zdaje ci się - wtrącił zaczepnie Marko.

- Rano przecież płynęła do Baru.

- Nie masz pojęcia, a mówisz! Zakład, że to „Jadran”.

Świetna wiara! Statek na horyzoncie, możemy być uratowani, a oni kłócą się i chcą zakładać! Przed chwilą byliśmy na dnie rozpacz, a oni teraz: „Partizanka” czy „Jadran”!

- Czy to takie ważne, który statek weźmie nas na pokład? - wtrącił pojednawczo Ivo. - Niech tylko nas zauważą, bo mogą nas minąć albo rozbić jak łupinę orzecha.

Były więc dwie możliwości: albo nas zauważą, albo nas nie zauważą. Jeśli nas nie zauważą, to pozostawały również dwie możliwości: albo nas miną, albo wpadną na naszą łódź i już nie będziemy musieli martwić się, ile z jednej ryby można wycisnąć słodkiej wody...

Statek zbliżał się. Widać już było wał spienionej fali sunącej przed jego dziobem i światła na górnym pokładzie, a w świetle - sylwetki małych, jakby z papieru wyciętych ludzi. Słychać było nawet jakąś melodię płynącą z głośników.

- To płyta z Aznavourem - zauważyła Tola.

- Aleś trafiła! - zaśmiał się kpiąco Marko. - Gdzie ty masz ucho? Nie poznajesz Hallydaya?

- Założę się, że to Aznavour.

- A ja, że Hallyday!

- Zlitujcie się! - zawołał Ivo. - Przecież musimy się przygotować. Każdy bierze do ręki coś białego. Gdy statek zbliży się, zaczniemy wymachiwać i krzyczeć.

- Niech mnie rekiny pożrą, jeśli to nie Hallyday! - krzyknął Marko. Statek mijał nas z lewej burty, w odległości może dwustu metrów. Nie czekając na znak Iva, zaczęliśmy piekielnie wrzeszczeć i wymachiwać, czym kto miał.

Nie wiem, co się stało: czy nas nie zauważyli, czy też myśleli, że jesteśmy wycieczką, która tak entuzjastycznie pozdrawia załogę i pasażerów: w każdym razie zaistniała pierwsza możliwość z drugiej, to znaczy minęli nas nie kiwnąwszy nawet palcem w bucie! Poczęstowali nas jedynie potężną falą, która długo kołysała naszą łupinę.

Wydzieraliśmy się na całe gardło, wymachiwaliśmy, czym się dało, a statek - jak to piszą w książkach - majestatycznie pruć fale. A nam serce się krajało i ręce opadały. Oto ślepy los! Nam serce się kraje i ręce opadają, a tam słuchają Hallydaya albo Aznavoura i bimbają sobie na francuskiego lekarza, który wyciskał wodę z ryb! Siedzą w sali restauracyjnej, wcinają a la carte rozmaite dewolaje, szaszłyki, bryzole, zakrapiają je winem i, jakby nigdy nic, płyną do Kotoru, Dubrownika czy Splitu. No i czy jest na świecie sprawiedliwość?

- A jednak to był Hallyday - powiedział Marko. Miałem zamiar roześmiać się, ale w tak tragicznej chwili zupełnie nie wypadało. Zamiast się roześmiać, pomyślałem o wujaszku. Biedak sądzi zapewne, że już po mnie, i wrywa sobie włosy z brody. A pan Rónlund? Szkoda gadać! Też sobie wrywa. Dał się sterroryzować synalkowi, uwierzył, że wypływamy na przybrzeżną przejażdżkę, a tu noc już zapada...

Noc rzeczywiście zapadła, morze stawało się coraz groźniejsze, a my wciąż nie widzieliśmy wyjścia. Ba, byliśmy prawie na dnie rozpacz, jeżeli rozpacz ma jakieś dno.

Okazało się jednak, że rozpacz nie ma dna, bo gdy się człowiekowi zdaje, że już jest na dnie, to przychodzi chwila jeszcze większego przygnębienia.

Tak właśnie było z nami, kiedy statek zginął w sinej dali, a my zostaliśmy w nieprzeniknionych ciemnościach. Siedzieliśmy w milczeniu i każdy myślał o czymś innym. Ja myślałem o zupie filozofów, bo przypomniałem sobie, że od rana prócz kilku kiści winogron i lodów nic nie jadłem. Poczulem straszliwy głód, a zupa filozofów wydała mi się nieosiągalnym frykasem. Za jeden talerz takiej zupy gotów byłem teraz oddać wszystko: zegarek, którego nie miałem, aparat fotograficzny, ba, nawet naszego mamuta... Im dłużej myślałem o zupie filozofów, tym głośniej burczało mi w brzuchu.

Siedzieliśmy w posepnym milczeniu, z nosami na kwintę, i zdawało się, że będziemy tak siedzieć przez wieki. Dopiero gdy księżyc wyłonił się spoza gór, a morze załśniło nagle i zrobiło się niemal jasno jak w dzień, wstąpił w nas nowy duch, zwłaszcza w Iva; ni stąd, ni zowąd wstał i zaczął przypatrywać się dalekiemu brzegowi i światłom rozsypanym jak drobne iskry wzdłuż skał.

Już wtedy zrozumiałem, że mu coś chodzi po głowie. Nie wiedziałem tylko co. Ivo tymczasem wbił ręce w kieszenie i długo spoglądał w stronę lądu. Nagle uśmiechnął się, uniósł rękę, wyciągnął ją w stronę brzegu i zapytał:

- Ile to może być?

- Co chcesz robić? - powtórzyłem.

- Jest chyba ze dwa kilometry... - powiedział nie patrząc na nas.

- Chyba więcej - odezwał się Marko.

- Ale trzech nie ma na pewno.

- Trzech chyba nie ma - potwierdziła Tola.

- To dobrze - rzekł zdecydowanie. Zaczął się rozbierać. Chwyciłem go za rękaw koszuli.

- Co chcesz robić? - powtórzyłem.

- Nie wygłupiaj się, Ivo! - zawołała Tola.

- To nie takie straszne. Raz już płynąłem więcej niż dwa kilometry. Dam sobie radę.

- Zwariował! - szepnął Marko. - Przecież jest przeciwny prąd. Nie dopłyniesz.

- Zobaczymy.

Tola stanęła obok niego.

- Nie zrobisz tego.

Ivo uśmiechnął się cierpko.

- Ktoś z nas musi... Zresztą, to naprawdę nie takie straszne. Już nieraz płynąłem dalej. Jest księżyc, widno jak w dzień...

- Zupełnie zwariował! - zawołał Marko.

W tym momencie sam nie wiem, co się ze mną stało. Nie powiedziałem ani słowa, zacząłem zrzucać z siebie ubranie. Ivo pochylił się nade mną.

- Co robisz?

- Popłynę z tobą.

- Nie rób głupstw!

Chciał mnie zatrzymać, lecz wyrwałem się i prosto z pomostu, przez burtę skoczyłem do wody. Była ciepła, łagodna, prawie gładka. W blasku księżyca lśniła jak zielonkawy aksamit. Nad sobą ujrzałem gwiazdy, a dalej miedziany gong księżyca, góry tonące w seledynowej poświacie, a niżej - światła na brzegu.

Z łodzi krzyczeli coś do mnie, lecz nie rozumiałem, czego chcą. A może nie chciałem zrozumieć...

Po chwili zobaczyłem Iva. Skakał z burty. Gdy dopłynął do mnie, powiedział prychnąwszy wodą:

- Tylko wolno, bez wysiłku, żeby się nie wypompować, a jak się zmęczysz, to powiedz, wtedy razem odpoczniemy na grzbiecie.

- Dobra jest! - zawołałem.

Ustawiliśmy się w jednej linii, a potem ruszyliśmy jak na komendę. Płynęliśmy krytą żabką, rytmicznie, jak gdyby ktoś z brzegu podawał nam tempo. Początkowo o niczym nie myślałem. Czułem jedynie przedziwną siłę, która pchała mnie ku brzegowi, i zadowolenie, że nie pozwoliłem Iwowi popłynąć samotnie. Bałem się jednak obejrzeć za siebie, jak daleko odpłynęliśmy od łodzi. Zdawało mi się bowiem, że stoimy w miejscu.

Ale obejrzałem się. Łódź była daleko za nami. Morze wygładziło się i czułem, że prąd płynący od brzegu ustał zupełnie. Uspokoilem się. Pomyślałem, że jeżeli kobiety przepływają cały kanał La Manche, z Francji do Anglii, to dlaczego my nie mielibyśmy dopłynąć do brzegu...

Wzmocniłem nawet tempo.

Niedługo trwał ten błogi spokój. Ni stąd, ni zowąd przypomniałem sobie rekina, który w Hercegnovi odgryzł stopę Angielce. Wydało mi się, że potwór grasuje tu gdzieś w pobliżu i czyha na nowy kęs. Cóż mogło być znakomitszego ponad dwóch młodych chłopców?

Tak się tym przeraziłem, że mnie zupełnie sparaliżowało. Nogi, ręce, kark miałem już z drewna i piekielny strach zaczął mnie dławić. Poczulem, że dalej nie popłynę. Odwróciłem się na grzbiet i zawołałem do Iva:

- Zmachalem się!

Ivo zatrzymał się. W blasku księżyca widziałem jego ciemną twarz i przestraszone oczy.

- Co ci jest?

- Nic. Po prostu zmachalem się.

- Może zawrócimy do łodzi - powiedział spokojnie.

- Nie! - odkrzyknąłem. - Płyniemy dalej. Prawdę mówiąc, chętnie zawróciłbym do łodzi, ale co by wtedy o mnie pomyślał? Już i tak wiedział, że nie umiem dobrze pływać ani nurkować, i w ogóle... O rekinie bałem się wspomnieć, bo wyśmiałyby mnie na środku morza.

Zbierałem z wolna siły. Staralem się nie myśleć o rekinie. Wysyłałem go daleko, do brzegów Afryki; lecz on nie miał ochoty odpływać. Krążył coraz bliżej wokół mnie, a raczej w mojej wyobraźni. Im bardziej starałem się o nim zapomnieć, tym większy ogarniał mnie strach! Wydało mi się, że nie potrafię utrzymać się nawet na grzbiecie...

- Wypocząłeś już? - zapytał Ivo.

- Tak - powiedziałem. - Możemy płynąć.

Nic innego nie wypadało powiedzieć. Zacisnąłem zęby i z ogromnym wysiłkiem popłynąłem dalej. Miałem takie uczucie, że nie płynę, lecz tylko śnię o tym. Woda jest gęsta jak smoła, a ja prę naprzód przez smoliste morze i nie mogę dopłynąć... Nie patrzyłem już ani na brzeg, ani za siebie, tylko na Iva, na jego głowę wynurzającą się rytmicznie i na ramiona pewnie rozgarniające wodę. Czułem, że słabnę...

Naraz z lewej strony usłyszałem warkot silnika - z daleka brzmiał jak bzyczenie komara - a za chwilę zobaczyłem nikłe światełko niby świetliki sunące po powierzchni wody. Jakaś łódź płynęła w naszą stronę!

Zatrzymaliśmy się.

- Łódź... - szepnął Ivo.

Nic nie odrzekłem, bo nie mogłem wydusić z siebie ani słowa. Ivo podpłynął do mnie.

- Widzisz? - pokazał w stronę brzegu.

Widziałem bardzo wyraźnie i słyszałem coraz głośniejsze brzęczenie silnika. Naraz w łodzi zapalono reflektor. Jasny język światła prześliznął się po wodzie i liznął nasze głowy.

- Szukają nas! - zawołał Ivo. Gwałtownym ruchem ramion zagarnął wodę, wynurzył się do pasa i wyciągnął w górę rękę, jak człowiek, który ratuje się z topieli.

- Hej! Hej! - zawołał.

Ja też zawołałem, lecz głos miałem tak słaby, że nawet przez aparat podsłuchowy nikt by mnie nie usłyszał.

Łódź jednak waliła na nas, a reflektor omiatał tafłę wody raz z lewej, raz z prawej strony. Szukali nas. To było pewne. Lecz jak tu zauważyć w nocy głowy płynące na powierzchni jak dwie małe boje? Nie traciłem jednak nadziei, bo nic mi, prócz niej, nie zostało. Zacząłem wrzeszczeć i, o dziwo, głos mój zabrzmiał trochę głośniej. Wrzeszczeliśmy na zmianę: raz Ivo, raz ja. I byliśmy pewni, że nas usłyszeli, łódź bowiem parła wciąż w naszym kierunku.

Już byliśmy przygotowani, że za chwilę wyciągną nas z wody, gdy nagle łódź zboczyła. Usłyszeliśmy jedynie głośny warkot, a potem mocniejsza fala nadbiegła od strony oddalającej się łodzi.

Zostaliśmy jak dwa korki rzucone na morze. Sami, zupełnie zdruzgotani.

- Popłynęli do łodzi... - stwierdził po chwili Ivo. - Musieli ich zobaczyć.

- A jeżeli ich też nie spostrzegli?

- Łódź jest większa, łatwiej ją dostrzec.

Teraz dopiero pojąłem, co się stało. Narażaliśmy się, żeby ratować kolegów, opuściliśmy motorówkę, a tymczasem tamtych znaleźli, a my nadal byliśmy na łasce losu. Co robić? Nie zapytałem o to, bo samo pytanie wydało mi się bezdennie głupie. Cóż mogliśmy robić!

- Płyniemy dalej! - usłyszałem spokojny głos Iva.

- Dokąd?

- Do brzegu...

Proszę, oto Ivo! Nie zastanawia się, co robić, bo wie, że jedyny ratunek to płynąć do brzegu.

Ivo był zupełnie spokojny. Podpłynął do mnie i zapytał:

- Jak się czujesz?

- Dobrze - skłamałem.

- To płyniemy... tylko wolno, bo ja już jestem wypompowany.

Nie wiem, skąd znalazłem siły do dalszej walki. Płynęliśmy zupełnie wolno. Zdawało mi się, że stoimy w miejscu, w zakrzepłej jak lawa wodzie. Za nami wciąż brzęczała motorówka i reflektor, niby oko morskiego potwora, błyskał w mroku.

- Zatrzymali się - powiedział Ivo.

- Pewno zabierają naszych - odkrzyknąłem i nagle poczułem wielki żal. Tam cała nasza paka: Tola, Marko, Frane, Sven pakują się do łodzi, a my... Nawet nie śmiałem myśleć, co będzie z nami. Ivo też nie śmiał, lecz powiedział:

- Zaraz będą wracać... Może teraz nas zauważą.

Chciał mnie pocieszyć, lecz ja byłem już pewny, że jeśli nie dopłyniemy o własnych siłach, to zginiemy. Nie obejrzałem się nawet, tylko zacisnąłem zęby i jeszcze szybciej popłynąłem ku światłom migocącym na brzegu.

- Czekaj, wracają... - usłyszałem za sobą głos Iva. Nie zatrzymałem się. Wiedziałem, że gdy choć na chwilę przestanę płynąć, nie będę mógł ruszyć z miejsca. Zwolniłem tylko nieco, żeby Ivo mógł zrównać się ze mną.

- Zaczekaj! - krzyknął. - Musimy dać im jakiś znak! - Wywrócił się na grzbiet, uderzał mocno nogami, wzbijając wysoko fontannę wody.

Wtem ujrzałem, że smuga światła przesunawszy się wolno po wodzie nagle zatrzymała się. Reflektor bił prosto w nas, a w dali ktoś głośno nawoływał. Nie chciałem jeszcze wierzyć, lecz gdy odwróciłem się na plecy, zobaczyłem wał wody spiętrzony dziobem łodzi i wielkie, białe oko reflektora. Szli w naszym kierunku.

Łódź zbliżała się coraz bardziej i coraz wyraźniej słyszałem nawoływania. Zdawało mi się, że słyszę głos wujaszka i Toli... I wtedy straciłem zupełnie siły. Rozłożyłem szeroko ręce, leżałem jak martwy na lekko kołyszącej się wodzie...

- Był tu Ivo po ciebie - powiedział wujaszek. Siedział nad kocherem jak fakir nad zwiniętym w kłębek węzem i mieszał łyżką w menażce. Nawet się nie odwrócił, a głos miał grobowy i niewróżący nic dobrego.

Dopiero teraz zrozumiałem, że obudziłem się przed chwilą i leżę w namiocie. Przez właz namiotowy widziałem potężne bary wujaszka, jego wielki kapelusz, srebrnosine gałązki oliwkowych drzew, a dalej skały, cyprysy i zatokę zmarszczoną powiewem lekkiego wiatru. Świat wydał mi się jeszcze piękniejszy, zwłaszcza gdy pomyślałem, że mogłem go już wcale nie oglądać. Tylko wujaszek wydawał się naburmuszony. Pierwszy raz widziałem go w takim nastroju. Nie śmiałem nawet pary z ust puścić, lecz po chwili się ośmieliłem.

- Był Ivo... Czego chciał ode mnie? Wujaszek wzruszył ramionami.

- Czyja wiem! Chciał pewno zobaczyć, czy żyjesz. - Naraz zwrócił się kum nie, a mnie aż ciarki przeszły, bo w jego oczach po raz pierwszy ujrzałem gniew. Patrzył chwilę oskarżająco. - Swoją drogą, szkoda, że nie jestem twoim ojcem, bo bym ci z rozkoszą wlepił dwadzieścia pięć na goły tyłek.

„Jakie to szczęście, że nie jest, bo ma okropnie ciężką łapę” - pomyślałem, lecz siedziałem pokornie jak trusia. Ani mru-mru, żeby go jeszcze bardziej nie rozsierdzić.

Wujaszek pokiwał nade mną głową.

- Ładnieś mnie urządził! I w ogóle, po co ja cię ze sobą brałem! Pomyśl, co bym powiedział twojej matce?

Pomyślałem, lecz nic mi nie przyszło do głowy, co mógłby wujaszek powiedzieć mamie, gdyby mnie nie wyłowiono z morza. Wnet jednak uświadomiłem sobie, że wujaszek nic nie musi mówić, skoro rozmawia ze mną i - jeżeli mnie węch nie myli - gotuje coś bardzo smacznego na śniadanie.

- Może byś coś powiedział - huknął basowym głosem, od którego zachwiały się gałęzie oliwnych drzew.

- Przepraszam... - wyszeptalem.

- Przepraszam! Przepraszam... dużo mi przyjdzie z twojego przeproszania! Pan Rónlund osiwiął, a ten: „Przepraszam”!

- Mnie się zdaje, że pan Rónlund już był siwy - zauważyłem mimochodem.

- I co wam strzeliło do głowy?

- Chcieliśmy płynąć na Wyspę Św. Mikołaja. Podobno żyje tam pustelnik, który wcale nie jest pustelnikiem.

- Co? Co ty wygadujesz? Jeszcze sobie kpisz ze mnie!

- Niech wujaszek zapyta Iva, on wujaszкови opowie. Podobno miejscowe władze zrobiły z niego pustelnika, żeby zagraniczni turyści mieli co oglądać.

- Ty chyba masz gorączkę!

- Nie, tylko ten pustelnik jest z Petrovacu, a gdy nie ma na wyspie turystów, schodzi do piwnicy, popija wino i słucha radia, bo mu się bardzo nudzi. Pomyślałem nawet, że z wujaszka byłby pierwszorzędny pustelnik i moglibyśmy zarobić trochę forsy.

Wujaszek uniósł ręce gestem rozpaczy.

- Tyś chyba oszalał?

- Wcale nie, tylko pomyślałem sobie, że zamiast sprzedawać aparat, moglibyśmy odstawić pustelników i zbierać dolary na dalszą drogę.

- Kto tu odwraca kota do góry ogonem? Ja tak, on siak! I jeszcze mnie mianuje pustelnikiem! Ładne ziółko zabrałem ze sobą!

- Jeżeli tak, to mogę do końca podróży myć menażki...

- Nie przemęczyłbyś się, mój drogi.

- Dlaczego?

- Bo wracamy do Warszawy.

Zapadło to, co w takich chwilach zwykle zapadać - grobowa cisza. I ja miałem grobową minę, bo nagle zrozumiałem, że kończą się najpiękniejsze dni mego życia. Tyle jeszcze ciekawych rzeczy miałem zobaczyć, tyle przeżyć tych pięknych dni, a tu bęc! Trzeba wracać. Byłem bliski płaczu, lecz nie mogłem sobie pozwolić na mazanie się przy wujaszku. Zacisnąłem tylko zęby, a im mocniej zaciskałem, tym bardziej chciało mi się płakać.

- Czy... czy musimy koniecznie wracać? Wujaszek zachnął się gniewnie.

- Powinieneś zrozumieć, że jestem za ciebie odpowiedzialny! Nie mam pojęcia, co znowu strzeli ci do głowy.

- Daję słowo, że nic mi już nie strzeli...

- Ba, to się tylko tak mówi!

- Postaram się, żeby mi nic nie strzeliło.

Wujaszek mierzwił chwilę palcami rudą brodę. Naraz spojrzał łagodniej.

- A prócz tego... nie mamy już pieniędzy.

- To sprzedajmy aparat fotograficzny... Przecież wujaszek ma drugi w domu.

- A jeśli nie znajdziemy kupca?

- Pogadam z Ivem, może...

- Nie musisz się fatygować - powiedział i łypnął oczami. - Wczoraj już obgadałem całą sprawę na Św. Stefanie. Jest pewien Francuz, który chciałby mieć taki aparat.

- Hurr! - zawołałem radośnie. Przejrzałem w jednej chwili grę wujaszka. Kochany czarodziej, najpierw się naburmuszył, dał mi porządny paternoster, a wszystko dlatego, żeby później usprawiedliwić sprzedaż aparatu. Miły chytrus, szkoda gadać!

Miły chytrus tymczasem zastopował mnie.

- Nie masz się z czego cieszyć! Te pieniądze wystarczą nam jedynie na powrót. Nie będziemy przecież wracali piechotą. Tak, Marcinku, niestety, jesteśmy bankrutami... Przykro mi, że tak się stało.

Sytuacja rzeczywiście bez wyjścia! Zegarek sprzedany i przejeżdżony i nie ma żadnych widoków,

prócz fantastycznego widoku na skalistą zatokę. Ech, gdyby wujaszek nie wytrzeszczał tak oczu przed kamerą filmową, bylibyśmy nieomal milionerami, a tak, cóż nam zostało? Chyba tylko udawać pustelników.

Byłem zupełnie przybity i wujaszek też był przybity, a w menażce tymczasem coś się pichciło i nozdrza drażniło wspaniałym zapachem. Wkrótce przekonałem się, że to wyśmienita zupa rybna.

Po zupie byliśmy trochę i na duchu pokrzepieni.

- Trudno - powiedziałem - cośmy użyli, tośmy użyli. Nie można załamywać rąk.

Wujaszek nic nie powiedział, tylko zaśpiewał sobie jakieś bumstraradabum, prawdopodobnie z „Poławiaczy pereł” albo z „Wesołej wdówki”. I zaraz inaczej spojrzeliśmy na świat.

- Kiedy wyruszamy? - zapytałem.

- Może jeszcze pobędziemy kilka dni. To zależy, ile mi ten Francuz da za aparat.

Nie zdążyłem dokończyć rozmowy, bo nadszedł Ivo.

- Cześć - powiedział. - Chcesz ze mną łowić ryby?

- Świetnie - odparłem. - Zaraz wezmę maskę i płetwy. Poszliśmy do zatoki. Ivo milczał.

- Wyjeżdżamy - powiedziałem.

- Szkoda. Bardzo cię polubiłem.

- I ja ciebie.

- Napiszesz do mnie, prawda?

- Murowane! Przyślę ci zdjęcia naszego zastępu. Szkoda, że nie jesteś w Warszawie.

- Albo że ty nie chodzisz do budy w Čačaku.

- Właśnie. Dobrze by nam było.

- Może przyjedziesz znowu na przyszły rok?

- Może... jeżeli mnie wujaszek zabierze. Ale po tym wczorajszym, to chyba nie.

- Bardzo się gniewał?

- Nie. On nie potrafi gniewać się poważnie.

- Moja mama była o mnie spokojna. Wiedziała, że sobie dam radę; tylko ten Szwed narobił straszliwego rabanu, zaalarmował wszystkie stacje ratunkowe od Baru po Hercegnovi.

- Zeszliśmy do zatoki. Woda leżała gładko. Odbijała zarysy skał i ciemne czupryny pinii. W miejscu gdzie dochodziła do skał, widać było ławice rybek i kolczaste motki jeżowców. Małe kraby wypełzały z wody na skały. I dwie wielkie mewy krążyły w powietrzu. Ivo zrzucił z siebie ubranie

Powiedz - zapytał - miałeś porządnego pietra?

- Miałem.

- Ja też. Każdy w takim wypadku miałby stracha. Ciekawe, dlaczego popłynąłeś ze mną?

- Myślałem, że razem będzie nam różniej... I głupio mi było, że ty sam... Uśmiechnął się łagodnie, położył mi rękę na ramieniu.

- Dobrze zrobiłeś. Nie wiem, czy sam dałbym radę. Dziękuję ci.

- Głupstwo! To ja ci powinienem podziękować. Pamiętasz, wtedy kiedy nas minęła łódź, zdawało mi się, że już po mnie. Gdyby nie ty...

- Nie ma o czym gadać - przerwał mi. - Ja też byłem już dobrze wypompowany. Źle obliczyłem odległość. Grunt, że tak się skończyło. - Usiadł na skale, wolno zakładał płetwy, potem wziął krótki dzirynt i skrzynkę ze szklanym dnem.

- Do czego potrzebna ci ta skrzynka? - zapytałem.

- Magiczny przyrząd - odparł.

- Łapiesz w nią ryby?

- Nie - roześmiał się. - Pod wodą, gdy jest fala, załamuje się światło i trudno zobaczyć dno morza. Szkło wyrównuje te załamania. Chcesz, to zobaczysz.

- Wiesz, że nie umiem dobrze nurkować.

- Nie martw się, nauczę cię.

Do nauki nurkowania potrzebny jest nurek i głęboka woda. Wody było pod dostatkiem, brakowało jedynie nurka, więc, chcąc nie chcąc, zgodziłem się. Po naszej nocnej przygodzie poszedłbym z Iwem wszędzie. To morowy kolega: nie natrząsał się, tylko od razu przystąpił do nauczania - co, gdzie i jak.

Po kilku próbach doszedłem do dna. Podniosłem z dna kamień i wypłynąłem z nim na powierzchnię.

- No widzisz! - uradował się Ivo. - Mówiłem ci, że to nie takie trudne.

Nie mogłem się nacieszyć! Otworzył się przede mną nowy świat - milczący, zielonkawoniebieski, tajemniczy, pełny najrozmaitszych niespodzianek. Skały pod wodą tworzyły piękne groty. Były całe porośnięte fantastycznymi wodorostami; jedne, fioletowe, wiły się jak włosy, inne, czerwone jak korale, tworzyły zwarte kolonie. A wśród nich uwijały się małe, zwinne rybki. Najwięcej było jeżowców. Ich kolczaste kłębki wyglądały w wodzie jak sztuczne kwiaty. Próbowałem nawet zerwać taki jeden „kwiatusek”, niestety, tak się pokłulem, że już nigdy więcej nie spróbuję.

Głębiej rozwierała się wodna przepaść. Toń była coraz ciemniejsza; jej błękit przechodził stopniowo w granat, a dalej - w czerń. Dno opadało gwałtownie jak ściana. Najprzyjemniej było odwrócić się w wodzie na grzbiet i spojrzeć do góry. Miałem wtedy takie uczucie, jakbym nagle znalazł się w wielkiej kuli szklanej: nade mną wisiała cudownie lazuruwa kopuła, a jasne pręgi odbitego słońca płynęły w wodzie jak w czarodziejskiej kuli.

Tak mi się spodobało nurkowanie, że nic nie robiłem, tylko wciąż wyciągałem kamienie z dna. Ivo tymczasem polował na ryby. Wyglądał zupełnie jak polinezyjski chłopiec, którego widziałem na jednym filmie oświatowym: czaił się przy skałach, a gdy spostrzegł zdobycz, zanurzał się ostrożnie i cicho podpływał ku niej. Potem błyskawicznym pchnięciem dzirytu przebijał ją jak strzałą. Mistrz, daję słowo! Ivo robił tak samo.

W ciągu pół godziny wyciągnął z głębiny pięć pięknych sztuk: dwa zubatace i trzy ryby o złotawej łusce i czerwonych ogonach. Odłożył jednego zubataca i dwie czerwonoogoniaste.

- Przyda wam się - powiedział. - Mówiłeś, że wujek jest mistrzem w przyrządzaniu ryb.

Tak, to prawda. Zubatac upieczony przez wujaszka po rybacku na rożnie był ósmym cudem świata!

Dzięki Iwowi mieliśmy znowu luksusową ucztę i nie umarliśmy z głodu.

Tymczasem wujaszek powiedział, że o szóstej umówił się z tym Francuzem w sprawie sprzedaży aparatu fotograficznego. Aparat był pierwszorzędny, supernowoczesny, z światłomierzem i automatycznym nastawiaczem odległości, po prostu najnowszy krzyk techniki, więc Francuzowi na jego widok oko powinno zbieleć. Nic dziwnego, że liczyliśmy na przyzwoitą cenę. Wujaszek liczył i ja liczyłem. I byliśmy pewni, że za uzyskaną forszę nie tylko dojedziemy do Warszawy, ale uda nam się zostać jeszcze kilka dni w Jugosławii.

Najgorzej jednak jest na coś liczyć. Przekonaliśmy się o tym na Św. Stefanie, wśród średniowiecznych murów, siedząc na tarasie kawiarni „Orjen” i popijając to, czegośmy pić nie

powinni, a to z tej prostej przyczyny, że nie mieliśmy już czym zapłacić. Liczyliśmy rzeczywiście na Francuza. Przyjdzie, zbaranieje, wyjmie portfel naładowany forszą i - „Proszę bardzo... ile się należy?” Cóż więc znacząły dla nas kawa i pistacjowe lody!

Siedzieliśmy na tarasie kawiarni, pod wielkim parasolem i podziwialiśmy prastare mury kamiennych domów. Było co podziwiać! Z tych skromnych murów przemawiały wieki i historia. My sobie tak siedzimy i nawet nam do głowy nie przyjdzie, że kiedyś, w XIV wieku, mieszkali tu ponoć piraci. Ładna historia! Bimbali sobie na wszystko i nic nie robili, tylko napadali na weneckie statki, które z Dalekiego Wschodu wiozły do Wenecji rozmaite atłasy, adamaszki i brokaty, a prócz tego klejnoty, złoto i rozmaite korzenie - po prostu majątek! Wenecjanie trzęśli portkami, a piraci wyjmowali z pochew miecze, siali strach i zgrozę, a potem podpalali ograbione statki i kryli się wśród dzikich skał.

Nawet im się nie śniło, że po pięciu wiekach w ich domach będą mieszkali rozmaici Anglicy, Francuzi, Niemcy, i to za grubą forszę, a na tarasie kawiarni „Orjen” mój wujaszek będzie popijał czarną kawę po turecku. No proszę, jak się te czasy zmieniają!

Francuza wciąż nie było.

- Może się rozmyślił - powiedział wujaszek.

- Może się tylko zastanawia - dodałem.

- Wyglądał na solidnego faceta.

- I miał podobno chrapkę na aparat.

- Ba, jeszcze jaką! Oczy mu wylazły, gdy mu pokazałem.

- To dlaczego nie przychodzi...

- Może się goli - powiedział smętnie wujaszek i zabębnił palcami w takt marsza pogrzebowego.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie pragnąłem czyjegoś przyjścia, jak wtedy. Ale zwykle tak bywa, że w takich wypadkach ten ktoś nie przychodzi. I teraz zamiast Francuza zjawił się kelner; wykrochmalony, odprasowany, superelegancki, z miną mistrza. Zapytał, po angielsku oczywiście, czy nie mamy ochoty czegoś zamówić. Śmieszny, nie wiedział, że ochotę mamy, lecz brak nam pieniędzy! Wujaszek zgromił go lodowatym spojrzeniem i odparł, że jedynym naszym życzeniem jest, by zostawił nas w zupełnym spokoju.

Od tej chwili staliśmy się podejrzani, a kelner wciąż zerkał na nas spoza wielkiego oleandra, który stał w kącie tarasu. Na pewno już znacznie wcześniej podejrzewał, że nie pachniemy groszem. Ot, zawodowy węch! Wujaszek nic się tym nie przejął, tylko powiedział:

- Ładna historia, my czekamy, a ten łapichrust nie przychodzi! Pięknie nas urządził! Bimba sobie z uczciwych ludzi!

- Jeżeli mu oczy wylazły na widok aparatu, to jednak może jeszcze przyjdzie.

- Chciałbym go spotkać, zakichańca jednego!

Nie radziłbym teraz zjawić się Francuzowi. Ładnie by wyglądał! Zostałby na pewno zmieszany z błotem i dostałoby mu się za wszystkie czasy, bo z wujaszkiem nie warto zadzierać.

Francuz musiał przeczuć, co się święci, i do ósmej nie zjawił się. Przebrał jednak miarę, bo wujaszek prychnął wściekle:

- Idziemy!

- Wujaszku - zauważyłem mimochodem - przecież nie zapłaciliśmy rachunku...

Niech mu kiszki przyrosną do kręgosłupa! Ten obskubaniec naraża nas na takie przykrości! - Podrapał się za lewym uchem. Niestety, w ten sposób niemożna płacić rachunków. Po chwili

szarpnął zmierzwioną brodę, podrapał się za prawym uchem i nagle gestem milionera skinął na kelnera. Ten przyszybował natychmiast, pewny, że zamówimy kolację z pięciu dań i z szampanem. Tymczasem wujaszek swoim oksfordzkim akcentem zamienił z nim kilka słów i gestem fabrykanta z Chicago wręczył mu wiszący do tej pory na oparciu aparat.

Struchlałem. Czyżby wujaszek za jedne lody i kawę po turecku ofiarował kelnerowi supernowoczesny aparat? Kelner skłonił się nisko, wujaszek skinął mu głową, a ja myślałem, że teraz już na pewno odbędziemy pieszą pielgrzymkę do Warszawy.

Myliłem się. Gdyśmy wyszli z kawiarni, wujaszek westchnął z ulgą.

- Tak, mój drogi, nie ma sytuacji bez wyjścia.

- Dał mu wujaszek aparat?! - zawołałem.

- Uspokój się. Robię podobno rozmaite głupstwa, ale takiego bym nie strzelił.

- Więc co mu wujaszek powiedział?

- Ty zawsze wszystko musisz wiedzieć?

- Nie wszystko, tylko obawiam się...

- Możesz być spokojny - przerwał mi. - Powiedziałem, że nie zmieniłem jeszcze czeku.

- Jakiego czeku?

- Tego, którego nie mam - zaśmiał się.

- A aparat?

- Prosiłem, aby przechował do rana, bo nie mam ochoty taszczyć go... Jutro rano wyrównam rachunek...

- Czym?

- W tej chwili jeszcze nie wiem.

- A jutro będzie wujaszek wiedział?

- Nudny jesteś! Już sto razy mówiłem ci, żebyś nie przejmował się takimi drobiazgami. Do jutra znajdę tego Francuzika albo sprzedam aparat komu innemu.

- Jak wujaszek sprzeda, skoro jest u kelnera?

- Dajże mi już spokój! Potrafisz wywiercić dziurę w brzuchu najniewinniejszemu...

Cóż miałem robić? Dałem mu spokój i przygotowałem się na najgorsze. Ostatecznie, przewędrować pieszo znad Adriatyku do Warszawy to nic strasznego. Czytałem raz w „Życiu Warszawy”, że jakiś Holender postanowił przejść pieszo dookoła świata i w ten sposób reklamować pewną fabrykę obuwia. Ciekawe, jaką fabrykę będziemy my reklamować...

Na szczęście nie musieliśmy reklamować, bo to, co się stało na parkingu przed Św. Stefanem, przechodziło wszelkie wyobrażenie. Ale o tym za chwilę.

Wyspę Sw. Stefana z lądem łączy wąska grobla, którą ponoć usypali kiedyś piraci, żeby w razie potrzeby mogli zwiewać w góry bez przepławiania się przez morze. Piękna rzecz! Piraci rabowali, potem na widok zbliżających się okrętów zbierali nogi za pas i nawiewali w góry, gdzie gwizdali sobie na wszystko. Teraz natomiast ruch odbywa się w odwrotnym kierunku - z lądu na wyspę. Nie ma wprawdzie piratów, ale są rozmaici bankierzy, fabrykanci, goście z wypchanymi portfelami - jednym słowem, zagraniczni turyści. Przyjeżdżają tylko po to, żeby mieszkać w prastarych murach i zostawiać na wyspie kupę forsy i dewiz.

Wszyscy mają wyczerpane nerwy, więc są przewrażliwieni i nie lubią hałasu. Dlatego na wyspę nie wolno wjeżdżać samochodami. Samochody parkuje się przed groblą. Myśmy też zaparkowali tam naszego poczciwego mamuta.

Nie będę opisywał, jakie wspaniałości widziałem na parkingu przed Sw. Stefanem - wspomnę tylko jaguara, lancię i kilka fantastycznych alfa-romeo. Ale wszystkie wysiadały przy naszym mamucie, zwłaszcza pod względem archaicznej oryginalności; nic więc dziwnego, że gdy zbliżyliśmy się do niego, spostrzegliśmy sporą gromadkę gapiów, którzy kręcili z podziwu głowami.

Wujaszek miał minę człowieka, którego stać nie tylko na jaguara, ale nawet na poduszki. Toteż gdy zbliżył się do naszego wozu, zaraz wszyscy rozstąpili się z respektem i dał się słyszeć cichy szmer. Wujaszek udał, że nie słyszy tego szmeru i - jakby nigdy nic - złapał za drzwiczki. Chciał wsiąść, ale zanim wsiadł, zbliżył się do niego tęgawy pan w okularach i zagadał po niemiecku.

Jak się domyślacie, nie znam niemieckiego, postaram się jednak odtworzyć rozmowę na podstawie opowiadania wujaszka. Otóż tym razem nie mówili o pogodzie ani nie wymieniali grzeczności, bo jegomość w okularach nie był przecież Włochem, tylko Niemcem, i nie lubił tracić czasu na zbędne tematy meteorologiczne. Zapytał prosto z mostu, bez owijania w bawełnę:

- Czy to pański wóz?

- A czyj by mógł być? - odparł dyplomatycznie wujaszek.

- W takim razie bardzo się cieszę...

- Ja też...

- ... bo, proszę sobie wyobrazić, szukamy takiego właśnie typu mercedesa w całej Europie, a pan nam po prostu z nieba spada.

Dobra heca! Wujaszek już drugi raz spada komuś z nieba! Żeby tylko nie było tak, jak z tym włoskim reżyserem. Tymczasem wujaszek zrobił taką minę, jak gdyby naprawdę spadł z nieba, i wybąkał:

- Przepraszam, o co chodzi?

Chodziło oczywiście o naszego mamuta. Najpierw jednak jegomość przedstawił się:

- Pan pozwoli, jestem Walter Stock, naczelny inżynier zakładów samochodowych Mercedes Benz w Stuttgardzie.

Wujaszek oczywiście także się przedstawił. Uścisnęli sobie dłonie, zamienili uśmiechy i zaraz przeszli rzeczowo do sedna sprawy.

- Proszę pana - powiedział Walter Stock - samochód pański figuruje w albumach naszej firmy pod nazwą - mercedes M-27, półsportowy; wyprodukowano ich bardzo małą ilość - jeżeli się nie mylę, coś około pięćdziesięciu sztuk - i do tej pory nie spotkaliśmy nigdzie tego typu. Nic dziwnego, zawierucha wojenna, pięćdziesiąt sztuk w takiej masie samochodów to ziarnko w korcu maku.

- W korcu maku - powtórzył uroczyście wujaszek.

- Mamy w naszym muzeum fabrycznym niemal wszystkie typy naszych samochodów, brakuje nam jedynie właśnie mercedesa M-27.

Wujaszek przybrał jeszcze bardziej uroczyście minę.

- Ciekawe - bąknął.

- Mam więc dla pana pewną propozycję - podjął naczelny inżynier. - Jeżeli panu to nie sprawia kłopotu, to proszę bardzo, możemy usiąść w hotelu i obgadać całą sprawę.

Wujaszekowi na szczęście nie sprawiło to różnicy, więc wspaniałomyślnie zgodził się na propozycję uprzejmego pana Waltera Stocka; udaliśmy się znowu do kawiarni „Orjen”, która o tej porze - było już około dziewiątej - przeobraziła się w hotelową restaurację i nabita była zagranicznymi turystami.

Powiem tylko tyle, że tego wieczoru nie musieliśmy jeść zupy filozofów. Pan Walter Stock postawił się, bo jak się później okazało, strasznie mu zależało na mamucie.

- Jesteście, panowie, moimi gośćmi - powiedział tak serdecznie, jak gdyby znał nas od pierwszej klasy, ba, jeszcze z przedszkola. - Proszę bardzo, wybierajcie, panowie. Ja osobiście proponuję kraby.

Kraby jednak nie były najważniejsze, najważniejszy był nasz wujaszek, który nagle z trampa i oczajduszy przekształcił się, niech mnie drzwi ścisną, w angielskiego lorda. Taki już był. Miał spłowiałe szorty i palce zaczynały mu wyłazić z tenisówek, ale za to nie zbywało mu na honorze i godności.

- Dziękuję - powiedział - jesteśmy po kolacji.

Masz babo placek! Ja w wyobraźni siedziałem już przy drugiej porcji krabów, a tu wujaszek wyjeżdża z honorem! Ogromnie żał mi było tych krabów, bo nigdy jeszcze czegoś takiego nie jadłem, ale trudno, nie mówiłem po niemiecku, więc nie mogłem zaprotestować. Pan Stock nie zraził się odmową.

- Może jednak coś zakąsimy - nalegał.

Wreszcie wujaszek zgodził się wspaniałomyślnie. Przynieśli więc cały półmisek zakąsek: szyneczka - palce lizać, ryby na zimno - sama poezja, jakieś frykuśne sałatki, a do tego butelkę wina; i zaczęła się konferencja.

- Nieba mi pana zesłały! - powiedział Niemiec przy łososiu w galarecie. - Marzyłem o tym, żeby spotkać ten model naszego wozu. Niech się pan nie pogniewa, ale chętnie nabylibyśmy go od pana.

Wujaszek nie pogniewał się wprawdzie, lecz powiedział, że nie chce o tym słyszeć.

- Panie inżynierze, od piętnastu lat telepię się tym wozem po świecie - westchnął żałośnie i zaczął się nad nim rozplýwać jak nad własnym dzieckiem.

Myślałem, że się zupełnie rozplýnie, lecz na szczęście nie rozplýnął się, tylko zabił takiego ćwieka Niemcowi, że ten zupełnie stracił głowę.

- Zapłacę panu solidnie! - zawołał. - Nie będzie pan żałował. Wujaszek zmarszczył brwi.

Piętnaście lat, szmat czasu. Pan rozumie, że trudno mi się rozstać... - Pięknie, pięknie - rozczulił się i inżynier. - Rozumiem pana, bo do naszych wozów naprawdę można się przyzwyczaić, ale proszę i mnie zrozumieć. Mamy piękne muzeum, brakuje nam tylko tego właśnie modelu. A nasze muzeum jest unikalną placówką tego rodzaju na całym świecie. Niech pan sobie wyobrazi, mamy wszystkie typy naszych samochodów. Przemawiam do pańskiego sumienia...

Nie wiem, co wyobraził sobie wujaszek, w każdym razie powiedział:

- Szkoda gadać, nie pozbędę się wozu, na którym zrobiłem ponad dwieście tysięcy kilometrów. To byłaby zbrodnia!

Oto romantyk! Nie ma na kawę i lody, a nie chce się pozbyć starego mamuta. Gdy mi to wszystko przetłumaczył na język polski, myślałem, że wyleżę ze skóry. Nie wylazłem jednak. Westchnąłem tylko.

- Wujaszku, przecież to nasza ostatnia deska ratunku. Mój czarodziej posłał mi karcące spojrzenie.

Przesadzasz.. Mam nadzieję, że w Użicach znajdą się nasze pieniądze. "Znajdą się..." - gadaj tu z takim! Ręce mi opadły i znowu rozpacz mnie ogarnęła. Pana Stocka też powinna ogarnąć szewska pasja, ale zaczął z innej beczki. Zamówił jeszcze kilka butelek wina i przeszedł na tematy turystyczne. Wiedział, w jaką uderzyć strunę! Zaraz okazało się, że mają wspólne zamiłowania, a przede

wszystkim ubóstwiają rybołówstwo. Od razu pan Stock złowił taaakiego szczupaka, a wujaszek przed wojną w Dniestrze wyciągnął taaaaakiego suma. Po prostu smoka, nie rybę! Gdyby ją chciał zjeść, musiałby się męczyć przez kilka lat, a i tak jeszcze sporo zostałooby dla krewnych i znajomych.

Pan Stock był oczarowany i zaprosił wujaszka na łososie i pstrągi do północnej Szwecji, a wujaszek pana Stocka na szczupaki na Beldan. Pod każdego łososia wypili po dwie szklaneczki wina, a pod szczupaka jeszcze po dwie. I zdawało się, że wina zabraknie w „Orjenie”. Byliby się zapewne wybrali na wieloryby aż na Antarktydę, ale tymczasem w ich opowiadaniu zjawily się tuńczyki przy wyspach Galapagos, więc zawrócili z drogi, bo doszli do przekonania, że szczytem sportowego wyrobienia jest łowienie tuńczyków. Nie wiem, ile tych tuńczyków wyciągnęli, bo już byłem ogromnie śpiący. Dość, że pod Galapagos mój wujaszek rozczulił się i powiedział do pana Stocka:

- Mój panie, jeżeli pan naprawdę w Szwecji wyciągnął taaakiego łososia, to ja nie mogę panu odmówić.

Pan Stock rzucił się w ramiona wujaszekowi i powiedział, że nie widział miłszego człowieka na świecie, na co wujaszek huknął:

- Niech mnie drzwi ścisną, sprzedaję panu swego mercedesa!

W ten sposób nasz ostatni krzyk mody, nasz mamut, spoczywa teraz w muzeum fabrycznym w Stuttgardzie, a my nie musimy wracać piechotą do Warszawy.

No i czy życie nie płata nam figłów i niespodzianek?

PIRACI Z WYSP ŚPIEWAJĄCYCH

Podróżowanie polega na przenoszeniu się z miejsca na miejsce za pomocą rozmaitych środków lokomocji, ewentualnie pieszo. Wyższym stopniem podróżowania jest włóczęga. Polega na tym samym, tylko nigdy nie wiadomo, dokąd się jedzie i gdzie się człowiek zatrzyma.

Wujaszek Leon był typowym włóczęgą. Toteż kiedy na tarasie kawiarni „Orjen” na Św. Stefanie ubił z panem Stockiem ten fantastyczny interes byłem przekonany, że zawędrujemy na Marsa albo na inną planetę, bo miał wtedy taką minę, jak gdyby chciał wyruszyć w podróż międzyplanetarną. Zresztą, co to dla wujaszka Kosmos, skoro potrafił z Sinjajeviny przywędrować bez pieniędzy na Czarno-górską Rudę i jeszcze opylić mamuta, za którego w kraju nie otrzymałby nawet dwustu złotych. Ba, jestem pewny, że musiałby dopłacić nabywcy i jeszcze mu podziękować. Ale dla wujaszka nie było rzeczy niemożliwych. Przekonałem się o tym, gdy na drugi dzień pan Stock wypisywał mu czek na osiem tysięcy marek, a wujaszek narzekał, że musi się rozstać z mamutem.

Zanim jednak pan Stock wypisał ten czek, wujaszek pięć razy się rozmyślał i klął w żywy kamień, że los go tak skarał. Nie, żeby udawał, broń Boże! Taką już miał naturę, i nic na to nie poradzisz.

Stało więc na tym, że pan Stock wypisał mu czek, a raczej kilka czeków, na sumę ośmiu tysięcy marek, żeby wujaszek za tę forszę mógł kupić nowego mercedesa. Kapitalny interes! Za mamuta, który mógł się nam rozsypać na najbliższym zakręcie, dostaliśmy nowego mercedesa 220-S. Super! Takiego interesu nie zrobiliby nawet Rockefeller, nie mówiąc o Fordzie.

Okazało się, że bożek od pieniędzy zlitował się nad nami. I teraz mogliśmy nie tylko zapłacić za kawę i pistacjowe lody, ale jeszcze dmuchnąć kelnerowi w nos i dać mu suty napiwek.

Jednym słowem, zostaliśmy milionerami, bo gdy przeliczyłem te marki na dinary, wypadło mi, że mamy milion pięćset tysięcy dinarów i możemy gwizdać spokojnie arię z „Cnotliwej Zuzanny”, ba, nawet z „Madame Butterfly”.

Na wujaszku jednak ten milion żadnego wrażenia nie zrobił. Zgarnął te чеки, jakby były świadectwem szczepienia ospy. Ani mrugnął, tylko westchnął ciężko i powiedział:

- Było, nie było, jestem świnią...
 - Wujaszku - zaprotekowałem - będzie miał wujaszek nowego mercedesa.
- Pokiwał głową.
- Dwieście tysięcy zrobiłem na mamucie.
 - Już się nam rozsypywał - starałem się go pocieszyć. - Niech się wujaszek nie martwi, teraz będzie stał w muzeum fabrycznym i wszyscy będą podziwiali.

- Eee! - skrzywił się. - Ty i tak tego nie zrozumiesz. Wy, młodzież, jesteście dzisiaj inni. I świat jest inny... - Odwrócił się, nie chcąc okazać wzruszenia.

Taki już był mój wujaszek. Rozumiałem go. Umysł miał światły, nowoczesny, ba, można powiedzieć cy-ber-ne-tycz-ny, a serce czułe. I za to go tak bardzo kochałem. Stał teraz na tarasie

„Orjena”, patrzył na morze, a oczy miał pełne łez. Nagle uśmiechnął się dobrotliwie.

- Nie martwmy się, Marcinku - powiedział. - Raz wóz, raz przewóz. I szczerze mówiąc, masz rację. Mamut nam się rozsypywał. Nie wiadomo, czy dojechalibyśmy nim do Warszawy. Wnet poszedłby na złom albo rdza by go zeżarła, a tak, ho! ho!

- Ho! ho! - powtórzyłem. - Będzie miał fantastyczną emeryturę! Jako eksponat w muzeum.

- Właśnie - roześmiał się wujaszek. - A jak będę w Stuttgardzie, to wstąpię do tego muzeum i popatrzę na niego... I przypomną nam się dobre czasy...

- Jakżeśmy stanęli w Czarnogórze, na Sinjajevinie.

- Tak... I jeszcze wcześniejsze, gdy byłem młody, ho, ho!

- Więc co teraz robimy? - zapytałem nieśmiało, gdyż dobrze wiedziałem, że wujaszek nie znosi takich pytań.

- Co robimy? - zamyślił się. - Ba, gdybym to wiedział! Dziwna sprawa, Marcinku, gdyśmy nie mieli forsy, to zawsze wiedziałem, co robić. Teraz, gdy mamy - nie wiem. Daję słowo, nie wiem. A gdy się nie wie, co robić, to najlepiej nic nie robić.

- Przecież nie możemy nic nie robić.

- Źle ci tutaj?

- Nie, ale myślałem, że pojedziemy dalej. Wujaszek wspomniał... - wtrąciłem nieśmiało.

- Co wspominałem? - huknął.

- Że chciałby wujaszek kupić żaglówkę i udawać piratów.

- Jeżeli mówisz, to prawdopodobnie wspominałem.

- I - dorzuciłem jeszcze ciszej - miałbym do wujaszka wielką prośbę.

- Miałbyś czy masz? - zażartował.

- Mam. Chodzi o to, czy nie moglibyśmy wziąć ze sobą Iva. On taki wdechowy kolega.

- Podoba mi się ten Ivo - powiedział w zamyśleniu wujaszek. - Ale...ale, czy wam znowu nie strzeli coś do głowy?

- Ivo jest przecież bardzo poważny.

- Poważny! - prychnął wujaszek. - A kto skakał z łodzi i chciał dopłynąć do brzegu?

- On chciał nas ratować.

- Piękna rzecz! Chciał ratować, a byłyby dwa trupki w kaloszach.

- Bez kaloszy - pozwoliłem sobie zauważyć.

- W kaloszach czy bez, to i tak wszystko jedno. Więc dobrze, możesz zabrać Iva. Będiesz miał towarzystwo.

- Wujaszek jest naprawdę na medal! - zawołałem i chciałem mu uwiesić się na szyi, lecz zrobił unik.

- Głupstwo - powiedział. - Cieszę się, że jesteś koleżeński i nie zapomniałeś o przyjacielu.

W życiu jest czasem zupełnie tak jak w powieści, może nawet ciekawiej, bo prawdziwie; bez żadnych fantazji i zmyślań, a jednak fantastycznie. Z nami też tak było. Nie mieliśmy ani grosza przy duszy, a tu nagle staliśmy się milionerami. Okropnie żał mi było rozstawać się z Ivem, a tu, proszę, Ivo jedzie z nami. Jako rasowi włóczędzy nie wiedzieliśmy, dokąd jedziemy; a tu nagle ni stąd, ni zowąd, za tydzień znaleźliśmy się w Dubrowniku. Nie od razu oczywiście, bo to byłoby cudem, a wujaszek ani ja cudów nie uznajemy. Zanim znaleźliśmy się w Dubrowniku, musieliśmy tam dojechać, a raczej dopłynąć, bo wiadomo, że nie mieliśmy czym dojechać. Nasz mamut został przecież na Sw.Stefanie, zamienił się w historyczny eksponat i czekał, aż go przetransportują do

Monachium, a tam pięknie wyremontują, wylakierują, wychuchają, żeby ludzie wiedzieli, co to był za wspaniały wóz.

Dlatego musieliśmy zmienić sposób podróżowania. Było z tym sporo kłopotu; przywykliśmy do samochodu, a tu nagle zostaliśmy bez kółek. Najgorsza sprawa z gratami. Mieliśmy tych gratów do licha i trochę i nie było co z nimi robić i gdzie zapakować. No, ale jeżeli ma się w kieszeni czeki na półtora miliona, nie warto przejmować się takimi drobiazgami.

Nie przejmowaliśmy się wcale, tylko kupiliśmy w Budvie wielki wór turystyczny i wsypaliśmy wszystkie bambetle do tego wora. Groch z kapustą, daję słowo, ale i tym nie warto się przejmować. Więc, nie namyślając się wiele, wpakowaliśmy ten wór na statek i popłynęliśmy do Dubrownika.

Pierwszy raz płynę prawdziwym statkiem przez prawdziwe morze. Statek nazywa się „Dalmacja” i ma 1 600 DWT wyporności. Ciekaw jestem, ile ma wyporności nasz wujaszek, który wygląda dzisiaj na prawdziwego wilka morskiego, imponuje wszystkim wspaniałym apetytem i rudą brodą. Wyobraźcie sobie, wujaszek wrębał w restauracji na statku pięć szaszłyków i wypił do tego dwa litry žilavki, czyli białego słowiańskiego wina. Ja zjadłem tylko trzy, a Ivo dwa, bo Ivo jest skromny i zresztą nie jechał z Czarnogóry bez pieniędzy. My natomiast używaliśmy sobie za wszystkie czasy. Zdawało się, że wujaszek Leon zje konia z kopytami. Ale nie zjadł. Tylko oczarował pewną starą Angielkę z Manchesteru, bo Angielka myślała, że wujaszek jest mistrzem w podnoszeniu ciężarów i dlatego tyle je.

W ogóle na statku pełno cudzoziemców. Nie wiem, skąd się tego tyle bierze. Widocznie nic nie robią, tylko podróżują i podziwiają piękno dalmatyńskiego wybrzeża. Najwięcej podziwiają Niemcy, bo oni są oszczędni i chcą, żeby im się koszty zwróciły. Anglicy udają, że nie podziwiają, bo chcą wszystkim pokazać, że niejedno w życiu widzieli, a Francuzi wolą siedzieć w restauracji i podziwiać jugosłowiańskie potrawy. Szczerze mówiąc, naszego wujaszka powinni zaangażować jako reklamę, bo gdy się patrzy, jak je, to zaraz ślinka napływa. Tej Angielce też napłynęła, więc zamówiła sobie dwa szaszłyki i zaczęła rozmawiać z wujaszkiem na temat plam na słońcu.

Ja z Ivo nie rozmawialiśmy o plamach na słońcu, tylko - jak to poeci mówią - snuliśmy marzenia; największym naszym marzeniem była wspaniała żagłówka, którą wujaszek miał kupić w Dubrowniku.

Miło jest płynąć wzdłuż dalmatyńskiego wybrzeża i snuć marzenia o fantastycznej karaweli z czarną flagą ozdobioną trupa czaszką i puszczelami. Tak na niby oczywiście, bo czasy zmieniły się i już nie ma piratów. Może my będziemy ostatnimi, zwłaszcza wujaszek Leon. Gdyby mu wybić oko, przepasać je czarną przepaską, głowę obwiązać czerwoną chustką, w ucho wsadzić złoty kolczyk, a w dłoń toledański rapier, byłby najprawdziwszym piratem pod słońcem i na jego widok drżeliby Wenecjanie i kupcy florency, a najbardziej Turcy i Saraceni. A tymczasem wujaszek, zamiast napadać, rabować i grabić, opowiada starej Angielce z Manchesteru o liczących maszynach elektronowych i zachwyca ją swą erudycją i znajomością języka angielskiego.

Nad „Dalmacją” krąży mnóstwo mew i tylko czekają, żeby im coś rzucić do żarcia. Mieliśmy w plecaku bochenek chleba, więc było co rzucać. Ja rzucałem, Ivo rzucał i inni turyści rzucali, a mewy siadały z wrzaskiem na wodzie i tłukły się o te okruszyny.

Mamy też piękne widoki. A najpiękniejsze przy Hercegnovi, gdzie morze wrzyna się głęboko w góry i tworzy wspaniały Fiord Kotorski. Czegoś podobnego nie widziałem! Płyniemy wąskim fiordem. Woda jest prawie niebieska, z jednej strony góry i z drugiej jeszcze wyższe góry, a skały ceglaste i tylko brzegiem ciągnie się wąski pas zieleni. Fantastyczny widok!

Byłem wprost oczarowany. Zachwyciałem się tak aż do Dubrownika. Przed Dubrownikiem zapadł mrok; morze zmatowiało, a niebo wisiało nad nami granatowe i przepastne. Zamigotały pierwsze gwiazdy, a na brzegu, gdzie leżał Cevtat i Mlino, zapaliły się pierwsze światła. I było jeszcze piękniej, bo zdawało się, że to gwiazdy pospadały z przestworzy i płonęły nad brzegiem.

A potem zobaczyliśmy cały bukiet światła, jakby przybrzeżna góra sypnęła iskrami. Dubrownik żarzył się fioletowymi neonami i sypał iskrami w spokojne, stalowe morze.

- Kiedy kupujemy tę żaglówkę? - zapytałem wujaszka, gdy stanęliśmy na nabrzeżu dubrownickiego portu.

Wujaszek sapał jak miech, bo musiał jakoś przetransportować nasz wielki wór, który ważył chyba tonę, a może i więcej. Myśmy naturalnie, jak mogli, pomagali.

- Niech to licho weźmie! - zaklął. - Człowiek nie jest przecież wielbłądem ani osłem.

- Właśnie... - podchwyciłem - przydałby się nam osiołek do taszczenia tego przeklętego wora. Właściwie moglibyśmy sobie zafundować dalmatyńskie-go...

- Powoli, powoli, mój miły. Najpierw trzeba się dobrze rozejrzeć. Wujaszek był specjalistą od rozglądania się. Pierwszą rzeczą, jaką spostrzegł, była przytulna knajpa marynarska nosząca romantyczną nazwę „Pod Różą Wiatrów”. Znajdowała się blisko portu, wśród rozłożystych platanów i kwitnących oleandrów.

- Zajrzyjmy tam - zaproponował. - Widzę pełno marynarzy i rybaków. Można zapytać o łódź i w ogóle.

- Przepraszam, co w ogóle? - zapytałem mimochodem.

- W ogóle w takiej knajpce najlepiej ubić dobry interes, zwłaszcza, hm, jeśli chodzi o żaglówkę. I do tego można dobrze i niedrogo przekąsić.

Wiedziałem, że nie chodziło wcale o przekąszenie, tylko wujaszek, jak wiadomo, miał romantyczną naturę i lubił takie egzotyczne knajpki. Taki już był... więc nic dziwnego, że wnet znaleźliśmy się w cienistym ogródku oświetlonym lampionami i zaczęliśmy się rozglądać, z kim by tu ubić dobry interes.

Wujaszek nie musiał się długo rozglądać. Jego wspaniała postać i płomienna broda wzbudziły ogólne poruszenie. Po chwili przy naszym stoliku zjawił się na chwiejnych nogach marynarz. Wyrósł jak spod ziemi i przemówił do wujaszka nieznanym mi językiem. Wnet okazało się, że był to marynarz z greckiego statku. Chudy, kościsty, czarny, z wyłupiastymi oczyma i z wielką szramą przecinającą mu policzek od brwi po kącik warg. Jednym słowem, postać z filmu o spelunkach portowych.

Początkowo myślał, że wujaszek też Grek, i mówił do niego jak do brata, ale wujaszek odparł po angielsku, że zna tylko grekę klasyczną. Na dowód palnął kilka wierszy z „Iliady” i kilka z „Odysei”.

Oto wujaszek! Gdyby ktoś doń przemówił w sanskrycie, też by mu odpowiedział. Stać go było na to.

Grekowi ogromnie spodobały się wiersze Homera, więc zaraz dosiadł się do nas i zaczął mówić marynarskim slangiem. Groch z kapustą, daję słowo, trochę po angielsku, trochę po francusku, holendersku, a najwięcej wymachiwania rękami. Wujaszek od razu go zrozumiał, ba, można powiedzieć, że go zakasował. Boki można było zrywać, gdy mu tłumaczył po marynarsku, że chce kupić porządną żaglówkę i wypłynąć na morską włóczęgę.

- Wujaszku - przerwałem mu - przecież ten Grek na pewno nie ma żaglówki.

- To sprzeda nam swój parowiec - zażartował nasz wilk morski. - A zresztą... Trzeba się

rozpytywać, bo inaczej będziemy tu siedzieli do śmierci.

Kto to może wiedzieć, co wujaszкови strzeli do głowy - a nuż kupi od greckiego marynarza parowiec.

Parowca jednak nie kupił, tylko postawił karafkę czerwonego wina i zaczął wypytywać biedaka o rodzinę: jak tam mamusia? czy żonaty? czy dzieci mają już wycięte migdałki? W momencie kiedy dojechał do dziadka i okazało się, że dziadek był bosmanem na flagowym okręcie króla greckiego w 1920 roku, do rozmowy wmieszał się nasz sąsiad.

Był to tęgi, barczysty mężczyzna o księżycowym obliczu, siwych, zawadiacko podkreślonych wąsach i roziskrzonych oczach. Można powiedzieć, Ali Baba, który przypadkowo znalazł się w knajpie „Pod Różą Wiatrów”. Miał na sobie czerwoną, rozchełstaną na piersiach koszulę, granatowe płócienne spodnie i skórzane sandały. A gdy spojrzał, to mu oczy błysły tak wesoło, jakby to on, a nie wujaszek, miał w kieszeni czek.

- Panie - odezwał się po chorwacku - co pan będzie czas tracił z tym gnojkwatym Grekiem! Ja go znam. On panu zaraz zaśpiewa, że pływał po południowych morzach, a w Panamie ma ciotkę, która mu zapisała frachtowiec. Tymczasem, jeśli się nie mylę, pływa na greckiej łajbie i łowi przy Korfu ostrygi. Po prostu czeka, żeby pan mu postawił jeszcze pół litra tego parszywego wina.

- Jeżeli ma ochotę, to mu postawię - odparł zadziornie wujaszek.

- Nie warto - tamten spojrzał na Greka z politowaniem. - Już i tak wypił za dużo. Będzie go pan miał na sumieniu. Miej litość nad nim, bo mi wątroba puchnie, gdy na niego patrzę. I nad sobą miej litość. Nie pij tej zarazy! - To rzekłszy klasnął w dłonie i przywołał pikolaka. - Franc, synku mój, dlaczego trujesz uczciwych gości. Przynieś naszemu panu coś porządnego.

- Może być fruszkogorski? - skłonił się pikolak.

- Z ust mi wyjąłeś! Dawaj butelkę fruszkogorskiego i syfon wody. Tylko duchem, bo ci się gość rozchoruje!

Gdy na stole znalazła się butelka ze złotą szyjką, Ali Baba nalał ostrożnie do kieliszków, potem uniósł kieliszek pod światło, spojrzał i cmoknął z zachwytem.

- Najlepsze wino w Jugosławii! Z Fruśkiej Góry, panie! Jak złoto, panie! Wujaszek też cmoknął.

- Jak złoto - powtórzył, uniósł kieliszek gestem zachęcającym i zapytał:

- Z kim mam przyjemność?

Ali Baba z godnością wyprężył potężną pierś.

- Jestem Stano Palade! - huknął. - Stano Palade! Wszyscy mnie tu znają. Podczas pierwszej wojny światowej służyłem w Cesarsko-Królewskiej Marynarce Wojennej. Byłem matem i otrzymałem order Marii Teresy za dzielną służbę. Po wojnie pływałem na triesteńskich okrętach, byłem w Casablance...

- W tym miejscu wyliczył ze dwadzieścia portów całego niemal świata. Uczynił to z taką miną, jak gdyby w każdym z tych portów widniały miedziane tablice wmurowane z okazji jego pobytu.

- Bardzo mi miło - przerwał mu wujaszek, gdy tamten dojeżdżał do Rio de Janeiro.

Długa była to podróż, więc nic dziwnego, że Ivo zaczął ziewać. Najpierw półgębkiem, wstydliwie, a potem już na całego. Wiadomo, że ziewanie jest zaraźliwe, więc i ja sobie pozwoliłem, bo szczerze mówiąc byłem już piekielnie zmordowany, a tu zanosilo się na podróż dookoła świata. Na szczęście sławny marynarz zakotwiczył statek swej fantazji w Rio i wzniósł toast za polskich marynarzy.

- Przepraszam - chwyciłem wujaszka za rękaw i wtrąciłem nieśmiało: - Jeżeli się nie mylę, to

wujaszek miał kupować żaglówkę...

- Nie podoba ci się ten dzielny marynarz? - przerwał mi wujaszek. - Nie widziałem sympatyczniejszego.

- Ja też nie, ale nam chce się spać i w ogóle należałoby zacząć od żaglówki.

- Od żaglówki! - ofuknął mnie wujaszek. Taki dusza człowiek, a ja mu będę zaraz zawracał głowę żaglówką!

- Można przecież napomknąć... Na pewno się nie obrazi.

Wujaszek jednak, zamiast napomknąć, napełnił kieliszki i zaczął opowiadać...

Czas mijał. Ivo zasnął przy stoliku, mnie kleiły się powieki, a tymczasem o żaglówce ani słowa.

Wreszcie nie wytrzymałem i palnąłem zaspanym głosem:

- Przepraszam, czy pan przypadkiem nie zna kogoś, kto mógłby nam sprzedać porządną łódź na żagiel?

To śmieszne, Stano Paladero rozumiał każde słowo wujaszka, a gdy ja się odezwałem, tak na mnie spojrział, jakbym mówił do niego po turecku.

- Chcemy wypłynąć na Jadran - wyjaśniłem i rozpostarłem dłonie, udając żagiel.

- Na Jadran - roześmiał się. To się świetnie składa, bo ja właśnie jutro wypływam.

- My chcemy kupić łódź - wyjaśnił wujaszek.

- Łodzi teraz nikt nie sprzeda - odparł. - Wszyscy przewożą turystów. Łódź można kupić dopiero na jesieni. A zresztą, po co wam łódź? Jedźcie zemną! Mam solidną krypę i płynę na wyspę Lastovo. Wiecie, gdzie Lastovo?

- Oczywiście - odparł wujaszek. Na zachód od Korćuli, najbardziej wysunięta w morze wyspa w okolicy Dubrownika. Wspaniale! - zatarł z radości ręce. - Właśnie planowałem popłynąć i na Lastovo.

Jestem przekonany, że gdyby Stano Palade zaproponował Wyspy Czarcie albo Galapagos, wujaszek zgodziłby się bez zmrużenia powieki. Taki już był, że każdemu chciał przychylić nieba.

- Lastovo - zachłysnął się stary marynarz. - Nie ma piękniejszej wyspy na Jadranie. Cicho tam i spokojnie, bo daleko od brzegu. Turystów niewielu. Sami znawcy. Kilka wiosek rybackich i szerokie morze.

- Szerokie morze - powtórzył w zamyśleniu wujaszek. - Szerokie morze i cisza. Tego nam właśnie potrzeba.

W tej chwili najbardziej potrzebny nam był sen. Szerokie morze i Lastovo mogliśmy sobie zostawić na jutro. Tymczasem wujaszek zapomniał o biwaku. Najchętniej biwakowałby w cieniu platanów „Pod Różą Wiatrów”, lecz Dubrownik to nie Sinjajevina ani pustkowie nad Skadarem. Tutaj obowiązują inne prawa. Trzeba biwakować na wyznaczonym placu campingowym. Było to wbrew szerokiej i nieokiełznanej naturze naszego czarodzieja.

- Gdzie tu ten zakichany camping? - zapytał starego marynarza.

- Nie mógłby pan raz przespać się w hotelu? - radził Palade.

- Wolalbym leżeć na ulicy!

- A w mieście, w prywatnym domu? Wujaszek uniósł ręce gestem rozpacz.

- Przekłęta cywilizacja! Przekłęte przepisy! Człowiek raz w roku chce żyć po ludzku, a tu go zamykają w murach. Hotele! Mieszkania! Campingi! Po co?

Okazało się, że Palade ma w starym mieście bratanicę, która wynajmuje turystom pokoje. Luksus! W średniowiecznej, zabytkowej kamienicy, w której za Republiki Dubrownickiej mieszkali sami

rajcy. Tak zachwalał, iż gotów byłem uwierzyć, że jest nawet zabytkowy wietrzyk, który ochładza prastare mury. Wujaszek rozczulił się ogromnie i, chociaż przysięgał, że przez cały pobyt w Jugosławii nie będzie mieszkał w murach, uległ czarowi opowieści.

- Jeżeli to rzeczywiście kamienica z XV wieku, to możemy spróbować - rzekł smętnym głosem.

Zatrzymaliśmy więc taksówkę, załadowali wór i bambetle, stary Palade usiadł przy kierownicy, my w tyle i sypnęliśmy się do starego miasta. Po drodze okazało się jednak, że do starego miasta nie wolno wjechać samochodem, bo stare miasto jest rzeczywiście zabytkowe i nie znosi cywilizacji. Trzeba więc było taszczyć wór na plecach.

Wkroczyliśmy w średniowieczne mury z worem na plecach, jak średniowieczni pątnicy. Wreszcie znaleźliśmy się na ulicy, która nazywała się dość dziwnie - Od Puca, a potem w zabytkowej bramie pod numerem piętnastym, a tam okazało się, że bratanica naszego dzielnego marynarza wynajęła przed chwilą pokój dwóm Niemcom.

Palade zakiplał gniewem. Najpierw chciał wyrzucać Niemców, potem posłać bratanicę do wszystkich diabłów, ale wujaszek mu wytłumaczył, że szkoda jego szlachetnych nerwów i drogiego zdrowia dla tak błahej sprawy. Po niewielkiej kłótni ustąpił i przyrzekł, że znajdzie nam taką kwaterę, której nie powstydziliby się cesarz etiopski Heile Selasie. Nie wiedziałem, dlaczego właśnie Heile Selasie, ale to przecież nie miało w tej chwili żadnego znaczenia.

Sytuacja była trochę komiczna, a trochę tragiczna, bo tu godzina dziesiąta, a my ani pod namiotem, ani w hotelu, ani na prywatnej kwaterze, a co gorsza, tonowy wór coraz bardziej zatruwał nam życie.

- Nie ma sytuacji bez wyjścia - orzekł wujaszek, ale tylko po to, żeby nas pocieszyć.

Istotnie, zostawiliśmy graty u bratanicy Palade, wujaszek z marynarzem poszli szukać kwatery godnej Heile Selasie, a my dostaliśmy na ciastka i sok owocowy i mieliśmy czekać na nich w pobliskiej cukierni. Cukiernia nazywała się „Jovanka”, ciacha były pierwszoklasne, lody też i wszystko by grało, gdyby Iwowi nie strzeliło coś do głowy.

Iwo, jak go znacie, był zawsze bardzo spokojny, a wtedy jeszcze zaspany. Myślałem, że utnie sobie w „Jovance” drzemkę nad orzechowymi lodami, tymczasem wstąpił weń jakiś nowy duch.

- Słyszysz? - zapytał.

Niestety, prócz syczenia kawy w ekspresie nic nie słyszałem. Ale Iwo słyszał, bo ni stąd, ni zowąd podszedł do drzwi i wychylił głowę.

- Śpiewają - powiedział.

Istotnie, z daleka dochodziły przytłumione głosy i dźwięki gitary.

- Niech sobie śpiewają - odrzekłem. - Musimy czekać na wujka, bo niewiadomo, kiedy wróci. - Przemówił przeze mnie zdrowy rozsądek, lecz jeszcze wtedy nie wiedziałem, że Iwo jest fanatykiem muzyki.

Twarz mu się nagle zmieniła, oczy nabrały blasku i nie był już zaspanym, spokojnym Ivem ani Ivem-bohaterem, tylko Ivem rozmarzonym do nieprzytomności. Masz babo placek! Takiego jeszcze go nie znałem.

- Ty zostań tutaj - powiedział i nagle znikł mi z oczu.

Zostałem, lecz nie na długo, bo gdy tylko wtroiłem trzecie ciastko i popiłem fantastycznym sokiem z brzoskwiń, zaraz i mnie odechciało się spać. Wyszedłem na ulicę.

Ulica była wąziutka, zabytkowa oczywiście i ciemna, lecz w głębi, na wielkim placu, jarzyły się światła. Stamtąd właśnie dochodził ten śpiew, który wśród zabytkowych murów brzmiał jak chór

nielski, a może i ładniej. Skierowałem się w tamtą stronę, z myślą, że znajdę Iva i razem wrócimy do „Jovanki”.

Gdy doszedłem do placu, nie mogłem opanować radosnego zdumienia. Zdawało mi się, że nagle znalazłem się we wspaniałym renesansowym grodzie. Wokół mnie wznosiły się przepiękne pałace z marmuru i białego kamienia, otoczone łukami arkad, ozdobione misternymi rzeźbami, a nad pałacami, niby kolumna - zegarowa wieża.

Dochodziła godzina pół do jedenastej, lecz jakie znaczenie mógł mieć teraz czas, skoro nagle zostałem zupełnie oczarowany! Każdy byłby oczarowany, gdyby zobaczył główny plac Dubrownika z jego pałacami i wieżami! Każdy zapomniałby o wujaszku i o tym, że mieliśmy na niego czekać w kawiarni „Jovanka”.

A gdyby do tego ujrzał wspaniały kościół, a na jego marmurowych schodach całą ferajnę z gitarami! Wszyscy czarni, opaleni, weseli i młodzi, a do tego poubierani tak barwnie, że aż w oczach się mieniło. Chłopcy w kolorowych koszulach, dziewczęta w barwnych chustkach.

Jednym słowem, festiwal młodzieży na marmurowych schodach zabytkowego kościoła. Młodzież oczywiście nie była zabytkowa ani renesansowa, ani prastara; po prostu - najnowocześniejsza, rozchukana, supersportowa i wdechowa. A wśród tej młodzieży mój rozkoszny Ivo!

Niech mnie drzwi ścisną, słyszałem wiele chórów, nawet Słowiki Poznańskie pana Stuligrosza, ale wszystkie wysiadają przy tym chórze ze schodów!

Byłem oczarowany, a oni nic, tylko śpiewali - na przemian: pieśni smętne, to znowu wesołe. Raz mnie ogarniał smutek, raz znowu taka radość, że chciałem płaść po zabytkowym placu. Piękne to były pieśni.

Najbardziej spodobała mi się ballada o nieszczęsnej dziewicy z Hercegowiny. Najpierw myślałem, że się rozplaczę, a później wpadłem w zadumę.

Potem skądś znalazła się młodzieżowa orkiestra jazzowa „Dalmatia Stompers”. Grali jak szatani, a może i lepiej. A tłum tańczył jak opętany. Można powiedzieć, festiwal nowoczesnego tańca. Chłopcy z dziewczętami, dziewczęta z chłopcami, a kto nie miał pary, to giął się sam w takt muzyki, jakby go opętały złe duchy.

I mnie opętał jakiś duch, więc uciałem sobie super-twista z sobą. Daję słowo, same nogi się gięły i zdawało mi się, że tańczę jak sam Bogdan Łazuka.

Zapomniałem, o bożym świecie, a gdy zapomniałem, to trudno mi było przypomnieć sobie, że mamy w „Jovance” czekać na wuja Leona.

Dopiero gdy przypominałem sobie, rozpacz mnie ogarnęła. Podbiegłem do Iva.

- Ivo! - zawołałem. - Co ty robisz? Przecież wujaszek na nas czeka! Ivo oczywiście dalej chciał śpiewać i tańczyć.

- Ivo, zlituj się, przecież możemy narobić rabanu!

Ivo jeszcze chwilę był zupełnie zamroczony, ale gdy doszedł wreszcie do siebie, westchnął.

- Słyszałeś? Widziałeś?

- Tak, ale teraz musimy walić do „Jovanki” - pociągnąłem go za rękaw. Szedł jak zahipnotyzowany.

Walnęliśmy się wprost do „Jovanki”, a tu „Jovanka” już zamknięta.

- Ładna historia! - zawołałem.

- Nie martw się - powiedział Ivo. - Pójdziemy do tej bratanicy starego Palade, gdzie są złożone rzeczy.

Pierwszorzędna myśl, tylko na śmierć zapomnieliśmy, gdzie ta bratanica mieszka. Pamiętałem dokładnie, jakie miała włosy, jakie oczy i jak była ubrana, niestety, nie mogłem sobie przypomnieć ani ulicy, ani numeru jej domu.

Nagle ni stąd ni zowąd zbliżył się do nas młody facet z gitarą.

- Czy koledzy z „Albatrosa”? - zapytał. Zastrzelił nas, szkoda gadać! Chociaż chciałbym być z „Albatrosa”, to jednak nie byłem, więc odrzekłem mimochodem:

- Nie, proszę kolegi, ja z Warszawy.

- Z Warszawy! - zawołał radośnie. - Toś ty Polak!

- Polak - wyjaśnił za mnie Ivo.

Po chwili przekonałem się, jak to dobrze być Polakiem, zwłaszcza wtedy, gdy się nie ma gdzie spać. Bo wnet się okazało, że młody gitarzysta zakochał się po uszy w pewnej studentce z Warszawy i, chociaż minął już rok, w żaden sposób nie mógł się odkochać. Więc tęsknił i nosił jej fotografię na sercu.

Piękna historia, daję słowo! On studiował w Zagrzebiu, ona w Warszawie i pisywali wciąż do siebie listy.

Chcąc go pocieszyć, powiedziałem:

- Niech się pan nie martwi, przecież tu tyle fantastycznych dziewcząt. Angielki, Francuzki...

- O, nie! - zaprotestował gwałtownie. - Takiej jak Ania Seroczyńska niema na świecie!

Niech mu będzie. Nie chciałem się sprzeczać, zwłaszcza, że był naprawdę równy chłopak i gdy się dowiedział, że nie mamy gdzie nocować, zaraz zaproponował:

- Wezmę was na „Albatrosa” i przekimacie do rana, a rano znajdziecie wujka, i po krzyku.

Okazało się, że „Albatros” to jacht studenckiego klubu żeglarskiego. Po prostu luksus!

Sypnęliśmy się do żeglarskiej przystani pod Fort Sw. Jana. Szliśmy wzdłuż starych murów obronnych. Było tajemniczo i bardzo romantycznie: niebo w gwiazdach, powietrze przesycone zapachem kwitnących oleandrów, morze spokojne jak tafla, a w wodzie jak w zwierciadle - odbicie wszystkich świateł i neonów. Po prostu uroczo.

Byłoby jeszcze bardziej uroczo, gdybyśmy wprost nie zasypiali po drodze. Ivo ślaniał się, ja go podtrzymywałem, a student wciąż opowiadał o Ani z Warszawy i z portfela wyjmował coraz to inną jej fotografię. Jacht stał przycumowany do nabrzeża. Nie mogłem go nawet podziwiać, bo powieki kleiły mi się do snu. Podziwiałem natomiast wygodną koję i miękki materac, na którym mieliśmy położyć się z Iwem.

Obudził mnie monotony plusk fal i przeraźliwe chrapanie. Byłem pewny, że płyniemy ze sławnym Palade na Lastovo, a to nieludzkie chrapanie wydobywa się z gardła naszego wujaszka. Nie otwierałem jednak oczu, gdyż lekkie kołysanie wprawiło mnie w stan niebiańskiej błogości. Dopiero gdy ktoś wpackował mi w oko kościsty łokieć, ocknąłem się na dobre.

Niestety, nie było przy mnie wujaszka, a tym „ktoś” okazał się Ivo. Leżałem z nim na pneumatycznym materacu, a raczej on leżał na materacu, a ja na podłodze. Nie mogłem zrozumieć, skąd się wziąłem w ciasnej koi i jakim cudem płynę wśród lekko rozkołysanych fal, które miarowo zalewały umieszczony nad pryczą iluminator. Dopiero gdy z górnej pryczy odezwało się to nieludzkie chrapanie, a nad sobą ujrzałem dyndającą bosą nogę, krzyknąłem z przerażenia:

- Jezus, Maria!

Ivo rozchylił łaskawie powieki. Spojrzał na mnie w osłupieniu.

- Co się stało?

- Zdaje mi się, że płyniemy.
- Na Lastovo?
- Czy ja wiem, dokąd!
- Mieliśmy przecież płynąć na Lastovo.
- Tak, ale z wujkiem i z tym marynarzem.
- A my... z kim płyniemy?
- My... ze studentem.
- Skąd wiesz?
- Bo śpi nad nami i chrapie.

Ivo zupełnie zbaraniał, spojrzał na dyndającą nad nami nogę, a potem zerwał się z przeraźliwym wrzaskiem.

- Dlaczego nas nie obudzili?!
- Czy ja wiem? - odparłem spokojnie. - Spytaj lepiej jego. Ivo złapał za dyndającą nogę.
- Hej - zawołał - dlaczegoś nas nie obudził? Po chwili dał się słyszeć zaspany głos.
- Odczep się! Nie widzisz, że śpię!

Ivo nie chciał się jednak odczepić. Złapał studenta za ramię, zaczął potrząsać.

- Dokąd my płyniemy? Co wyście zrobili? Wstawaj!

Student usiadł na pryczy, dłuższy czas tarł zaspane oczy, a gdy wreszcie spojrzał na nas, miał minę zdumionego barana. Długo gapiliśmy się na siebie. Dopiero gdy jemu coś zaświtało, złapał się za głowę i zawołał:

- Zaspałem! - I zaczął nas strasznie przeproszać, zwłaszcza mnie, jako że pochodziłem z Warszawy. I wszystko się wyjaśniło. Otóż w nocy, gdy nas przyprowadził na jacht, nastąpiła zmiana wachty; ci, którzy mieli służbę, zapomnieli powiedzieć, że jesteśmy na pokładzie, a nasz zakochany studencik wrócił nad ranem na jacht i zasnął jak nieżywy. Ładna historia! Tam wujaszek wrywa sobie włosy, tutaj studencik tłumaczy się, a wszystko psu na budę, bo my tymczasem płyniemy w siną dal.

- Dokąd my właściwie płyniemy? - zapytał Ivo, gdy się wszystko wyjaśniło, a właściwie zaciemniło.

- Na Lopud, mój drogi - odparł studencik czochrając palcami kędzierzawe włosy.
- Daleko to? - zapytałem mimochodem.
- Nie... ze dwie godziny przy dobrym wietrze.
- A nie moglibyście zawrócić? - wtrącił Ivo.
- Zawrócić? - zdumiał się.

Wreszcie gdy mu wszystko wytłumaczyłem, powiedziałem:

- Niech pan wali do kapitana i zapyta, czy mógłby nas odtransportować do Dubrownika.

Student jęknął zrozpaczony.

- Ale będę miał pucowę! Ale mnie porozstawia po kątach! Nie gniewajcie się. Na śmierć zapomniałem powiedzieć kapitanowi, że chcecie tylko przenocować na jachcie.

- To ty chciałeś! - palnął Ivo. - Myśmy cię nie prosili! - Mówił mu „ty”, jakby z nim chodził do jednej klasy. Widocznie w Jugosławii taki zwyczaj. Mnie jednak nie wypadało, bo widziałem, że studentowi wąs sypie się pod nosem, więc z respektem dla wąsa odezwałem się:

- Głupstwo, jeżeli pan ma dostać pucowę, to lepiej nikomu nie mówmy, dopłyniemy do tej wyspy Lopud, a później się okaże...

- Co się okaże? - ryknął Ivo.
- Może uda nam się popłynąć z powrotem.
- A forszę masz?
- Przecież wujaszek ma.
- Gdzie? W Dubrowniku.

Nie spodobał mi się ten ton, więc go zaraz zastopowałem.

- Nie szarp się, bo to przecież nie mnie strzelił ten pomysł, żeby śpiewać na schodach. Ja chciałem czekać. Bylibyśmy poczekali na wujaszka, i po krzyku.

- Nie strzép języka! Sam śpiewał i tańczył, a teraz zwala wszystko na mnie...

- To ty strzépisz, bo ci się zdaje nie wiadomo co... Bylibyśmy się na dobre pokłócili, bo Ivo wpadł w złość i błyskał czarnymi oczami. Na szczęście student rzekł pojednawczo:

- Jeżeli wam tak zależy, to mogę iść do kapitana.

Ivo spojrzał na mnie, ja na Iva i zaraz nam się żal zrobiło biednego studenta, bo to przecież nie przyjemnego dostać solidną pucówę.

- Eee - skrzywił się Ivo - nie trzeba. Sami damy sobie radę.

Nie musieliśmy jednak sami dawać sobie rady, bo za chwilę drzwi rozwarły się z hukiem, a w drzwiach ukazała się najpierw czarna broda, a za nią jej właściciel; a potem właściciel tej czarnej brody huknął:

- Do jasnego pioruna, ty jeszcze śpisz?! - Słowa te skierował do studenta. Ten zbladł, zaczął coś bąkać pod nosem. Wtedy ogniste spojrzenie brodacza spoczęło na nas:

- A to co za jedni? Skąd tu się wzięli?

Ba, sam w tej chwili zapomniałem, kim jestem i skąd się wziąłem! Gdyby mi ktoś powiedział, że spadłem z nieba, też bym uwierzył, lecz brodacz, który okazał się kapitanem, nie uwierzył, tylko zaczął rugać studenta. I stało się. Student dostał pucówę, a wszystko przez to, że w Warszawie zakochał się w polskiej dziewczynie. Taki już los!

Gdy kapitan wyszumiał się, student wskazał na mnie.

- To Polak z Warszawy... Chciałem go przenocować, bo nie miał gdzie spać. Jeszcze raz przekonałem się, jak dobrze być w Jugosławii Polakiem. Kapitan zmiękł, rozchmurzył się i zaczął wypytywać: Co? Jak? Dlaczego? Pięknie mu wszystko wytłumaczyłem, a on swym spojrzeniem wilka morskiego objął siną dal i powiedział:

- Jesteśmy już u brzegów Lopudu. Trudno byłoby nam zawrócić, bo mamy wyznaczony rejs, ale z Lopodu odpływa po południu statek, więc na wieczór będziecie w Dubrowniku.

Dobra jest. Nie ma nic złego, co by na dobre nie wyszło, i nic dobrego, co by nie wyszło na złe; ani kapitan jachtu, ani student nie domyślili się, że nie mamy grosza przy duszy, a raczej dinara - grosze tutaj się nie liczą.

Wysadzili nas w porcie, życzyli szczęśliwych wiatrów, student nawet odśpiewał sto lat. Zostaliśmy na nieznannej wyspie jak rozbitkowie. Taki już los, niech to drzwi ścisną! Widocznie sądzono mi już było podróżować do końca po Jugosławii bez pieniędzy i żyć na gapę. Trudno.

- Co robimy? - zapytałem Iva, gdy stanęliśmy na betonowym nabrzeżu wyspy.

Ivo rozejrzał się dokoła.

- Ładnie tu - odparł. - Nieźle by było wykopać się, a potem zobaczymy.

Było tu naprawdę pięknie. Wśród zieleni i skał wznosiło się niewielkie miasteczko. Smukła kampanila wyglądała jak biały stalagmit strzelający w dziwnie niebieskie niebo. I woda była

błękitna, a w zatokach prawie atramentowa. Wśród skał zielone świece cyprysów i wielkie lichtarze potężnych agaw, a mury domów obsypane fioletowym kwieciem bougainvilli. Małe kutry rybackie wracały z nocnych połowów. Jak stado ciemnych potworów sunęły po lekko zmarszczonym morzu. Łagodny wiatr szedł od morza, chłodząc rozpalone skały.

Znaleźliśmy cichą zatokę, otoczoną skałami i rozłożystymi jak parasole koronami pini. Dziwna muzyka szła od ciemnych czupryn drzew. Zdawało mi się, że te drzewa śpiewają.

- Co to tak gra w tych drzewach? - zapytałem Iva. Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- To cykady... Na tych wyspach pełno jest cykad i zdaje się, że te drzewa same śpiewają. Ludzie nazywają je śpiewającymi wyspami. Teraz jeszcze tak dobrze nie słyhać, ale wieczorem wszystko śpiewa dokoła.

- Śpiewające wyspy... - powtórzyłem w zamyśleniu. Wsłuchiwałem się w tę dziwną melodię i od tej chwili bardzo ją polubiłem. Towarzyszyła nam przez następne dni, a nawet gdy wróciłem do Warszawy, napływała z każdym wspomnieniem tego słonecznego kraju.

Nad zatoką wisiała wysoka skała. Jej cień padał na wodę, a woda w tym miejscu była prawie czarna.

Ivo wspiał się na tę skałę. Chwilę stał z rozłożonymi rękami, jak wielki ptak, gotowy rzucić się w toń za rybami. Potem sprężył się. Jego brązowe ciało mignęło w powietrzu. Cichy plusk rozdarł gładką trafię wody. Ivo znikł w morzu, a gdy wypłynął, parsknął i roześmiał się:

- Spróbuj!

Cóż miałem robić. Spojrzałem na skałę. Wydała mi się w tej chwili wysoka jak wieża i groźna, a jeszcze groźniejsza była cieniem znaczona woda. Wspiałem się szybko na górę. Mąciło mi się w głowie.

Ivo pływał na dole. Skinął na mnie ręką.

Na jego znak sprężyłem się i z całej siły odbiłem się od skały. Poszybowałem w powietrzu z rozpostartymi rękami. Potem nagłym ruchem złożyłem ramiona i wbiłem się w chłodną toń. Kiedy wypłynąłem, Ivo szalał z radości.

- No widzisz, mówiłem ci, to nie takie trudne! Świetnie skoczyłeś! Teraz już nie będziesz miał pietra.

Byłem szczęśliwy, tak szczęśliwy, że zapomniałem nawet o wujaszku. Skakaliśmy długo z tej skały i czuliśmy się coraz lepiej. A potem położyliśmy się na brzegu, na płaskim gładzie, i wygrzewaliśmy się w słońcu. Drzewa wciąż śpiewały nad nami.

- Dobrze ci, Ivo? - zapytałem.

- Fantastycznie!

- O czym myślisz?

- Głupio mi, że tak na ciebie naskoczyłem. To przecież moja wina, że...

- Głupstwo. Może nawet dobrze, żeśmy tu przyплыnęli.

- Może...

- Może nigdy w życiu nie bylibyśmy na tej wyspie. Czy tobie czasem nie zdaje się, że chciałbyś być wszędzie? Bo ja tak myślę, że człowiek powinien wszystko zobaczyć.

- Nie dałbyś rady. Świat taki duży i szeroki...

- Wiem, ale żał mi, że nie znam całego świata. Nie znam nawet całej Polski. Byłem już w wielu miejscach, w górach, na jeziorach, w lasach... Wszystko mi się podobało. Nawet gdy pójdę do parku i zobaczę ptaki, to też się cieszę. I dlatego chciałbym być wszędzie... A czasem to nawet śmiać mi się

chce, bo chciałbym być wszędzie jednocześnie.

Ivo usiadł w kucki, przyjrzał mi się uważnie.

- Tyś chyba zwariował!

- Nie, tylko dobrze jest czasem pomarzyć, a jak się marzy, to różne takie hece przychodzą do głowy. Raz zdawało mi się, że podróżuję w czasie.

- W czym? - roześmiał się.

- W czasie, rozumiesz? Zdawało mi się, że nie żyję teraz, tylko kiedyś dawniej. Że nie ma samochodów, maszyn parowych, w ogóle żadnych maszyn, a ja jestem na dworze jakiegoś księcia...

- Masz bujną wyobraźnię albo ci się śniło... albo czytałeś jakąś książkę.

- Może, bo czytam sporo, a najbardziej lubię o podróżach i polowaniach. Toteż sposób podróżowania...

- Na niby.

- To się wie. A gdzie chciałbyś naprawdę pojechać?

- Bo ja wiem... Może do Afryki, do Tanganiki, tam podobno jest rezerwat, gdzie nie wolno zabijać zwierząt, i w ogóle jest klawo...

- A ja na Alaskę. Czytałem fantastyczną książkę o Alasce. Na Alasce, bracie, jest najwięcej dzikiej zwierzyny. Niedźwiedzia spotkać to tak, jak u nas sarnę, a łosi tam jak zajęcy! I fantastyczne lasy, i wspaniałe góry, a w górach potężne potoki, a w potokach pełno pstrągów i łososi. I Indianie, którzy żyją jeszcze zupełnie pierwotnie. Cholernie chciałbym pojechać kiedyś na Alaskę...

- Chcieć to można, ale trzeba mieć kupę forsy.

- I paszport - dodałem smętnie. - Jak dorosnę i będę miał swoje pieniądze, to może się wybiorę.

Urwaliśmy tę interesującą rozmowę, bo na morzu ukazała się motorówka, a za motorówką narciarz wodny. Ivo westchnął.

- Ech, bracie, ty wybierasz się na Alaskę, a tu trzeba pomyśleć, jak dostać się z powrotem do Dubrownika, bo twój wujaszek na śmierć się zamartwi!

- Właśnie, jak tu dostać się do Dubrownika?

- Najłatwiej statkiem, ale trzeba mieć forszę.

- Ile kosztuje bilet?

- Nie wiem. Możemy dowiedzieć się na przystani. Sypnęliśmy się na przystań ani przypuszczając, że po drodze zostaniemy handlowcami.

A było tak. Kiedy przechodziliśmy ścieżką ponad tą skałą, z której nauczyłem się skakać, z daleka zobaczyliśmy trzy figowce oblepione po prostu figami, a figi same się prosiły, żeby je zrywać. Były piękne, soczyste i bajecznie słodkie. Posililiśmy nadwątlone organizmy, a potem Ivo wpadł na genialny pomysł.

- Słuchaj - powiedział - narwiemy tych fig i sprzedamy je na plaży. Może starczy na bilety.

- Dobra, tylko czy wolno rwać?

- Przecież widzisz, że rosną na pustkowiu. To dzikie figi albo ze starego, opuszczonego sadu.

Ivo ściągnął koszulę, rozpostarł ją na ziemi. Zabraliśmy się do roboty. W mig narwaliśmy tyle, że więcej już nie zmieściło się na rozpostartej koszuli, i z uroczystymi minami ruszyliśmy w stronę miasteczka. Po drodze zobaczyliśmy szeroką plażę, na której aż roiło się od kąpiących. Dzieci, młodzież, dorośli, starzy - do wyboru, do koloru!

Zatrzymaliśmy się na samym brzegu, towar ułożyliśmy na czystym kamieniu i byliśmy już gotowi sprzedawać, tylko nie wiedzieliśmy - za ile.

Obliczyliśmy na oko, że za jedną figę należy się osiem dinarów. Prowadziliśmy jednak nielegalny handel. Jeżeli weźmiemy za figę pięć dinarów, to klient będzie zadowolony, a my odejdziemy z czystym sumieniem, zwłaszcza że fig było sporo.

Ivo stanął na sąsiednim kamieniu, zadarł głowę i głosem arabskiego przekupnia zawołał:

- Smokvy! Smokvy! Słodkie, soczyste, tanie, po pięć dinarów! Po pięć dinarów!

Wydzierał się z całej duszy, aż bębniaki w uszach pękały. Nic dziwnego, że wnet zebrało się wokół nas sporo turystów, znęconych śpiewnym zawołaniem młodego sprzedawcy.

Figi szły jak lody, po pięć dinarów sztuka, a jak ktoś kupił dziesięć, to dokładaliśmy mu jeszcze jedną, żeby wiedział, że ma do czynienia z solidną firmą.

Bylibyśmy na pewno zarobili na podróż i jeszcze na lody, ale ni stąd, ni zowąd zjawił się na plaży jugosłowiański milicjant. Niech mnie drzwi ścisną, że się zjawił, a co gorsza żeglował prosto ku nam!

- Zwiewamy! - syknął Ivo.

Ale nie zdążyliśmy zwiać, bo milicjant był już przy nas i zaczął urzędowo:

- Co tu robicie?

Śmieszne pytanie. Przecież widzi chłop, że sprzedajemy smokvy. Gdybyśmy mu powiedzieli, że podziwiamy dalmatyński krajobraz, i tak by nie uwierzył. Staliśmy jak dwa słupy, ani pary z gęby, więc on nie wytrzymał i huknął:

- Skąd macie te figi?

- Z drzewa - odparł Ivo czupurnie.

- Gdzieście je ukradli?

Tego było za wiele. Ivo nie wytrzymał i ja nie wytrzymałem, bo choć byliśmy bez forsy, to jednak została nam godność i honor, a jakże. Powiedzieliśmy, że nie jesteśmy złodziejami i w ogóle niech sobie byle co nie wyobraża, a figi zerwaliśmy legalnie z dzikich drzewek, które, jeśli tylko ma ochotę, możemy mu pokazać.

- No, no - pokręcił z niedowierzaniem głową - znamy się na takich!

- Niby na jakich? - zachnął się Ivo. Ja się nie zachnąłem, bo jako cudzoziemcowi nie wypadało, tylko dodałem ni to po serbsku, ni to po polsku:

- Niesłusznie nas pan podejrzuje...

Spojrzał na mnie służbowo spod nasuniętego na oczy daszka.

- A ty skąd?

- Z Warszawy - odparłem z godnością.

- A gdzie opieka?

- Opieka czeka na nas w Dubrowniku.

- W Dubrowniku? - zdziwił się przedstawiciel władzy. - A ty skąd się tu wziąłeś?

- Z Dubrownika.

- Jakim cudem?

No, proszę, upał jak jasny gwint, a ja muszę mu opowiadać naszą historię od stworzenia świata, a raczej od momentu kiedy spotkaliśmy tego zakochanego studencika z gitarą.

- To nie nasza wina - zacząłem - że jeden student ze Splitu zakochał się w jednej studentce z Warszawy...

- Jaki student? W kim się zakochał? - przerwał mi zniecierpliwiony. - Dorzeczy, obywatelu, bo nie lubię, jak ze mnie robi się balona!

- Ja wcale nie chcę robić z pana balona - rąbnąłem. - Tylko pan...

- Co ja?

- Eee... szkoda gadać - wtrącił Ivo. - Przyczepił się pan do nas zupełnie niesłusznie.

- Co?! - zawołał milicjant. - Jeszcze się szarpiesz? Jak tak, to chodźcie zemną do komisariatu, zaraz inaczej będziecie śpiewać!

Szczerze mówiąc, odetchnąłem z ulgą, bo wolałem iść do komisariatu aniżeli opowiadać mu skomplikowaną historię naszej podróży mimo woli.

W komisariacie było zupełnie tak, jak powinno być: portret prezydenta, kilka urzędowych ogłoszeń na ścianie, biurko, krzesło i ława. Daję słowo, że na całym świecie komisariaty są podobne, kubek w kubek, bo widziałem już kilka w kinie na filmach. A więc stanęliśmy przed biurkiem, a za biurkiem siedział bardzo gruby i bardzo śmieszny sierżant. Czarne włosy miał ostrzyżone na jeża, a wąsy sterczały mu pod nosem jak szczoteczka do zębów, i do tego miał lekkiego zęza, tak że nie wiedziałem, czy patrzy na mnie, czy na Iva, czy też zupełnie gdzie indziej.

Od razu - co? gdzie? jak? A my jak na spowiedzi, szczerze i bez owijania w bawełnę: że to niesprawiedliwość, bo zerwaliśmy figi z niczyjego drzewa...

Ale milicjant, który nas przyprowadził, był strasznie ważny, więc zaczął służbowo, że tak i tak, a przede wszystkim, żeśmy stawiali opór władzy.

- Jaki opór? - oburzył się Ivo. - Przecież przyszliśmy tu jak dwa baranki! - A potem dodał z przekąsem: - Czy to ładnie aresztować Polaka, który zgubił rodzzonego wujka w Dubrowniku?

Sierżant uśmiechnął się pod wąsem, bo jawnie nie wypadało, i spojrzał zezem na mnie.

- Podoba ci się u nas? - zapytał.

- Jeszcze jak!

- A figi ci smakowały?

- Fantastycznie.

- Czy chciałbyś zobaczyć swego wuja?

- No pewnie!

- Więc go zobaczysz, bo mieliśmy już telefon z Dubrownika. Poszukują was wszędzie. - Naraz zwrócił się do milicjanta: - Dziękuję wam, żeście odnaleźli tych chłopców.

W ten sposób wszystko rozeszło się po kościach. Tylko żal nam było tych fig, które zostały na plaży. Zresztą, pal sześć figi, i tak mieliśmy około trzystu dinarów w kieszeni, a do tego zadowolenie, że sierżant wystrychnął naszego milicjanta na dudka. Pierwszorzędny gość, tak się z nami cackał, jakbyśmy byli jego siostrzeńcami. Zaraz zaczął mnie wypytywać, po ile w Warszawie jajka, po ile pietruszka i kalarepka, wołowina, chleb i do której chodzę klasy. Jak się dowiedział, że przeszedłem do siódmej, to od razu wyjął z portfela fotografię swojego syna, który też przeszedł do siódmej, a jednak nie był zezowaty, tylko miał wybite z przodu dwa siekacze i nazywał się Pavel Vujković.

Był okropny upał, czterdzieści stopni w cieniu, więc ni stąd, ni zowąd sierżant zaproponował nam, że odwiezie nas do Dubrownika milicyjną motorówką. Morowy chłop, szkoda gadać, nie pozwolił nam czekać na statek, który odchodził dopiero wieczorem, tylko załadował nas do motorówki, a uprzednio zawiadomił komendę milicji w Dubrowniku i wujaszka, że zguby znalazły się i za godzinę będą na przystani.

Kamień spadł mi z serca i tak się ucieszyłem, że chciałem wpaść w ramiona naszego zezowatego opiekuna. Ale nie wypadało, więc tylko podziękowałem. Ivo też podziękował.

I byłoby po krzyku, gdyby nie perspektywa spotkania z wujaszkiem.

Wyobraziłem sobie to przywitanie. Ciarki mnie przeszły i włos zjeżył mi się, bo przecież przyrzekłem, że nic nam już nie strzeli do głowy, a jednak strzeliło. Tymczasem pruliśmy motorówką prosto na Dubrownik, luksusowo, z honorem.

Kiedy byliśmy już blisko przystani, zobaczyłem naszego wujaszka. Trochę się ucieszyłem, a trochę miałem pietra, bo jeszcze nie wiedziałem, w jakim jest humorze. Dopiero gdyśmy wyskoczyli z łodzi, dowiedziałem się gruntownie.

Wujaszek patrzył na nas spode łba. Chwilę w ogóle nic nie mówił, jak gdyby zabrakło mu słów na wyrażenie swego nastroju. A potem jak nie sypnie!

Zaczął od łapserdaków, huncwotów, zasmarkańców, a skończył na chuliganach.

- To takżeście na mnie czekali! To znowu wystawiliście mnie rufą do wiatru! A ja tu głowę łamię, co się z wami mogło stać, i włosy sobie wrywam!

Wujaszek pomstował, a my jak trasie - ani mru-mra, tylko lakowaliśmy na sierżanta, co on mu zamelduje.

Na widok wspaniałej brody wujaszka sierżant oniemiał i zapomniał języka w gębie, tylko zezował to na mnie, to na Iva, a właściwie nie wiadomo, na kogo. Dopiero gdy wujaszek huknął, że nie chce nas znać i w ogóle, żebyśmy sobie z głowy wybili Lastovo i podróż ze starym Palade, sierżant szepnął nieśmiało:

- Oni nie są znowu tacy źli...

- Życzę panu, żeby pan miał takich synów, to pan osiwieje w ciągu tygodnia, a po tygodniu pójdzie pan do zakładu pogrzebowego zamawiać dla siebie pogrzeb!

- Ja też mam syna - jęknął sierżant.

- Gratuluję!

- I niech pan sobie wyobrazi, ten mój Pavel przeszedł do siódmej klasy. I jak przeszedł, to chciał dostać rower...

- I pewno mu pan kupił.

- Nie, w tym cała bieda, że nie miałem wtedy pieniędzy.

- To dobrze, bo im już się w głowie przewraca.

- Właśnie, że niedobrze, bo Pavlo obraził się i uciekł z rybakami na wyspę Mljet.

- Pięknie! - huknął wujaszek, a potem nagle roześmiał się. - To pan jest milicjantem i nie mógł pan upilnować własnego syna! Gratuluję!

Wiedziałem, że mu przeszło. Sierżant też wiedział, bo zaraz wyjaśnił:

- Widzi pan, czasem najtrudniej upilnować własnego syna. A oni - wskazał na nas - nie są znowu tacy źli.

- Nie są znowu tacy źli - powtórzył wujaszek. - Tylko mogą człowiekowi tak zająć za skórę, że hej! Całe szczęście, że nie mam dzieci, bo bym zwariował! - Naraz spojrzął bystrzej na sierżanta Vujkovića, uśmiechnął się serdecznie i dorzucił: - Z pana byłaby dobra przedszkolanka, słowo daję! Dusza człowiek! Przepraszam, że te bęcwały sprawiły panu tyle kłopotu, dziękuję za fatygę i ogromnie się cieszę, że pana poznałem...

Sierżant zasalutował.

- Niech pan pamięta, że jednak ci chłopcy nie są znowu tacy źli.

Trzeba przyznać, że wujaszek miał poczucie humoru. Gdy mu opowiedziałem historię o zakochanym studencie i o figach, śmiał się do rozpuku.

Na drugi dzień o świcie wypłynęliśmy ze starym Palade z dubrownickiego portu na wspaniałą

włóczęgę wśród archipelagu wysp dalmatyńskich - Śpiewających Wysp. Czterech piratów, proszę siadać! Niech się schowa Karmazynowy Pirat, którego widziałem na filmie. Gdzie mu tam do mojego wujaszka albo do sławnego marynarza Palade, który opłynął trzy razy kulę ziemską i pił we wszystkich tawernach świata. O nas to nawet nie warto wspominać. Czuliśmy się tak, jakbyśmy się urodzili na pirackiej karaweli wśród huku armat, szczęku rapierów i jęku konających.

A przed nami morze, wielkie, szerokie, nieogarnięte. I wiatr napełniał połatany żagiel starej, rybackiej kropy, która nosiła dumną nazwę „Tajfun”. Kto mógł żeglować na „Tajfunie”, jak nie oryginalni piraci! Nie tacy z powieści, nie z filmów czy telewizji, tylko z krwi i kości!

A więc, żegnajcie, szczury lądowe! Wygrzewajcie swe gnuśne ciała na plażach. Budvy, Hercegnovi i Dubrownika! Żegnajcie, hotelowe, pluskwy, dubrowniccy twistowcy! Posyłamy wam uśmiech lekceważenia i odwracamy się rufą. Pruj, chyży „Tajfunie”, swym dziobem srebrzyste grzbiety fal, prowadź nas ku wielkiej przygodzie!

W Dalmacji wszystko jest zabytkowe, nawet morze. O naszym Piaście kołodzieju jeszcze wróble nie ćwierkały, gdy na Adriatyku pływały już fenickie okręty. To wszystko wiem od starego Palade.

Fenicjanie musieli pływać, bo w Ilirii były wonne olejki, za którymi przepadały ich żony. Fenicjanki natomiast nic nie robiły, tylko awantury swym mężom, że za mało przywożą, i smarowały się olejkami. Greczynki też się smarowały, więc Grecy zakładali tu swoje kolonie. A po Grekach Rzymianie, a potem Saraceni, Wenecjanie, Turcy... Aż się w głowie kręci!

Wszyscy pływali po tym pięknym morzu i pozostawiali po sobie legendy. Więc nic dziwnego, że legendy owiewają te strony.

A więc, Fenicjanie przyplływali po wonne olejki i po drewno na maszty, a nasz kapitan - Palade - przyplływa przeważnie po wino i świeże owoce. Można powiedzieć, że jest współczesnym Fenicjaninem, bo też pływa w celach handlowych na swej krypte, która niewiele różni się od okrętów fenickich. Pływa więc Palade między dalmatyńskimi wyspami i zaopatruje małe miejscowości w wino i świeże owoce.

Tym razem wieziemy dwie beczki czerwonego wina i mnóstwo fantastycznych arbuźów, czyli kawonów. Zażeramy się kawonami, bo znakomicie gaszą pragnienie. Jeżeli nadal będziemy mieli taki spust, to nie zostanie ani jeden.

Wszystko tu jest ogromnie barwne i egzotyczne. Płyniemy z Dubrownika na wyspę Lastovo. Po drodze mamy zatrzymać się na wyspie Mljet, teraz płyniemy przez Kanał Koloćepski. Z jednej strony jest stały ląd a z drugiej wyspy - Koloćep, Lopud, Sipan, Jakljan i Olipa. Z jednej strony góry, z drugiej góry, a nam się zdaje, że żeglujemy w skalnej rynnie. Można nic nie robić, tylko podziwiać piękno tego zakątka.

Minęliśmy Sipan, potem Jakljan, a potem wąziutką cieśniną wypłynęliśmy na szerokie morze. Na Olipie jest latarnia morska. Ogromnie chciałbym być latarnikiem, słuchać szumu morza i wskazywać drogę okrętom. Niestety, na Olipie jest już latarnik, więc nic z tego.

Gdy tylko przepłynęliśmy cieśninę Wratnik, zaraz był wspaniały widok na wyspę. Morze srebrzyło się lekko od pian, a w dali ukazał się cudownie złoty grzbiet gór, jak gdyby ogromna ryba wyłoniła się nagle z dna morza. I to był właśnie Mljet, na który płyniemy.

Płynęliśmy wciąż wzdłuż brzegów Mljetu i zdawało się, że ta wyspa nigdy się nie skończy. Nic dziwnego! Ma przecież trzydzieści siedem kilometrów długości.

Im dłużej trwała podróż, tym bardziej było tajemniczo. Brzegi stromymi skałami opadały wprost do morza, nad nimi pięły się karłowate sosny, a wyżej piętrzyły strome stoki porośnięte dzikimi

krzewami - i znowu rude, prawie czerwone skały. Wyspa była groźna, niedostępna. Nie mogłem sobie wyobrazić, jak na takim pustkowiu żyją ludzie. Zapytałem więc o to starego Palade.

Sławny wilk morski, któremu na lądzie nie zamykały się usta, siedział teraz milczący i zadumany.

- Przekonasz się - odparł niechętnie.

Istotnie, wkrótce ujrzeliśmy wąski przesmyk wśród nadbrzeżnych skał. Palade wprowadził łódź między urwiste brzegi. Znaleźliśmy się nagle w sferze zupełnej ciszy. Żagiel załopotał i opadł bezwładnie. Płynęliśmy jeszcze chwilę siłą rozpędu. Dopiero gdy przebrnęliśmy przez przesmyk, wiatr znowu wypełnił żagiel i pchnął łódź ku lekko zmarszczonej zatoce.

Płynęliśmy wolno wśród archipelagu małych wysepek. Wyglądały jak zielone grzyby wyrastające z tafli granatowej wody. Brzegi miały białe, wapienne, a kapelusze kędzierzawe od sosen i tamaryszkowych zarośli. Gdy przepływaliśmy obok maleńkiej wysepki, usłyszałem znowu tę dziwną, melancholijną muzykę cykad. Drzewa śpiewały i śpiewały całe wyspy.

I było bardzo pięknie i tak romantycznie, że w głowie same układały się wiersze. Nie miałem jednak czasu pisać, a szkoda, może powstałby jakiś fantastyczny poemat o Śpiewających Wyspach.

Stary Palade ostrożnie prowadził łódź. Musiał uważać, żeby nie wpaść na skały. Siedział przy sterze i mocno przytrzymał linkę bomu. Raz ją skracał, raz popuszczał, a żagiel łapał leniwie słabą bryzę i pchał łódź poprzez zatokę.

Naraz, spoza zielonych sosen, wyłoniła się smukła wieża kościoła. W tej samej niemal chwili rozległ się głos dzwonu. I w cudownej ciszy pełno było srebrzystego dzwonienia.

- Polaće - powiedział Palade.

Wnet spoza zielonej kurtyny wyłoniło się białe miasteczko. Wśród cyprysów, pini, agaw i oliwnych sadów wyglądało niby klocki rozsypane nad modrą taflą morza. Kilka białych żagli sunęło w dali jak trójkąci z papieru. Mewy zerwały się z brzegu. Przyszybowały do nas, a my z Ivm rzuciliśmy im do wody kawałki chleba.

- Widzisz - powiedział Palade - nawet na tej surowej wyspie mieszkają ludzie, a ty myślałeś, że to pustkowie. Legenda mówi, że w zamierzchłych czasach mieli tu swoje gniazda piraci...

- No, proszę - zaśmiał się wujaszek - możemy śmiało udawać piratów.

- Piratów z Wysp Śpiewających - dodałem w zamyśleniu, bo byłem zupełnie oczarowany tym uroczym zakątkiem.

Wkrótce przybiliśmy do przystani, przycumowaliśmy „Tajfuna”. Stary Palade zagonił nas do roboty. Trzeba było wyładować część arbusów i jedną beczkę wina. Skończyło się dolce far niente, czyli słodkie nieróbstwo. Zakasaliśmy rękawy, ustawiliśmy się w rząd; Ivo podawał mnie, ja - wujaszekowi, wujaszek - naszemu kapitanowi, a ten układał sprawnie wielkie, zielone kawony w piękną stertę.

Przyjemnie jest po dniach leniuchowania popracować. Więc machaliśmy zdrowo, aż pot zalewał nam oczy. A Palade tylko wołał:

- Dalej, paniczyki! Duchem, Musie!

A wujaszek śmiał się i pokrzykiwał:

- Kawony soczyste, świeże! Raz i dwa, i trzy! Wnet cała sterta, misternie ułożona niby piramida, urosła na kamiennym nabrzeżu. Kawony aż się prosiły, żeby je ćwiartować i jeść.

- Dość! - powiedział stary Palade.

- Teraz możecie zwiedzać Polaće, a ja muszę czekać na kupców. Wujaszek otarł pot z czoła.

- Czy my tu będziemy nocować?

- A jakże - odparł wilk morski. - Przecie nocą nie popłyniemy na Lastovo.

- W takim razie musimy znaleźć jakieś przyzwoite miejsce na biwak. Nie będę spać na arbuzach.

- Powodzenia! - zawołał Palade.

Wujaszкови nie trzeba było powodzenia, bo wiadomo - był specjalistą od wynajdywania najpiękniejszych miejsc pod słońcem. Zanim jednak znaleźliśmy to miejsce, odkryliśmy fantastyczne ruiny starego rzymskiego pałacu. Właściwie to nie trzeba ich było odkrywać. Stały nad samym brzegiem morza, a pod ich murami, jak jaskółcze gniazda, tuliły się małe, dalmatyńskie domki.

Wśród ruin kłębiło się mrowie turystów. Ogromnie im się podobały te ruiny, bo cały czas tylko fotografowali. Nic, tylko pstryk, pstryk! Na tym przecież polega nowoczesna turystyka. Jedzie się tysiąc kilometrów po to tylko, żeby zrobić tysiąc i jedno zdjęcie. Taki turysta-fotograf nie ma czasu na obiad, ba, na kąpiel w morzu, tylko chodzi i pstryka. Potem wraca do Paryża, Londynu, Frankfurtu i chwali się, gdzie to on nie był i czego nie widział, a właściwie nic nie widział, bo patrzył na wszystko przez obiektyw swego aparatu.

Wujaszek natomiast lubił wszystko obejrzyć własnymi oczami, zadumać się nad pięknem natury, podziwiać prastare ruiny i przeżyć to głęboko. Ja też się zadumałem, bo pomyślałem, że świat jest cudownie tajemniczy. Siedzę sobie na marmurze i myślę, skąd on się tutaj wziął? Kto wznosił te śmiałe budowle? Kto mieszkał w tych wspaniałych pałacach?

Rzymianie, oczywiście. Ale jak wyglądali? Co myśleli? Jak żyli? Jedno było pewne że im się nieźle powodziło; taki letni pałac na dalekiej wyspie! Lubili dobrze zjeść i popić. Kąpali się codziennie w termach, a ucztowali ponoć w pozycji leżącej. (Też wariaci! Przecież to strasznie niewygodnie!)

Jednym słowem, żyli jak u babci za piecem i ze wszystkiego sobie bimbali, bo mieli mnóstwo niewolników i niewolnic, którzy za nich pracowali, a przede wszystkim niemal cały świat był pod ich panowaniem. A jednak tak skończyli... Zostały po nich tylko ruiny i legenda, która nad nimi się unosi.

Dumaliśmy nad tymi ruinami, ale niedługo, bo przy turystach kręcących się z aparatami fotograficznymi trudno dumać, więc wujaszek prychnął gniewnie i powiedział:

- Zatruwają człowiekowi życie! Ruch jak o czwartej na Marszałkowskiej. Zwiewajmy!

Zwialiśmy, i gdzie pieprz rośnie, a właściwie nie pieprz, tylko winna latorośl, bo za Polaće ciągnęły się winnice i oliwne sady. Było tam cicho, tylko cykady grały w srebrzystym listowiu.

- Urwanie głowy! - powiedział wujaszek. - Warto by przyjść do tych ruin w cichą noc księżycową i podumać trochę.

Ogromnie mi się spodobał ten pomysł, więc postanowiliśmy wrócić do ruin nocą, kiedy oprószy je seledynowy blask księżycy i będą jeszcze bardziej tajemnicze.

- A teraz, moi drodzy, pokażę wam coś, co jest piękniejsze od ruin i nieprzemijające. - Wujaszek zrobił tajemniczą minę, a my od razu chcieliśmy wiedzieć, co nam pokaże. Nie puścił jednak pary z ust, bo chciał nam koniecznie zrobić niespodziankę.

Dobra jest, jak niespodzianka, to niespodzianka. Lubię niespodzianki, więc nie naprzykrzałem się.

Poszliśmy za wujaszkiem. Prowadził nas wąską drogą wykładaną kamiennymi płytami. Droga pięła się łagodnie wśród gajów oliwnych. Ziemia wokół była czerwona, spieczona słońcem, a dalej ciągnął się stary las. Szliśmy więc w cieniu, nie odczuwając żaru słońca. Naraz wśród pięknych, pochyłonych nad skałami pini coś błysnęło, jak gdyby słońce odbiło się w zwierciadle. Przed nami

leżało błękitne jezioro.

- Wujaszku - zawołałem - to przecież fantastyczne jezioro na wyspie! Skąd wujaszek o nim wiedział?

- Powiedział mi o nim nasz Palade.

- Ale pan nas zaskoczył! - zawołał Ivo.

- Zrobił nam wujaszek prawdziwą niespodziankę.

Gdy zeszliśmy niżej i stanęli na brzegu, oniemieliśmy z zachwytu. Woda była błękitna, przejrzysta, a drzewa ciemnozielone. Na dnie leżały wielkie, białe głazy, a wokół panowała zupełna cisza. Staliśmy urzeczeni. Nikt z nas nie potrafił wydusić z siebie słowa. Pierwszy przemówił wujaszek:

- Wspaniałe miejsce na biwak.

- I do pływania - dodał Ivo. - Widać dokładnie dno. Muszą tu być fantastyczne ryby.

Miejsce było wprost wymarzone, tylko niestety, nie zabraliśmy ze sobą ani namiotu, ani prowiantu, więc jak biwakować? Byłem pewny, że wujaszek zaraz pošle nas do Polaće po ten piekielny wór, ale nasz czarodziej ulitował się nad nami.

- Wy tu poczekajcie na mnie - powiedział - a ja skoczę po ekwipunek.

- Może panu pomóc... - zaproponował Ivo.

- Nie, dziękuję, dam sobie radę. Wynajmę osiołka i na osiołku przytaszczy-my wszystko. A wy nie ruszajcie się z miejsca, żebym was znowu nie musiał szukać.

- Prosta sprawa, niech się wujaszek nie martwi. Będziemy siedzieli tutaj kołkiem i nic nam nie strzeli do głowy.

W złą godzinę wypowiedziałem te słowa, bo zanim wujaszek zniknął na drodze, zaraz nam coś strzeliło. Zobaczyliśmy wąziutką ścieżkę biegnącą tuż nad brzegiem jeziora. Nie ma nic bardziej zdradliwego, jak taka wąska ścieżka, która nie wiadomo dokąd prowadzi. Zaraz napływają rozmaite pokusy: a może by tak zajrzeć tylko za pierwszy zakręt, przekonać się... Nas też lichy skusiło, zaczęliśmy więc najpierw rzucać na wodę kaczki, a potem, nawet o tym nie wiedząc, znaleźliśmy się na ścieżce i same nogi nas poniosły.

Nie uszliśmy zbyt daleko, gdy nagle na jeziorze zobaczyliśmy młodego człowieka w łodzi. Stał i płynnymi ruchami rzucał na wodę niewód. Wyglądał niezwykle oryginalnie. Miał na sobie szerokie spodnie z brązowego sukna, białą koszulę bez kołnierzyka, ogromnie gęstą, kasztanową brodę, a na głowie mały, brązowy czepek.

- Kie lichy! - szepnąłem do Iva, gdy zatrzymaliśmy się za pnem sosny. Ivo zrobił tajemniczą minę.

- Fiuuu... już wiem. Pewnie pustelnik.

- Prawdziwy czy ten na niby?

- Ten na niby, człowieku! Pewnie przyjechał z Petrovatu, żeby sprzedawać turystom muszelki...

W tej chwili pustelnik z trudem wyciągnął sieć razem z wielką trzepocącą się rybą.

- Zubatac! - szepnął Ivo.

- Skąd wiesz? A może karp...

- Karpia tu nie ma i zamknij się, bo go spłoszymy.

- Zubataca?

- Nie, pustelnika.

Pustelnik tymczasem wyjął rybę z sieci i włożył ją do drewnianej skrzynki pływającej obok

łodzi.

- Smakosz - wyjaśnił Ivo - chce mieć zupełnie świeżą rybę.

- Ciekawe, gdzie on mieszka? - zapytałem po chwili.

- Jak to: gdzie? W pustelni.

- A gdzie ta pustelnia?

- Żebym to ja wiedział! W każdym razie musi być gdzieś blisko drogi, żeby turyści mogli tam łatwo zachodzić i dziwić się. Zresztą, poczekaj chwilę, zaraz się przekonamy.

Przekonaliśmy się, ale nie zaraz, bo pustelnikowi wcale się nie spieszyło. Jeszcze raz zarzucił sieć i wyciągnął jeszcze jedną rybę. Gdy miał już tych ryb prawie pełną skrzynkę, usiadł do wiosł i popłynął wzdłuż brzegu. Wnet zniknął za występem skalnym, a my wyłaziliśmy ze skóry, co będzie dalej.

Pobiegliśmy ścieżką na występ skalny i stamtąd zobaczyliśmy łądz. Kołysała się przy samym brzegu przywiązana do pnia sosny. Była pusta.

- Ale nam zrobił kawał! - szepnąłem. - Teraz szukaj wiatru w polu...

- Pewno poszedł do swej pustelni - domyślał się Ivo.

Ruszyliśmy więc ostrożnie w stronę łądzi, a gdy byliśmy już przy niej, z zarośli wyłonił się nagle pustelnik. Na nasz widok stanął jak wryty. I myśmy też stanęli jak wryci i stalibyśmy tak może i godzinę, gdyby pustelnik pierwszy nie przemówił.

- Niech będzie pochwalony - powiedział głosem bardzo nabożnym, jak na pustelnika przystało.

- Na wieki wieków - odparł Ivo.

- Dzień dobry - palnąłem, bo jeżeli to był pustelnik na niby, to i tak było mu obojętne, jak go pozdrowię.

- Piękny mamy dzień - rzekł.

- Piękny - odparłem - ale trochę za gorący.

- I warto byłoby się wykąpać - uśmiechnął się pustelniczym uśmiechem, ni to wesoło, ni to smętnie.

Na to Ivo ni w pięć, ni w dziesięć:

- Czy pustelnicy się kąpią? Brodacz zaśmiał się dobrodusznie.

- Jeżeli jest bardzo gorąco, to nawet pustelnicy szukają ochłody.

Ivo grał niewiniątko - niby to nie domyśla się i nic nie wie - a tymczasem łypał na mnie i mrugał porozumiewawczo.

- Przepraszam - zapytał - gdzie pan ma swoją pustelnię, bo bardzo chcielibyśmy ją zobaczyć...

Brodacz zrobił nieco zdumioną minę, ale wnet się uśmiechnął. (Pewno pomyślał, że zostawimy mu trochę forsy).

- Niedaleko - odrzekł. Mogę was przewieźć, jeżeli macie ochotę.

- To morowo - zawołałem - bo jeszcze nigdy w życiu nie widziałem prawdziwej pustelni! Raz tylko w kinie oglądałem film o pustelniku, który zakochał się w jednej córce księcia, i potem była straszna draka...

Brodacz roześmiał się.

- Skąd ty, synu, jesteś? - zapytał po ojcowsku. - Słyszę, że mówisz nie naszym językiem.

- Ja z Warszawy. Tylko że w Warszawie nie ma pustelników. Był podobno jeden w Pieninach na Trzech Koronach, ale go nie widziałem.

Nasz miły pustelnik gdy się tylko dowiedział, że jestem z Warszawy, zaraz gęba mu się gościnnie

rozjaśniła. Doszedłem do wniosku, że w Jugosławii nawet pustelnicy bardzo lubią Polaków. Czekałem, kiedy brodacz zacznie deklamować wiersze Mickiewicza, ale on zamiast mówić wiersze, powiedział:

- Wsiadajcie, chłopcy, do łódki. Spojrzałem na Iva i zapytałem:

- A co będzie z wujaszkiem?

Ivo zrobił strasznie skwaszoną minę.

- Z wujaszkiem? - zastanowił się. Widać było, że nie chciał trzeci raz zadzierać z wujaszkiem, a jednocześnie strasznie ciągnęło go do tej pustelni i musiał staczać walkę z samym sobą. Ja też staczałem, ale po chwili wpadłem na znakomity pomysł.

- Wujaszek wynajmuje osła i mam nadzieję, że nieprędko go wynajmie...

- Właśnie - podchwycił Ivo. - Nie wiadomo, czy osioł będzie na miejscu. Prawdopodobnie wujaszek będzie musiał iść do gospody...

- Pójdzie do gospody, żeby się rozejrzeć - przerwałem mu, jeszcze bardziej uradowany - a my tymczasem obejrzymy pustelnię.

Nie zastanawiając się wiele, wsiedliśmy do łodzi, pustelnik chwycił za wiosła i ruszyliśmy. Najpierw płynęliśmy wzdłuż brzegu, a potem skierowaliśmy się ku małej wysepce, która nagle ukazała się przed nami. Widać było jej skaliste, strome brzegi, a nad skałami koronkowe pasmo zielonych pinii.

- To pan mieszka na tej wyspie? - zagadnął Ivo.

Pustelnik skinął tylko głową. Ivo przymrużył łobuzersko oko.

- Pan tu mieszka tak na niby... - palnął.

- Nie rozumiem, cię, mój synu?

- Po prostu, żeby zaszkląć turystom oczy? Pustelnik puścił wiosła, ręce mu opadły.

- Co ty wygadujesz, mój synu?

Miał rację. Ivo za dużo sobie pozwalał! Nie dość, że chciał zobaczyć pustelnię, to jeszcze pozwalał sobie na takie uwagi. Chciałem ratować sytuację, więc odezwałem się mimochodem:

- Bo on nie rozumie, że jak pan udaje, to nie wszyscy muszą o tym wiedzieć. Oczy brodacza zaokrągliły się ze zdziwienia. Ivo zaśmiał się.

- Dobrze, dobrze, znam takiego pustelnika z Wyspy Św. Mikołaja. Tylko on nie udaje takiego niewiniątka, jak pan.

Myślałem, że nas wyrzuci z łodzi na środku jeziora, ale nas nie wyrzucił, bo miał dobre serce, zrobił tylko bardzo poważną minę i tak na nas patrzył, jakbyśmy mieli na głowach co najmniej bocianie gniazda. Potem schwycił mocno wiosła i gwałtownym posunięciem pchnął łódź ku wyspie. Była trochę głupia sytuacja, ale za to okolica - prześliczna! Zbliżaliśmy się właśnie do wysepki. Jezioro było spokojne, na wodzie smużył się ślad naszej łodzi, a skały żarzyły się w słońcu.

Przedziwna wyspa i na wyspie jezioro, a na tym jeziorze jeszcze jedna wysepka. Mógłbym przypuszczać, że na tej wysepce zobaczymy jeszcze mniejsze jeziorko, a na jeziorku... i tak w nieskończoność. Ale właśnie dobiliśmy do brzegu.

Pustelnik pierwszy wyskoczył z łodzi, przycumował ją, a my nie wiedzieliśmy, co robić, bo było nam strasznie głupio. Trzeba było jednak wyjść na brzeg.

Na brzegu wśród zarośli zobaczyliśmy niewielką szopę na kamiennej podmurówce. „Pustelnia” - pomyślałem. Ivo też tak pomyślał, bo szepnął do mnie:

- Pewno ma tam małą piwniczkę, a w piwniczce wino, salami i radio tranzystorowe.

Nie była to jednak pustelnia, bo gdy brodacz otworzył drzwi, wewnątrz zobaczyliśmy stare wiosła, sieci na ryby, bosaki i piękną łódkę stojącą na kozłach. Brodacz znikł na chwilę w mroku szopy.

- Wykiwał nas - szepnął Ivo. - Nie ma żadnej pustelni.

- Czekaj - syknąłem - jeszcze może się okazać...

I, niech mnie drzwi ścisną, okazało się! Po chwili z szopy wyszedł nasz brodacz, a nas zupełnie oszołomiło, bo niby ten sam, a zupełnie inny! Miał na sobie brązowy habit z kapturem, na piersi - duży krzyż i przepasany był białym sznurem. Najprawdziwszy braciszek zakonny, daję słowo! Myślałem, że ze wstydu zapadniemy się pod ziemię, lecz trudno było się zapaść, bo staliśmy na twardej skale. Wypadało więc zwać albo rozplynać się.

- Cóż wy się tak gagicie? - zapytał braciszek.

- Bo... bo... - wyjąkał Ivo - strasznie nam przykro. Myśleliśmy, że braciszek to nie braciszek, tylko pustelnik, który udaje pustelnika...

Braciszek okazał się bardzo równym chłopem. Jak nie parskanie śmiechem! Myślałem, że boki zerwie, ale nie zerwał, tylko łzy mu poleciały ciurkiem po opalonych policzkach...

- Aleście się nabrali! - zawołał. - Co wam przyszło do głowy?

Nie zdążyliśmy odpowiedzieć, bo nagle wydało nam się, że na brzegu jeziora coś pohukuje. Początkowo myślałem, że to zbudzony puszczyk albo zabłąkany rybak, ale to nie był ani puszczyk, ani rybak, tylko nasz kochany wujaszek. Poznałem go po doniosłym głosie.

- Niech to kule biją! - krzyknąłem. - Woła nas wujaszek. Musimy wracać!

- Dobrze - zauważył Ivo - ale jak się dostaniemy na brzeg?

- Ile to może być? - zapytałem.

- Z trzysta metrów.

- W Miloćer chciałeś płynąć dwa kilometry, a teraz się zastanawiasz? Ivo przestał się zastanawiać, natomiast zastanowił się braciszek.

- Poczekaście - powiedział - nie mogę was przecież tak puścić. Bierzcie łódkę, a na drugim brzegu przy wiążcie ją w tym miejscu, gdzieśmy się spotkali.

Myślałem, że marny będzie nasz los, że wujaszek zmiesza nas z błotem, tymczasem miał dla nas nową niespodziankę. Niespodzianka stała na czterech nogach, miała duże uszy i karmiła się ostami.

- Ładny, co - zapytał wujaszek, jakbyśmy się w ogóle nie rozstawali.

- Czy wujaszek naprawdę kupił tego osiołka?

- O mały figiel byłbym go kupił.

- A gdzie właściciel?

- Jeżeli się nie mylę, siedzi jeszcze w gospodzie „Pod Trzema Siwkami” i popija wino.

- Wujaszek też?...

- Musiałem, mój chłopcze, bo inaczej niósłbym ten piekielny wór na własnym grzbiecie.

Zaraz zabraliśmy się do roboty. Wujaszek wyszukał fantastyczne miejsce na biwak, a ja z Iwem rozbiliśmy namiot. Osiołek tymczasem skubał trawkę, osty i wachlował się z zadowoleniem kitką ogona. I byłoby wszystko na sto dwa, gdyby mu się nie zachciało poskubać gdzie indziej.

Chwilowo nie wiedzieliśmy o tym, bo wujaszek wziął się do gotowania obiadu, a my poszliśmy popływać na jeziorze. Dopiero po obiedzie okazało się, że osiołek zniknął. Kamień w wodę! Byliśmy zrozpaczeni. Wujaszek wrywał sobie włosy z brody, ale to przecież nie pomogło, więc zrobiliśmy małą naradę i postanowiliśmy szukać osiołka.

- Jestem największym durniem na świecie! - wołał wujaszek. - Dlaczego nie przywiązałem go do kołka? Teraz biedaczyna zabłądzi i będziemy go mieli na sumieniu.

- Niech się wujaszek nie denerwuje. Osiołek na pewno się znajdzie. Pójdziemy zaraz z Ivem i poszukamy go w okolicy...

- O, nie - jęknął - pójdziecie i tyle was będę widział. Już ja was znam!

- Proszę się nie bać, ja już nieraz szukałem osła - wtrącił Ivo.

- Nie, mój drogi, wolę, żeby osioł przepadł...

- Nie żal wujaszekowi takiego... ślicznego...

- Pal sześć! - machnął desperacko ręką. - Niech już będzie, ale błagam was, nie zapuszczajcie się zbyt daleko i przed zachodem wracajcie do obozu. Ja pójdę brzegiem w lewo, a wy w prawo.

- Dobra jest! - zawołałem. - Jaką wyznacza wujaszek nagrodę za znalezienie osła?

- Palże cię lichu! Ten, kto nie znajdzie, będzie do końca podróży mył menażki.

- Świetnie! Już widzę, jak wujaszek pracuje do końca świata.

Jeśli ktoś myśli, że na wyspie Mljet łatwo znaleźć osiołka, to się grubo myli. Po pierwsze, wyspa ma trzydzieści siedem kilometrów długości i od sześciu do dziesięciu szerokości, po drugie, jest dzika i niedostępna, a po trzecie, osła w ogóle trudno szukać, bo zawsze zalezie tam, gdzie nie trzeba.

Mimo to nie straciliśmy nadziei. Przecież góry Sinjajeviny są większe od Mljetu, a jednak dziadek Czarnogórzec odnalazł swą zgubę. Może i nam się uda.

Początkowo szliśmy ścieżką nad brzegiem jeziora i, niby czerwono skorzy tropiciele, szukaliśmy jakiegoś śladu; choćby odcisniętego w glinie kopytka, choćby przydeptanej trawki lub złamanej gałązki. Niestety, grunt był skalisty, a zarośla tak zbite i poplątane, że gdyby nawet przeszło stado słońi, też trudno by było zauważyć.

- Słuchaj - zapytałem Iva - czy nie czytałeś przypadkiem jakiejś książki o łowcach osłów?

Niestety, Ivo nie czytał i w ogóle nie wyobrażał sobie, jak można łowić osły. Kiepską miał wyobraźnię, bo ja doskonale sobie wyobraziłem i powiedziałem mu, że gdybym miał helikopter, to bez trudu odnalazłbym tego piekielnego kłapoucha. Ba, ale nie miałem, więc opadły mi ręce i straciłem wszelką nadzieję.

Ivo jednak nie stracił.

- Ty to byś chciał, żeby osioł sam przybiegł do ciebie i dał się złapać. Trochę cierpliwości!

Co było robić? Rozejrzałem się. Z jednej strony jezioro, z drugiej strony zbocze porośnięte sosnami, a dalej tamaryszkowe zarośla. Lichu zresztą wie, czy tamaryszkowe, w każdym razie suche, kolczaste.

Po godzinie znaleźliśmy jednak wąziutką ścieżkę prowadzącą od jeziora na otaczające je wzgórza. Była wąska i gdzieśgdy ginęła wśród głazów. Szliśmy w piekielnym upale, wśród zarośli. Nie dochodził tu nawet słaby powiew i - konaliśmy z pragnienia. Byliśmy mokrzy od potu, podrapani i zakurzeni czerwonym pyłem. A ścieżka zdawała się nie mieć końca.

Nareszcie wspięliśmy się na wysokie wzgórze. Widok był zaskakujący. Z jednej strony - morze, z drugiej strony - morze, a pod naszymi stopami wspaniałe jezioro. Żałowałem, że nie ma wujaszka, bo wujaszek lubił takie widoki. Oniemieliśmy więc, ale nie na długo, wnet bowiem przypomnieliśmy sobie, że widok jest, ale nie ma osła.

Poszliśmy dalej. Teraz ścieżka prowadziła do doliny, zawałonej wielkimi głazami. Między głazami rosły cyprysy i pinie. Bardzo malowniczo.

- Stój! - jęknął Ivo. - Przecież nie pójdziemy na sam koniec wyspy, bo przed zachodem słońca

mamy być w obozie.

Ruszyliśmy w drogę powrotną. Kiedy stanęliśmy wreszcie nad jeziorem, było spokojne, czarne i przepastne. W dali nad wodą rysowała się wyspa, a na wyspie migotało kilka światełek. Pewno z klasztoru. I ryby pluskały przy brzegu, a mnie skóra cierpła na grzbiecie, bo przypomniałem sobie pewną legendę o topielcu, który wychodził w nocy z jeziora.

Całe szczęście, że wnet wśród sosen zobaczyliśmy żółtą płachtę namiotową, a po chwili usłyszeliśmy wesolutki głos naszego wujaszka:

- No, co, znaleźliście tego osła?

- A wujaszek znalazł? - odkrzyknąłem.

Zamiast odpowiedzieć zaniósł się wesołym śmiechem.

- Znalazł się sam.

- Żartuje wujaszek!

Wujaszek nie żartował, bo osioł naprawdę sam się znalazł... w Polaće. Mądra bestia, prosto nad jeziora sypnął się do domu i nie był nawet łaskaw nas zawiadomić. Takie już są te osły.

A więc płyniemy na Lastovo. Jesteśmy na pełnym morzu...

Na pełnym morzu jest zupełnie tak, jak sobie wyobrażałem: olbrzymia przestrzeń zalana słońcem, a w tej przestrzeni zagubiona nasza łódź. Żagiel wypełniony wiatrem. Lekki plusk fal o burzę i piana przed dziobem „Tajfuna”. A w „Tajfunie” czterech piratów. Aż się nie chciało wierzyć, że płyniemy na Lastovo, zdawało mi się, że wiatr niesie nas w dalekie, egzotyczne krainy...

Wujaszek też miał taką minę, jak gdyby wybierał się na Tahiti, a może i dalej. Licho go wie. Świat jest wielki, ziemia okrągła, więc można żeglować we wszystkich kierunkach. Siedział wujaszek przy sterze, palił fajkę i był ogromnie zamyślony.

Natomiast nasz dzielny kapitan Palade nie mógł się nadziwić, dlaczego za kawony pierwszej klasy i za beczkę pierwszorzędnego wina dostał tak mało forsy. Liczył i liczył i nie mógł się doliczyć. Ivo nie liczył, tylko utkwiał wzrok w horyzoncie i czekał, kiedy pojawi się pierwszy statek. Chciał nawet zakładać się, że będzie to statek włoski. Niech mu będzie włoski, czy to nie wszystko jedno! Grunt, żeby się ukazał.

- Nie czekaliśmy długo. Z lewej burty ujrzeliśmy nagle cieniutkie pasemko dymu. Początkowo myślałem, że to z fajki wujaszka, lecz wnet dostrzegłem, że fajka wujaszkowski zgasła, więc dymek musiał pochodzić ze statku, Płynie z południa! - zawołał Ivo.

- Pewno do Splitu - bąknął stary Palade.

- Albo do Triestu - dorzuciłem nieśmiało.

Prócz dymku nie zobaczyliśmy nic więcej, więc Ivo nie mógł wygrać zakładu. Mimo to upierał się:

- Daję słowo, że włoski. Palade pokiwał głową.

- Mądry jesteś, po dymie poznajesz, jakiej flagi jest statek.

Potem, z prawej strony, ukazał się żagiel, biały punkt rzucony na modrą taflę morza.

Patrzyliśmy wszyscy, a żagiel rósł, pęczniał jak biały balonik, a gdy zmieniliśmy hals, ujrzeliśmy trzy wielkie żagle.

- Jacht - wyjaśnił Palade. - Sportowy jacht. Patrzcie, jaką ma rasową sylwetkę.

- Wspaniały widok! - powiedziałem.

Widok był rzeczywiście wspaniały. Piękny sportowy jacht płynął pod trzema żaglami. Z daleka wyglądał jak biało skrzydlaty ptak muskający piersią morze. Toczył przed sobą spieniony wał wody,

a za sobą ciągnął wygładzony ślad.

- Jaką on może rozwijać szybkość? - zapytał Palade.

- To zależy od wiatru, mój synu - odparł. - Przy tym wietrze może mieć z dziesięć węzłów.

- A co to węzły? - zdziwił się Ivo.

- Węzeł to jedna mila morska na godzinę.

- A ile ma mila?

- Około tysiąca ośmiuset metrów.

- A więc osiemnaście kilometrów na godzinę. Czy to duża szybkość?

- Jak na żaglowiec - znakomita.

- I za darmo - zażartował wujaszek. - Bez silnika, bez paliwa, na koszt wiatru.

Jacht przeciął nam drogę, przeleciał o jakieś trzysta metrów przed naszym dziobem. Słyszeliśmy tylko świst wiatru w olinowaniu i wesołe okrzyki kilku półnagich młodych ludzi, którzy wymachiwali ku nam rękami. My też pomachaliśmy im wesoło.

Obejrzałem się. Mljet został daleko za nami. Leżał na morzu sinozłotawą smugą. A przed nami złociły się skały Lastova. Usiadłem przy wujaszku. Był zamyślony, lecz oczy błyszczały mu, jak zwykle. Objął mnie ramieniem.

- No, jak się czujesz, piracie?

- Fantastycznie. A wujaszek?

- Ja też fantastycznie. Dobrze ci zrobiła ta podróż. Jesteś smagły, zdrowy, zmężniałeś. Rodzice cię nie poznają.

- Wujaszka też, bo wujaszek zarósł jak dziki człowiek.

- Jak dziki! - roześmiał się. - I czuję się, jakby mi dziesięć lat ubyło... Nagle Iwowi zdało się, że siedzi na bocianim gnieździe i ma wachtę, więc zawołał na całe gardło:

- Z lewej burty zbliża się!

- Co się zbliża? - odkrzyknąłem.

- Jeszcze nie wiem, w każdym razie coś bardzo dziwnego.

- Może rekin? - zażartowałem.

- Kilka rekinów!

Zerwałem się na równe nogi, spojrzałem za lewą burtę i wyteżyłem wzrok. Ale nic nie widziałem poza zwiewną mgiełką wiszącą nad nagrzanym morzem. Ale Palade zobaczył.

- Delfiny - mruknął tak spokojnie, jakby chodziło o zwykłe sardynki.

- Gdzie?! - zawołałem.

O tam, na wprost, na jeden rumb od dziobu - wskazał na lewą burtę. Niech go licho! Żeby to wiedział, co znaczy jeden rumb! Chciałem zapytać, ale na pytania nie było czasu, bo wujaszek zerwał się również i zawołał:

- Delfiny, niech mnie kule biją!

A ja myślałem, że wy leżę ze skóry!

Wreszcie zobaczyłem... Daję słowo, najpierw tylko bryzgi, jakby ktoś puszczał kaczki po wodzie, a potem nagle... w oczach mi pociemniało! Najprawdziwsze delfiny! Takie same, jakie oglądałem w telewizji na filmie „Dziwy przyrody”. Było ich sześć, a może siedem, kto by w takiej gorączce zliczył! Wspaniale, zwinne i szybkie jak żywe torpedy. To wyskakiwały z fal, to znowu ginęły, jak gdyby urządzały sobie wesołą zabawę.

- Dokąd one płyną? - zapytał Ivo.

- Na pewno szukają żeru - odparł Palade.

- Często je można spotkać?

O, nie! Macie dzisiaj wielkie szczęście. Zjawily się jak na zamówienie. Delfiny tymczasem płynęły wprost na nas. Coraz wyraźniej widać było ich duże cielska, potężne płetwy ogonowe, zielonoszare grzbiety i kremowe brzuchy. Szły w bryzgach i pianie. Zdawało się, że rozniosą naszego „Tajfuna”, lecz gdy były o jakieś pięćdziesiąt metrów od nas, zboczyły nagle.

A szkoda, bo wujaszek już nastawił aparat i chciał robić zdjęcie. Cóż, delfiny to nie turyści, którzy pozują na zawołanie i mizdrzą się przed obiektywem. Soli im na ogon nie nasypiesz ani nie poprosisz o pogodny wyraz twarzy.

Poszły jak diabły morskie, tylko woda spieniła się za nimi, a nam było żal, że tak szybko skończyło się to niecodzienne spotkanie.

Zbliżaliśmy się do Lastova.

Przed nami wyłoniły się urwiste skały. Płynęliśmy wzdłuż nich jak rozbitkowie szukający cichej przystani albo jak piraci, którzy po śmiałym wypadzie kryją się przed pościgiem.

Po chwili wyobraziłem sobie, że naprawdę jesteśmy piratami. Wieziemy ze sobą bajeczny łup: skrzynie pełne złota i brylantów, worki pełne pieprzu, cynamonu, imbiru i innych wschodnich korzeni, kilku niewolników zakutych w kajdany i lichy wie, co jeszcze. Gwiżdżemy sobie na wszystko, zwłaszcza na kupców weneckich, którzy dali się tak łatwo zaskoczyć. Zaraz wylądujemy w zacisznej zatoce, zaczniemy dzielić skarby i kłócić się przy podziale łupu.

Wujaszek zapewne zrezygnuje ze swej części, bo i tak jest nadziany dolarami, a raczej czekami bankowymi. Milioner! Gorzej będzie ze starym Palade. Jak zdążyłem zauważyć, lubił brzęczącą mamonę i lichy wie, na co go stać. No, ale z Ivem damy mu dobrą nauczki...

Tymczasem zamiast my jemu, to on nam dał taką wciere, że pot z nas lał się ciurkiem, bo w porcie znowu musieliśmy wyladowywać kawony.

Port był niewielki, jedno kamienne nabrzeże, stary magazyn z szarego kamienia, kilka znudzonych osiołków w cieniu rozłożystych platanów, kilka kobiet piorących bieliznę, a wszystko bardzo nastrojowe i romantyczne, bo bez turystów, aparatów fotograficznych, bez samochodów, hoteli, plażowiczów. Trochę sennie, trochę smutnie, a jednak jakoś swojsko i bardzo romantycznie.

Byłoby jeszcze bardziej romantycznie, gdyby nie te piekielne kawony, ciężkie jak kule armatnie. Upał, aż skóra skwierczy, a my jak półnaczy niewolnicy podajemy arbuzy jeden drugiemu i dyszymy ciężko. Tyle było tych arbuzy, że aż ręce opadały!

- Zmachałeś się? - zapytał wujaszek.

Piękne pytanie! Wycisnęli z nas ostatnią kroplę polu, a wujaszek uśmiecha się i pyta!

- Jestem zupełnie wypompowany - odparłem.

- To dobrze. Wiesz przynajmniej, co znaczy ciężka praca. Teraz dopiero ocenisz smak leniuchowania.

Bo po tej niewolniczej pracy udaliśmy się do miejscowości, która nazywała się tak samo jak wyspa - Lastovo.

W Lastovie nie było ani ruin rzymskich, ani zabytkowych budowli, więc nie musieliśmy podziwiać piękna, które przetrwało wieki. Podziwialiśmy natomiast znakomitą karczmę rybacką, taką, co to takiej drugiej nie ma w całej Dalmacji. Tak przynajmniej twierdził Palade.

Siedzieliśmy w cieniu przed karczmą i popijali, co kto wolał: wujaszek z Palade - wino z wodą sodową, a my - sok z brzoskwiń. Poznawaliśmy smak leniuchowania. Przyjemnie było siedzieć tak w

czeniu platanów, rozkoszować się zapachem rybyz różna i słuchać, jak wujaszek snuje... Bo nasz opiekun zaczął nagle snuć plany na najbliższą przyszłość.

- Bardzo mi się tutaj podoba - powiedział. - Lubię takie zagubione zakątki. Człowiek czuje się wreszcie człowiekiem.

- Tak - przerwał mu Palade - nie ma to jak Lastovo. Nie uwierzycie, byłem w najdalszych zakątkach świata, ale zawsze tęskniłem za swoimi wyspami. Lastovo... - westchnął. - Spokój, cisza, zaduma. Wieczorem o zachodzie słońca rybacy wypływają na połów. Musicie to koniecznie zobaczyć. Woda jest spokojna, nad morzem zapalają się pierwsze gwiazdy, a wyspa tonie w cieniach. I nagle z zatoki wypływają pierwsze łodzie... Mówię wam, nie ma to jak Lastovo! - Nabijał wolno krótką fajeczkę i patrzył na skrawek morza przebijający wśród ceglanych skał. - Ech, nawłóczył się człowiek po świecie, zobaczył to i owo, ale umrzeć chciałby na tej wyspie.

- Nie spieszcie się - zażartował wujaszek. - Wpierw musicie sprzedać wasze kawony i popłynąć z nami na małe Lastovickie Wysepki. Słyszałem, że wokół tych wysp są najlepsze tereny rybackie.

Palade uśmiechnął się łagodnie.

- Jeśli Bóg da, to popłynę z wami.

Ryba była znakomita, palce lizać, po prostu rozkosz dla podniebienia; różowawa, soczysta i w miarę tłusta. Zaraz wstąpiły w nas nowe siły, więc umówiliśmy się, że jeśli Palade załatwi swoje sprawy handlowe, to jeszcze wieczorem popłyniemy na Lastovickie Wysepki i tam będziemy biwakowali.

- Zobaczycie, chłopcy - powtórzył wujaszek - będzie nam jak w raj!

Gdyśmy już dobrze podjedli, rozkosznie się wyleniuchowali, wujaszek zawołał karczmarza i poprosił o rachunek, a potem ruchem milionera sięgnął do tylnej kieszeni szortów.

Naraz walnął się potężnie w kolano i zapytał nieoczekiwanie Palade:

- Jest tu gdzieś posterunek milicji?

- Jest, zaraz przy kościele - odparł stary.

- To świetnie, przyszło mi do głowy, że trzeba by się dowiedzieć, czy nie zwrócił ktoś tymczasem naszych pieniędzy.

Sypnęliśmy się więc wszyscy na posterunek milicji.

Znaleźliśmy się na posterunku. Znowu stół, krzesło, zapach dymu papierosów, nagie ściany, a na ścianie portret prezydenta. Wnet znalazł się komendant posterunku. Gdy mu wujaszek wyłuszczył sprawę, spytał krótko:

- A pańskie nazwisko?

- Leon Terentowicz z Warszawy.

W tej chwili stało się coś, czego nikt z nas nie mógł przewidzieć. Milicjant zerwał się z krzesła, rozłożył szeroko ramiona i lada chwila miał wpaść w objęcia wujaszka.

- Pan Terentowicz! - zawołał. - Mam, mam dla pana wiadomość! Telefonowali z Użic, że znalazły się te pańskie pieniądze!

Myślałem, że wujaszek zemdleje, ale na szczęście nie zemdlał, bo nie lubił dramatycznych scen. Powiódł tylko po nas triumfalnym, spojrzeniem i powiedział:

- Wiedziałem, że tak będzie! Trzeba tylko wierzyć ludziom i mieć do nich zaufanie - Potem uścisnął komendanta jak własnego brata. - Jeżeli pan nic niema przeciwko temu, to zapraszam pana na lampkę wina...

- Wolnego - powstrzymał go komendant. - Przecież pan jeszcze nie dostał tych pieniędzy.

- Rzeczywiście - zaśmiał się wujaszek - ale czuję się tak, jakbym je już miał w kieszeni.

- I nie złożył pan oświadczenia...

- Jakiego, u licha?

- Że to właśnie pan zgubił te pieniądze.

- A niechże pana kule biją! - huknął wesoło nasz czarodziej. - Ja mam składać oświadczenie, że zgubiłem? Któż łatwiej gubi ode mnie?

- To tylko formalność... Bo fakty nie zgadzają się.

- Jakie fakty?

- W Kolašinie zeznał pan, że zgubił pan te pieniądze w lesie pod bukiem, tymczasem znaleziono je na poczcie w Užicach...

Wujaszek zbaraniał i ja zbaraniałem, bo jakim sposobem pieniądze, które zostały zgubione pod bukiem, mogły się znaleźć w urzędzie pocztowym?

- Czy to ostatecznie nie wszystko jedno, gdzie zgubiłem? - wykrztusił wujaszek.

- Nie, bo na poczcie mógł zgubić kto inny. Wujaszek spochmurniał.

- Oczywiście, nawet o tym nie pomyślałem!

- Zdaje się jednak, że to są pańskie pieniądze, bo suma się zgadza, a prócz tego w pieniądzach znaleziono pokwitowanie listu poleconego. Do kogo pan wysłał list z Užic?

Wujaszek pacnął się dłonią w czoło.

- Stary bałwan ze mnie. Teraz dopiero sobie przypomniałem! Oczywiście, pieniądze zostawiłem przy okienku pocztowym, bo wyjąłem je razem z kalendarzykiem. A list... list wysłałem do Instytutu Matematyki Polskiej Akademii Nauk. Wysłałem w nim pewne obliczenia, które znalazłem w kieszeni, a które zapomniałem przekazać kolegom przed wyjazdem.

- Zgadza się! - zawołał uradowany komendant. - Teraz nic nie stoi na przeszkodzie i może pan odebrać swoje pieniądze.

- Gdzie?

- W Užicach.

Wujaszek złapał się za głowę.

- Można dostać pomieszania zmysłów! Panie, jak ja się teraz dostanę do Užic!

Komendant pokiwał głową, a gdy spojrział na wujaszka, uśmiechnął się przyjemnie.

- Ej, wy Polacy, Polacy - powiedział. - Mili z was ludzie, ale lekkomyślni, że hej! Postaram się zadzwonić do Užic, może uda mi się ściągnąć te pieniądze.

Od tygodnia jesteśmy w siódmym niebie, bo szlachetnemu komendantowi posterunku w Lastovie udało się ściągnąć pieniądze z Užic.

Siódme niebo nazywa się Zachodnie Lastovické Wyspy i ciągnie się od maleńkiej wysepki Borje do jeszcze mniejszych Sestric - czyli Sióstr - a między nimi jest około dwudziestu innych wysepek, po prostu cały archipelag. Obozujemy na największej, Cesvinicy, i bimbamy sobie na wszystko.

Cesvinica liczy trzech mieszkańców - wujaszka, Iva i mnie, dwanaście gniazd mew i kilkadziesiąt żółwi. Jeden żółw wpadł do menażki i przywiozę go do Warszawy.

Jesteśmy ogromnie bogaci. Mamy około czterystu hektarów ziemi, niezmierną przestrzeń morza, wiatr, skały, a nocą - gwiazdy i Mleczną Drogę. Ale przede wszystkim mamy znakomite humory i apetyty. Najlepszy apetyt ma oczywiście wujaszek. Potrafi zjeść na śniadanie pół puszki konserwowej szynki i wypić całą menażkę herbaty.

Każdy robi, co chce. Wujaszek przeważnie łowi ryby, a my z Ivem szukamy skarbów na wyspie,

oglądamy zachody słońca i kłócimy się, ale nie bardzo, bo nie ma o co. Umiem już skakać z wysokich skał do wody, nurkować na głębokości pięciu metrów, ba, nauczyłem się nawet polować na ryby. Wspaniały sport!

Jak mieszkamy? Właściwie wcale nie mieszkamy. Jest tak ciepło, że nie trzeba mieszkać. Śpimy na materacach przed namiotem, a przed zaśnięciem rozmawiamy z wujaszkiem o różnych ciekawych sprawach, a przede wszystkim o rybach. Potem liczymy gwiazdy. Do tej pory naliczyłem dopiero czterdzieści pięć, bo zawsze po tych czterdziestu pięciu zasypiam.

Czym się żywimy? Przede wszystkim rybami, które wujaszek łowi w morzu. Poza tym zapasami. Zapasy trzymamy w grocie, którą znaleźliśmy blisko naszego biwaku. Najgorzej jest ze słodką wodą.

Trzeba po nią chodzić do źródelka, a źródelko, jak na złość, znajduje się dwieście metrów od brzegu. Chodzimy więc na zmianę z brezentowym wiaderkiem.

W ogóle jest cudownie. Mamy małą żaglówkę, którą wujaszek wypożyczył od rybaków w Lastovo. Żeglujemy więc wśród wysepek i odkrywamy coraz to nowe lądy. Nie ma tylko na kogo napadać. Jesteśmy więc najdziwaczniejszymi piratami na świecie. Ale to nic. Nie martwimy się. Zawsze byliśmy piratami na niby...

Ku brzegowi zbliża się łódź, a w łodzi widzę wujaszka.

Ale czemu tak krzyczy?

Pobiegliśmy do naszej zatoki.

Woda była gładka, aksamitna. Widać w niej odbicie skał i karłowatych sosen i łódź wujaszka z opuszczonym żaglem.

Nie mogliśmy się doczekać, kiedy wreszcie wujaszek przybije do brzegu i powie, dlaczego tak krzyczy. Zawołałem więc z brzegu:

- Co się stało?!

Wujaszek schylił się, z dna łodzi dźwignął z wielkim trudem rybę. Gdy się wyprostował i złapał ją za pysk, sięgała mu do piersi.

- Smok, nie ryba! - zawołał triumfalnie.

- Gdzie ją wujaszek złowił?

- Przy Mladinie. Na żywca!

- Ile waży?

- Myślę, że ze dwadzieścia. Rekordowa! - odkrzyknął. Po chwili był już przy brzegu. Rzucił nam cumę, a my przywiązaliśmy łódź do pnia sosny.

Nie chciałem wierzyć własnym oczom. Ryba była rzeczywiście imponująca. Miała może półtora metra długości i ważyła zapewne więcej niż dwadzieścia kilo.

- Alem się namachał! - powiedział wujaszek, gdy już wyciągnął zdobyczną skały. - Myślałem, że mnie wysadzi z łodzi. Godzinę z nią się szarpałem. Wody!

Ivo pobiegł po wodę, a wujaszek usiadł obok swej zdobyczy. Sapał jeszcze i ocierał rękawem czoło.

- Smok, nie ryba! - powtarzał w radosnym uniesieniu, - Biorę ją z burty, to ona na drugą stronę; biorę z rufy, to na dziób! Myślałem, że mnie wykończy, ale się nie dałem.

- Co to za ryba?

- Król Adriatyku. Całe życie marzyłem o nim! Mówię ci, Marcinku, teraz mogę żyć spokojnie, bo większej już nigdy nie wyciągnę.

Wrócił Ivo z manierką pełną wody. Wujaszek pił chciwie, a gdy wyduldał całą zawartość

manierki, wytarł dłonią usta i zaśmiał się.

- Musisz mi zrobić zdjęcie, bo w Warszawie nie uwierzą.

- Wujaszкови nie uwierzą?

- Nie, bo to nie do wiary. I pomyślcie, na małą sardelę! Powinienem napisać raport i posłać go do mojego koła wędkarzy. Niech im wątroba spuchnie...

Spojrzałem na wspaniałą rybę. Leżała nieruchomo. Jej otwarte szeroko oko patrzyło na mnie beznamiętnie.

- Co my z nią zrobimy? - zapytałem.

- Co? - zaśmiał się wujaszek. - Przecież to przysmak nad przysmaki!

- Dla kompanii wojska - zażartowałem.

- Wystarczy nam do końca pobytu.

- A my kiedy wyjeżdżamy? - zapytałem ze smutkiem. Wujaszek spojrzał na mnie.

- My?... A właściwie który to dzisiaj?

- Żebym ja wiedział!

- Ja też nie wiem. Nie mam pojęcia.

Ja nie miałem pojęcia i wujaszek nie miał, jedynie Ivo wiedział, bo robił notatki w kalendarzu i pisał dziennik.

- Dzisiaj jest dwudziesty siódmy sierpnia. Wujaszek spojrzał zdumiony.

- Niemożliwe! To ja wczoraj miałem być w Warszawie na posiedzeniu! Ładna historia! - Spojrzał na mnie. - A ty za kilka dni idziesz do szkoły... - Przerwał w pół słowa, opuścił w zadumie głowę. - Tak... wszystko, co piękne, szybko się kończy.

- Mieliśmy jeszcze popłynąć na Korculę... - westchnąłem.

- I na Hvar - dodał Ivo. Wujaszek uśmiechnął się.

- Trudno, nie popłyniemy, ale nie martwcie się. Dobrze nam było, a to najważniejsze.

- Było fantastycznie! - westchnąłem. - Z wujaszkiem zawsze tak jest...*Spała, luty 1965*